

Hans Hellmut Kirst

*Kamraci*  
**2**

## 7. *Co jest warte życie ludzkie?*

Panie komisarzu! — zawołał inspektor policji kryminalnej Sand, ujrzawszy naprzeciwko siebie Tantaua.

— Jakże się cieszę, że znowu pana widzę!

— Daj pan spokój tym operom — powiedział Tantau ciepło. — Jestem przecież, jak panu wiadomo, osobą najzupełniej prywatną.

— Dla mnie — oświadczył Sand uroczyście — pozostanie pan na zawsze moim starym nauczycielem i wielce szanowanym komisarzem policji kryminalnej.

Tantau uśmiechnął się i wyraźnie zadowolony powiedział:

— Zapewne, zapewne, kiedyś, bardzo dawno temu, byłem pańskim nauczycielem, ale pan już od dawna nie jest moim uczniem; w gruncie rzeczy nie był pan nim nigdy. I to, ściśle rzecz biorąc, wyszło panu nawet na dobre. Jesteśmy produktami dwóch całkowicie odrębnych generacji. Ja należę do wymierających już pełnych fantazji poetów kryminalistyki, pan natomiast jest wyraźnie człowiekiem wiedzy ścisłej.

— A co byłoby syntezą ich dwóch, panie komisarzu?

— Panie Tantau — sprostował Tantau stanowczym tonem.

— Syntezę fantazji i wiedzy uważam za niedościgłe marzenie. Nikt nie jest chodzącą doskonałością.

Sand przysunął Tantauowi najlepsze w biurze krzesło, a sam usiadł demonstracyjnie na zwykłym stołku, jakby chciał w ten sposób podkreślić zależność uczeń-nauczyciel. Spoglądał na Tantaua z oddaniem.

— Jestem niesłychanie ciekaw — rzekł Sand.

— Czego ciekaw? — zapytał Tantau.

— Wiem tylko tyle — powiedział Sand — że jeżeli już pan bierze jakąś sprawę w swoje ręce, to musi ona pana interesować. A więc może tu chodzić jedynie o coś niezwykłego. Bo inaczej czyżby był pan teraz u mnie?

— Drogi panie Sand — rzekł Tantau — jak wiadomo, czasy się zmieniają, a wraz z nimi nasze skłonności i przyzwyczajenia. Pamiętam jeszcze dni, było to chyba jakieś piętnaście lat temu, kiedy całe moje zainteresowanie skupiało się na bochenku chleba, odrobinie kartofli i tłuszczu. Dziś, jak panu chyba wiadomo, pracuję dorywczo dla różnych agentur, i to tylko po to, aby dorobić sobie parę groszy do skromnej emerytury.

— To brzmi wręcz rozczulająco — powiedział Sand — ale nie dla mnie. Pan nigdy by się nie zadowolił pracę wymagającą jedynie rutyny.

— Zapewniam pana solennie, że wówczas po prostu szalałem za drobiazgową, precyzyjną robotą.

— Tak, ale tylko wówczas, gdy mógł pan przy tym natrafić na ślad przestępstwa zakrojonego na wielką skalę.

— Nie jesteśmy w Berlinie — powiedział Tantau.

Sand skinął potakująco głową i zawołał:

— Komu to pan mówi?! Nikt nie ubolewa nad tym bardziej niż ja. Urzędnik policji kryminalnej kiśnie tutaj, but-wieje.

— Marzy pan o jakimś małym i niezbyt skomplikowanym morderstwie, co?

— A pan nie? Kiedy się dowiedziałem, że pan przyszedł, od razu postawiłem sobie pytanie: Co się nadzwyczajnego w moim rejonie stało? Bo mówiąc szczerze, o niczym takim nie wiem.

— Ja również — zapewnił go Tantau.

Na twarzy Sanda pojawił się wyraz nieufności i rozczarowania.

— Tego nie rozumiem — powiedział.

— Nie zrozumie pan również i wtedy, kiedy panu powiem, dlaczego tu jestem.

— Niech pan mówi!

— A więc — zaczął Tantau — potrzebuję pańskiej pomocy. Czy może pan polecić urzędnikowi, który w pańskim rejonie zajmuje się meldunkami hotelowymi, by udzielił mi każdej informacji, jakiej tylko zażądam?

— I co dalej? — niecierpliwił się Sand.

— To wszystko.

— Oczywiście, że udzielimy panu wszelkich informacji. Wystarczy zatelefonować. Ale po co to? Dlaczego wprzęga pan w to mnie? Wystarczy kilka trików, a zna je pan wszystkie, i bez mojej pomocy otrzyma pan każdą informację.

— Dlaczego mam stosować triki — powiedział wesoło Tantau — kiedy mam stosunki.

— Co się za tym kryje? — zapytał szczerze Sand. W twarzy jego nie było teraz nic z podziwu oddanego ucznia, czuł się wyprowadzony w pole i sprowokowany. Znowu jak przed dwudziestu laty czuł deklasującą przewagę tego człowieka, który wówczas celowo, z ołówkiem w rękę, wprawiał ich raz za razem w oszołomienie. To był kompleks Sanda, potęga mistrza przyprawiała go o cierpienie. Czy jeszcze cierpiał z jej powodu? Czy już od dawna nie sądzi, że się z tego wyzwolił? — No więc — powtórzył — co się za tym kryje?

— Gdybym to już teraz wiedział — rzekł Tantau skromnie i potulnie — to nie siedziałbym chyba tutaj. Ale zgódźmy się tymczasem na takie sformułowanie: Spróbujmy być przygotowani na to, że coś się może za tym kryć.

**Z**aanonsowano mi już pana telefonicznie! Niestety nie było już czasu na wywieszenie napisu powitalnego. Kierownik komisariatu Brahnwogel przywitał Tantaua jak starego, bardzo szanowanego znajomego. Choć nie był poinformowany o jego przeszłości, polecenie Sanda było wyraźne i stanowcze. — Mamy instrukcje, żeby spełniać w miarę naszych możliwości każde pańskie życzenie.

— Na razie — rzekł Tantau grzecznie — chciałbym tylko przejrzeć meldunki hotelowe. Da się to zrobić?

— Ależ oczywiście — zapewnił go ochoczo Brahnwogel. Sam zajmował się Tantauem, młodszy rangą policjanci trzymali się, pełni respektu, w cieniu. — Czy chodzi panu o wszystkie hotele w okolicy, czy o jakiś jeden konkretny hotel? Meldunki za jaki okres czasu? Czy szuka pan jakiegoś określonego nazwiska?

— Chciałby pan to wiedzieć, co? — zapytał Tantau rozpromieniony. — Żeby móc potem złożyć pocziwemu Sandowi szczegółowy raport, co?

— Zgadza się — powiedział Brahnwogel, zachwycony taką lotnością umysłu gościa. I mrugając porozumiewawczo, dodał:

— Ale pan będzie miał oczywiście dosyć możliwości, aby mnie nie zorientować, prawda?

— Na przykład jakie?

— Przypuśćmy, że interesuje pana jeden hotel. W takim razie będzie pan udawał zainteresowanie dla wielu. Przypuśćmy dalej, że szuka pan określonego człowieka. Wtedy będzie pan dowiadywał się o kilku ludzi. Mam rację?

— Ma pan. Proszę o wyszukanie meldunku niejakiego Michela Meinersa. Przed kilkoma dniami zamieszkał w hotelu „Am Alten Postamt”.

— A do diabła! To zupełnie nowy trik. Co pan przez to zamierza osiągnąć? Niech mi pan to wyjaśni.

— Może kiedyś później — odparł Tantau z uśmiechem. — Mogę teraz dostać ów meldunek, o który prosiłem?

— W tej chwileczce! — Brahnwogel rzucił się do kartoteki. Wyraz jego twarzy zdradzał, że mimo intensywnego myślenia kierownik komisariatu nie doszedł do zadowalającego rezultatu. Szybko znalazł to, czego jego zdaniem Tantau rzekomo szukał.

Tantau wziął formularz meldunkowy do rąk, przeczytał go wolno i dokładnie i zapamiętał go słowo w słowo. Z miejsca zorientował się, że za jednym zamachem zbliżył się do celu. Wszystko się zgadzało: Nazwisko Michel Meiners, data urodzenia, miejsce urodzenia, nawet pismo wyglądało na takiego Meinersa, jakiego sobie Tantau wyobrażał.

— Może mnie pan zaanonsować u portiera — zapytał Tantau uprzejmie — i poprosić go, żeby mi udzielił kilku informacji?

— Aha! — zawołał Brahmvogel z wyraźnym uczuciem ulgi. — A więc to tak! Zapytuje pan o określonego człowieka, by otrzymać dostęp do całego hotelu. Krótko mówiąc: szuka pan pretekstu. To także niezły sposób. Oczywiście pomogę panu. Może pan iść tam z całkowitym spokojem: z portiera będzie się łało jak z wodospadu.

ów portier miał tyle lat co hotel i jego wnętrze. Nie miał w sobie nic z wodospadu, przeciwnie: był powolny i pełen ojcowskiej godności. Tantau zademonstrował jeden ze swych największych przymiotów: cierpliwość. Przerzucał, zdawałoby się, bez określonego celu przedłożone mu dokumenty. Gawędził jednocześnie o tym i owym, o tym lub owym gościu, na którego nazwisko natrafił. Tylko o niejakiem Meinersie nie było mowy ani przez chwilę.

Tantau znał z komisariatu policji wszystkie ważne szczegóły — z wyjątkiem numeru pokoju. Ale na wykazie portiera widniała obok nazwiska Meinersa cyfra 21; żeby to stwierdzić, wystarczyło jedno szybkie spojrzenie. Następne spojrzenie padło na tablicę z kluczami. Tantau zmrużył przy tym nieznacznie oczy — klucza od pokoju 21 nie było na tablicy.

— Właściwie wedle powszechnie obowiązującego zwyczaju — rzekł Tantau, przerzucając dalsze karty meldunkowe — gość oddaje klucz, jeśli wychodzi z hotelu, prawda?

— Taki jest zwyczaj — odparł portier. — Tak się powinno robić ze względu na możliwość kontroli, czystość i porządek.

— Widzę na tablicy parę luk, na przykład osiemnaście, dwadzieścia jeden, trzydzieści cztery. Czy to oznacza, że ci goście są teraz w swoich pokojach?

— Owszem, tak właśnie jest.

— To niezwykle. Teraz, późnym przedpołudniem?

— Zapewne — odparł portier usłużnie. Pochlebiali mu, że może przed tak uważnym słuchaczem popisać cię swą wiedzą fachową. — Nie jest to wprawdzie reguła, ale nie ma w tym też nic nadzwyczajnego, zwłaszcza gdy zna się dziwactwa i zwyczaje swych gości, co należy do zadań dobrego portiera. Na przykład pan z numeru trzydzieści cztery będzie spał do obiadu; mówiąc w zaufaniu, spędził noc na hulance.

— A numer osiemnaście?

— To pewna dama. Przyjechała w odwiedziny do swego męża, który przejęciowo zajęty jest na poczie przy pracach montażowych. Ta dama w dzień prawie nie opuszcza pokoju, a wieczorem przychodzi jej mąż. Mają pokój dwuosobowy. Pan rozumie...

Tantau rozumiał. Udawał żywe zainteresowanie. Po chwili powiedział z uznaniem:

— Trzeba przyznać, że się pan doskonale we wszystkim wyznaje. A jak wygląda sprawa z numerem dwadzieścia jeden?

— Wyjątkowo sympatyczny pan — zapewnił go z miejsca portier. Oczywiście Tantau dobrze wiedział, co musi robić gość, aby w oczach służby hotelowej uchodzić za sympatycznego.

Sądząc po tym, co portier powiedział, Meiners musiał być gościem spokojnym i skromnym, gościem, który nie miał żadnych specjalnych zachcianek, dawał napiwki i rano mówił uprzejmie „dzień dobry”.

— Dlaczego jest teraz w swoim pokoju? Czy on również , spędził noc na hulance?

— Prawdopodobnie pracuje. Część naszych gości robi to od czasu do czasu, zwłaszcza komiwojażerowie. Dla tych panów pokój hotelowy musi być często biurem.

— A nad czym pracuje pan z dwudziestego pierwszego pokoju, tego pan nie wie, prawda?

— Pan z dwudziestego pierwszego pokoju porządkuje zapewne swoje papiery. Musi to nie być takie proste! Wie pan, co on tu robi? Jeżeli się nie mylę, inkasuje stare rachunki.

Potem Tantau spotkał owego człowieka, który był Michele Meinersem.

Aby do tego spotkania doszło, Tantau potrzebował jedynie czekać. Klucz wisiał na tablicy, południe się zbliżało, po całym hotelu rozchodziły się zapachy z kuchni. Tantau skracał sobie czas rozmówką z portierem. Ale i teraz wszystko, co czynił, miało sens i znaczenie, poszczególne słowa były tylko manewrami odwracającymi uwagę portiera.

Tantau liczył się z tym, że portier będzie później wypytywany przez Brahmvogla, a ten z kolei przez Sanda. Co taki portier mógłby im powiedzieć? Tantau postawił mu przezornie szereg precyzyjnych, ale dla niego samego zupełnie bezwartościowych pytań na temat gości, których nazwiska na chybił trafił wyczytywał z wykazu.

Tuż przed dwunastą ujrzał Tantau wreszcie Michela Meinersa, schodzącego po małych, wąskich schodkach do maleńkiego holu. Tantau poznał go od razu.

Meiners odpowiadał niemal dokładnie owemu powiększonemu zdjęciu, które Tantau nosił przy sobie. Trzeba było tylko uwzględnić pewną poprawkę, jeśli idzie o lata: sieć zmarszczek pod oczyma, bardziej zacięte i węższe usta, skóra nie mająca nic wspólnego z młodością. Uderzająco nie zmienione były tylko oczy: wielkie, barwy zbielonego lazuru letniego nieba, śmiertelnie znużone — odbłask słońca prażącego za dalekimi, białoszarymi chmurami.

— Dzień dobry, panie Meiners — rzekł portier przyjaźnie.

— Dzień dobry — odparł Meiners. Głos miał chropawy i całkiem bezbarwny, miało się wrażenie, że mówienie przychodzi mu z trudem. Tantau, który patrzył obojętnie przed siebie, zauważył na szyi Meinersa szeroką, kiedyś zapewne bardzo głęboką szramę, jeszcze nie zabliznioną i różową. Biegła od lewego ucha, tuż koło arterii, aż gdzieś głęboko za kołnierz.

— Niestety nie było żadnej poczy, panie Meiners — powiedział portier z ubolewaniem i wziął podany mu przez Meinersa klucz od jego pokoju.



— Żadnej poczty nie oczekuję — odparł obojętnie Meiners. Był uprzejmy, ale bez przesady. Patrzył poprzez portiera i Tantaua gdzieś w próżnię. Uśmiechał się przy tym; w uśmiechu tym był smutek bezbronnego dziecka.

Tantau popatrzył w ślad za nim. Zauważył, że Michel Meiners niepewnie posuwa się naprzód, jakby się obawiał, żeby się nie potknąć. Szedł zgarbiony, przechylony nieco na lewy bok, miało się wrażenie, że jego lewe ramię porusza się bezwładnie jak wahadło zegara.

— Wyjątkowo sympatyczny pan — zauważył portier.

— Miejmy nadzieję, że się pan nie myli. — Tantau popadł w głęboką zadumę. — Prawie żaden człowiek nie wygląda na takiego, jakim jest w istocie.

Powiedz mi prawdę! Przecież jestem twoim bratem. — Karl Schulz sądził, że będzie to dla Ewy najmocniejszy argument. Ciągłe go używał — bo od ubiegłej nocy, kiedy to Ewa, na którą czekał z niecierpliwością, przyszła bardzo późno do domu, dręczył ją i męczył: Powiedz mi prawdę! Ale nie powiedziała mu jej. W ogóle nic nie powiedziała.

Przeszła noc. Dał jej możliwość przespania sprawy. Mimo to rezultat był równy zeru. Nalegania jego do niczego nie doprowadziły.

— Droga Ewo — powiedział tak łagodnie, jak tylko potrafił — nie myśl, że nie mam zrozumienia dla ciebie i natury w ogóle. Od lat żywałem się z myślą, że ujrzę cię kiedyś przed sobą jako kochającą żonę i matkę.

— No to wszystko w porządku. — Ewa spojrzała na brata z promienną wdzięcznością. — Mogę więc wrócić do swojej roboty. Zrobić ci filiżankę kawy?

— Droga Ewo — rzekł Schulz, nagle zaniepokojony — do tak zwanej miłości potrzeba zawsze dwojga i od tych dwojga cała rzecz zależy. Ciebie znam, wiem, co jesteś warta, jestem absolutnie pewien, że z twojej strony wszystko jest czyste i bez zarzutu. Ale on? Przecież go nie znam.

— Poznasz go – powiedziała Ewa— jak się wszystko wyjaśni.

— Jak się co wyjaśni?

Ewa znowu uchyliła się od odpowiedzi. I Schulzowi wydało się to bardzo podejrzane.

— Czy to człowiek jakiegoś rzetelnego formatu i o jakimś nazwisku? Ma coś, umie coś, jest kimś? Wiesz doskonale, że nie stawiam wygórowanych wymagań. Ostatecznie zawód nie gra roli, dochody również, a pochodzenie jest mi obojętne. Ale czy to przyzwoity chłopak?

— Myślę, że tak.

— Co tu znaczy myśleć! Musisz być tego pewna, musisz mieć na to dowód! Kim jest ten młodzik, z którym spacerujesz po nocach?

— Polubisz go już choćby dlatego, że go kocham.

— A on kocha cię również?

— Oczywiście. Możliwe tylko, że sam tego jeszcze dobrze nie wie. I dlatego uważam, że trzeba mu dać czas, że nie wolno tu nic przyspieszać.

— Słuchaj, Ewa, musimy to wszystko pchnąć na normalne tory. Po co ta cała tajemniczość? To podejrzane włóczenie się po nocach! Proponuję, żebyś go do nas zaprosiła. Przyjmę go jak członka rodziny z całą życzliwością. Cóż ty na to?

— Nie teraz — odparła z łagodnym uporem. — Jeszcze nie.

— Co, u diabła, czy wstydzisz się pokazać mi tego ananasa?

Ewa potrząsnęła przecząco głową.

— Mam wrażenie, że go ponosi, kiedy mowa o rodzinie i jej członkach, jest na tym punkcie uczulony. Zdaje się, że ma w tej dziedzinie bardzo smutne doświadczenie. Trzeba mieć w stosunku do niego wiele cierpliwości. I ja ją mam.

Karl Schulz zerwał się z krzesła i zagroził jej drogę.

— Ewo — rzekł rozkazującym tonem — wszystko to jest dla mnie niesłychanie podejrzane. Nie podoba mi się to i położę temu kres. Od tej chwili, od zaraz, nie będziesz już więcej wychodziła z domu po zapadnięciu ciemności, chyba w moim towarzystwie albo w towarzystwie kogoś

zaufanego, na przykład Hirscha. A jeżeli ten młodzik czegoś od ciebie chce, niech się łaskawie zamelduje przedtem u mnie.

**J**est pan dla mnie bardzo miły — rzekła Brygitta. — Nie wiem naprawdę, jak mam panu za to dziękować.

— Moje drogie dziecko — rzekł Gisenius tonem zdecydowanie ojcowskim — nie musi mi pani dziękować. Uważam, że powinienem troszczyć się o moich bliźnich, zwłaszcza wówczas kiedy sądzę, że ma to sens.

Gisenius przyglądał się siedzącej przed nim dziewczynie z życzliwością. Siedziała na brzegu krzesła w odległości jakiegoś metra od niego. Jej okazały biust wspaniale wypełniał trawiasty pulower.

Gisenius przyjął ją oczywiście w swoim biurze, bo jakież miejsce mogło być bardziej naturalne? Tu, jego zdaniem, wszelkie nieporozumienia były wykluczone.

Serdecznie było mu jej żal. Zaraz za pierwszym razem, kiedy ujrzał ją na podium tej wątpliwej kawiarni „Paris”, zapragnął zająć się nią, to znaczy ustrzec ją od tego, by demonstrowała przed tłumem gapiów w ewolucjach tanecznych swoją dziewczęcą niewinność.

— Każdy człowiek — oświadczył — musi mieć prawo do zachowania swej godności. Społeczeństwo powinno dążyć do osiągnięcia tego. To państwo jest najlepsze, które pozwala na swobodny rozwój jednostki. Oto, chyba wolno mi tak powiedzieć, cel, dla którego żyjemy.

— Jak pięknie! — zawołała Brygitta z przekonującą naiwnością.

Od jej widoku tajało mu serce. Bo serce to biło między innymi i dla młodzieży, w której rękach spoczywała przyszłość.

— Winniśmy spróbować — powiedział, kładąc na moment swą rękę na jej kolanie — znaleźć odpowiednią drogę, która umożliwiłaby pani, drogie dziecko, ukształtowa-

nie możliwe jak najprzyjemniejszej i najpomyślniejszej przeszłości.

— To byłoby pięknie — powiedziała Brygitta, przysuwając się nieco bliżej. — Mam do pana takie zaufanie!

— Tak, właściwie mógłbym być pani ojcem — rzekł Gisenius z godnością w głosie.

— Ale nie jest pan nim — odparła Brygitta z rozbrajającą trzeźwością.

Gisenius kiwnął głową niemal automatycznie — inna reakcja nie przyszła mu w danym momencie do głowy. Potem znowu położył rękę na kolanie Brygitty — było to jej lewe kolano. To dotknięcie, przeciwko któremu nie protestowała, trwało o wiele dłużej niż pierwsze.

— A teraz, moje dziecko — powiedział — zastanówmy się nad tym, co można dla pani zrobić. Myślała pani już o tym kiedyś? Musi pani zacząć zupełnie od nowa, moje dziecko.

— Zrobię to chętnie, skoro pan tego chce! Nie wiem tylko, co sobie pan przez to wyobraża. Ja przecież niczego się nie uczyłam. Umiem tylko trochę tańczyć. Wiem, że to niewiele, ale można z tego żyć. Cóż mogę robić innego, niech mi pan powie.

— No cóż — rzekł Gisenius z namaszczeniem — jest cała masa możliwości, chodzi tylko o to, czy byłaby pani gotowa mi zaufać.

— Ależ tak! — zapewniła go Brygitta. — Panu można zaufać z całym spokojem, czuję to przez skórę.

— Niech mi pani pozwoli chwilę się zastanowić — rzekł Gisenius pod wpływem tak rozbrajającej ufności. — Na przykład mogłaby pani spróbować pracować tutaj w biurze pod moim osobistym kierownictwem. Podobałoby się to pani?

— Nie wiem dobrze — odparła Brygitta, pochylając głowę. — Mam wrażenie, że jestem bardzo głupia.

— No cóż, są jeszcze inne możliwości.

— Najchętniej uczyłabym się, uczyła bez końca, i to we własnym mieszkanku. To takie praktyczne! Nie uważa pan?

— Zobaczmy — rzekł Gisenius, spojrzawszy na stojący na biurku zegarek. Najwyższy czas iść do dyrektora Kerze — nie może nie wziąć udziału w tej wielkiej dla niego godzinie. Ujął rękę dziewczyny, mocną, zdecydowaną

w gorącym uścisku, i powiedział: — Czuję, że mi pani ufa, drogie dziecko. Nie pożaluje pani tego. — Jestem tego pewna — odparła Brygitta.

**C**zy mogę mówić z panią Kerze? — zapytał Tantau z wyraźnym respektem. — Z panią dyrektorem Kerze? — Przykro mi — odparła pani Brandstadter, zachowując dystans. — Jestem tu jedynie gospodynią.

— Bardzo przepraszam. Myślałem...

— Nie ma tu żadnej pani Kerze — oświadczyła pani Brandstadter z rezerwą.

Tantau oczywiście o tym wiedział — był prawie zawsze zorientowany w stosunkach rodzinnych swoich klientów. Należało to do jego zasad. Tantau wiedział również, że Kerze nie było w tej chwili w domu, że znajdował się w fabryce. Dlatego właśnie Tantau się tu pojawił. Bennicken czekał na niego przy wejściu w swojej taksówce.

— A to rzeczywiście szkoda. — Tantau spoglądał na panią Brandstadter dobrotliwymi, niemal psimi oczyma. — Trzeba pani wiedzieć, że zbieram dla pana Kerzego informacje. Nazywam się Tantau, Heinrich Tantau.

— Niechże pan wejdzie do środka — rzekła pani Brandstadter nie bez zainteresowania. — Jeżeli ma pan ochotę, może wypić pan ze mną filiżankę kawy.

— Pewnie parzy pani świetną kawę — powiedział Tantau z nadzieją w głosie. — Takie mam wrażenie. I dlatego nie mogę pani odmówić.

W trzy minuty później Tantau siedział już w kuchni: chrom, lakier, wszystko ze srebrnym połyskiem i śnieżnobiałe. Te niemal całkowicie zautomatyzowane kuchnie stawały się coraz bardziej podobne do semaforów ulicznych albo do lodówek. Sale operacyjne. Odblask Hollywood plus Ford-Company.

Tantau zaczął beztrzęsą pogawędkę. Pani Brandstadter słuchała uważnie. Mógł z tego wywnioskować, że brak jej w tym domu okazji do interesujących rozmów. Przyjął to do

wiadomości z zadowoleniem, bo pani Brandstadter musiała odczuwać potrzebę wygadania się przed kimś. Aby ją do mówienia pobudzić, Tantau stworzył najpierw atmosferę zaufania. Zastosował przy tym taktykę podwójną. Po pierwsze, dał pani Brandstadter do zrozumienia, że uważa ją za osobę niezwykłą — jest świetną gospodynią, patrz kawa, i wartościowym człowiekiem, patrz zmysł gościnności. Po drugie, uświadomił ją, że jest dobrze poinformowany, a więc zasługuje na zaufanie. W tym celu mówił o Giseniusie, o paninie Karen Kerze i o Hirschu — wprawdzie w sposób raczej aluzyjny, ale tak, że można było przypuszczać, iż doskonale orientuje się w sprawach rodzinnych, a nawet intymnych. Pani Brandstadter odtajała wyraźnie i zaczęła się wiosennie uśmiechać.

— Tak, z młodzieżą ma się zawsze zmartwienia i kłopoty. A tej biednej Karen zabrakło matki.

— Ale była przecież szanowna pani.

— Cóż ja mogłam zrobić dla tej dziewczyny? — rzekła pani Brandstadter żałośnie. — Była przeważnie u obcych ludzi. A mnie coraz bardziej pochłaniał dom. Co się zaś tyczy dyrektora Kerze, to on zawsze myśli tylko o swojej pracy, niestety nie ma zrozumienia dla uregulowanego życia rodzinnego.

— No cóż, to prawdziwy mężczyzna! Ale czasem daje się to we znaki, prawda?

— Pan się pewnie nieźle w tym wyznaje, co?

— Ależ oczywiście. Może pani mówić ze mną zupełnie otwarcie, jestem dyskretny. Proszę liczyć na moje całkowite zrozumienie i mówić dalej.

**W**ybrałem ciemnogranatowy garnitur wieczorowy — rzekł Kerze. — Jest reprezentacyjny, ale nie zanadto uroczystry. A może powinienem wziąć inny? — Zostań w tym, w czym jesteś — odparł

Gisenius.

— W ciągu ostatnich lat zrobiłeś się niezwykle czuły na punkcie reprezentacji.

Znajdowali się w biurze zakładów „Stabilator”, Spółka Akcyjna Kerze, której wszystkie akcje posiadał sam Kerze. Jeżeli nawet na pozór zdawały się one być częściowo w innych rękach, to jednak pozostawały własnością rodziny — a rodziną był Willy Kerze. Wkrótce wybije jedna z wielkich dla niego godzin: wręczenie przez ministra Krzyża Zasługi.

— Tania ta cała impreza nie będzie — rzekł Gisenius.

— Ale też i nie za droga — powiedział Kerze, poprawiając krawat. — Punkt najbardziej drażliwy: ewentualną stratę płatnych roboczogodzin rozwiązałem zdaniem moim wcale praktycznie. Z pomocą Bartoscha udało mi się wpłynąć na ministra, aby naprzód przeprowadził lustrację fabryki, która oczywiście musi pracować pełną parą. Lustracja będzie trwała do oficjalnego zakończenia dnia pracy. Dopiero wtedy wszystko popłynie do hali głównej, gdzie się odbędzie uroczystość.

— Jestem pełen podziwu! — powiedział Gisenius. — To się nazywa zmysł organizacyjny! W ten sposób zaoszczędzisz sobie niebagatelne sumy. Wobec tego teraz przyjdzie ci, mam nadzieję, łatwo wysłuchać moich życzeń specjalnych.

Z twarzy Kerzego błyskawicznie znikł wyraz zadowolenia.

— Powinienem był się tego spodziewać — mruknął fabrykant gniewnie. — Oczywiście nie przyszedłeś tu tak wcześnie po to, aby ze mną pogadać; chcesz mnie znowu wypompuwać. Ale jedno ci tylko powiem: ostatecznie nie należę do tych, którzy bez przerwy srajają pieniędzmi! I tak już finansuję tę idiotyczną akcję szukania Meinersa. A propos, co jest w ogóle z tą sprawą?

— Nic — rzekł Gisenius lakonicznie. — Prawie nic. Uważam to za dobry znak.

— A więc jednak fałszywy alarm? — Kerze nie omieszkiał okazać uczucia ulgi. — To dobrze, tym lepiej.

— Poza faktem, że Hirsch usiłował nas najwyraźniej nabrać.

— To do niego podobne! — zawołał Kerze.

— Pewne jest w każdym razie jedno: że Hirsch świadomie, z premedytacją, wszczął fałszywy alarm. Ten Tantau

bowiem wyszedł owego człowieka, w którym Hirsch rozpoznał w swoim lokalu Meinersa. Człowieka tego wzięli w obroty Frammler i Bennicken. Rezultat: Bogu ducha winny facet, nieco tylko podobny do Meinersa. Ale zeznał, że zna Hirscha.

— A to świństwo! — wrzasnął Kerze oburzony. — Jak ten Hirsch mógł nam coś podobnego zrobić?

— Może to pytanie powinno raczej brzmieć następująco: Jaki cel miał miał w tym Hirsch, co chciał przez to osiągnąć?

— To, zdaje się, podstępna bestia! — rzekł Kerze szorstko. — Ale jeżeli zrobi jakieś głupstwo, dam mu po krzyżu, pozbawię go chleba i sprawię, że nikt mu nie da pracy. Mogę to uczynić, mam w rękę wszystkie środki po temu.

— Naprawdę? — zapytał Gisenius nadstawiając uszu.

Kerze podszedł do telefonu. Kazał się połączyć ze swym mieszkaniem i zażądał Saffranskiego. Kiedy jego buchalter się zameldował, wydał mu następujące polecenie:

— Proszę jeszcze dziś zakończyć swoje badania. Proszę przygotować do podpisu umowę ze spółką z ograniczoną odpowiedzialnością Hotele Europa. Życzę sobie, żebyśmy już jutro mogli tę sprawę zakończyć.

— Pięknie — rzekł Gisenius. — Wydane przed chwilą przez ciebie zarządzenia mogłyby na razie stanowić wstęp do dalszych posunięć. Ale o tym potem. Przejdźmy do mojej sprawy. Czy naprawdę zamierzasz dziś wieczorem ogłosić zaręczyny swojej córki Kar en z Bartoschem?

— Ależ naturalnie — zapewnił go Kerze gromkim głosem. — To już przecież zdecydowane. I to nie bez twojej czynnej pomocy.

— No tak — powiedział Gisenius — zaręczyny te przyniosą cały łańcuch korzyści, niezależnie od zysku czysto osobistego. — Po chwili dodał: — Właśnie dlatego powinniśmy starać się usunąć z drogi także te ostatnie możliwe trudności i momenty niebezpieczne.

— Co masz na myśli?

— Pewne akta, do których mam wgląd. Obojętne, skąd pochodzą, ważna jest jedynie ich treść. Akta te zawierają



przekonywający zbiór dokumentów świadczących przeciw Bartoschowi. Naprawdę przekonywający. Chyba wiesz, że pod tym względem możesz na mnie polegać. Materiał jest wręcz druzgocący. Ze wszystkimi szczegółami. Chyba już wiesz, na jaki temat.

— Rany boskie! — zawołał Kerze. Jego blada twarz malowniczo kontrastowała z ciemnogrnatowym ubraniem. To nie może być prawdą!

— Uspokój się — rzekł Gisenius. — Bardzo możliwe, że ten materiał jest sfałszowany. Ale nawet w tym wypadku, mój drogi, nie byłby on ani odrobinę mniej niebezpieczny. Jeżeli chcesz uniknąć przykrych komplikacji, musisz go wykupić.

Gisenius nie powiedział, że ma ten dokument w ręku. Ostatecznie nie był instytucją charytatywną. Gdyby Kerze był w biedzie, nie wahałby się ani przez sekundę i wręczyłby przyjacielowi akta jako rodzaj zaręczynowego podarunku. Ale Kerze był człowiekiem bogatym, więc było rzeczą całkiem sprawiedliwą i naturalną, że Gisenius dopominał się o pewnego rodzaju rekompensatę. Za uzyskaną od Kerzego sumę Gisenius zamierzał następnie odkupić od Lehmgrubera akta dotyczące jego własnej osoby. Czymże to było, jeśli nie dalszą wersją sprawiedliwej rekompensaty? Akta na temat jego osoby, znajdujące się u tego szpicla i donosiciela Lehmgrubera, nie niepokoiły go zbyt. Ale musiał je mieć, choćby dlatego, żeby nikt nie zrobił z nich niewłaściwego użytku.

— No pięknie — rzekł wreszcie Kerze. — Kupuję to świństwo dla świętego spokoju. Ile ma to draństwo kosztować?

— Tysiąc marek — rzekł Gisenius. Suma ta była dla kasy jego dobrych uczynków zapowiedzią stuprocentowego zarobku.

— Zrobione! — mruknął gniewnie Kerze. I tonem żalostnej skargi dodał: — Jak ten Bartosch śmiał mi coś podobnego zrobić? — Przeszedł się zdenerwowany po pokoju i stanął przed Giseniusem. — Oczywiście odciągnę to temu łajdakowi z posagu, to chyba jasne. Powinien być zadowolony, jeżeli w ogóle dostanie ode mnie jakiś fenig! Ale za-

jmijmy się teraz tą przyjemną stroną życia: lada chwila winien przybyć minister.

**U**ważam — rzekł Tantau — że powinna pani wziąć udział w tej wielkiej dla jej pracodawcy godzinie. — Mam tak strasznie dużo roboty — odparła pani Brandstadter. — Wszystko spoczywa na moich barkach.

Mimo to ciągle jeszcze siedziała z Tantauem w kuchni przy stole. Jej pęd do mówienia został całkowicie wyzwolony i rozładowany. Nie wyglądała ani na zapracowaną, ani na taką, na której barkach wszystko spoczywa. Zimnym bufetem dla gości zajął się sklep z delikatesami w Rheine--Bergen, napoje już były gotowe od południa, i od południa służąca polerowała szklanki i kieliszki.

— Chętnie wzięłabym w tej uroczystości udział — krygowała się pani Brandstadter — zwłaszcza że pan dyrektor gorąco mnie zapraszał.

— Dlaczegoż więc się pani ociąga?!. — zawołał Tantau niezwykle uprzejmie. — Jeżeli pani pozwoli, podwiozę panią moim wozem, który stoi przed domem.

— Skoro pan uważa, że nie powinno mnie tam zabraknąć — krygowała się pani Brandstadter w dalszym ciągu — chętnie skorzystam z pańskiej oferty.

— Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność — zapewnił ją Tantau z całym bezwstydem. — A więc jedźmy! Nie możemy stracić pierwszego aktu.

Przed wyjazdem pani Brandstadter raz jeszcze zaprodukowała się jako władczyni domu. Tymczasem Tantau rozkoszował się pochodzącym z importu cygarem Kerzego. Nie uchodziło przy tym jego uwagi nic z tego, co robiła pani Brandstadter. Nie potrzebował się zresztą zbytnio wysilać. Zostawiła bowiem drzwi od kuchni szeroko otwarte i zachowywała się głośno i bez żenady, jak zwykle, gdy Kerzego nie było w domu.

Tantau rejestrował rzeczy następujące:

Po pierwsze: Pani Brandstadter strofowała w holu osobę, która była niezawodnie służącą, robiła jej wyrzuty, że szklanki nie mają dostatecznego połysku, domagała się porządnej roboty. Obwieściła potem, że ma zamiar wyjść z domu, aby uczynić zadość osobistemu zaproszeniu dyrektora Kerze. I przestrzegala służącą, aby nie wyzyskiwała tej sposobności i nie leciała na spotkanie ze „swym chłopakiem”, mechanikiem, który miał warsztat w odległości dwustu metrów od willi Kerzego.

Po wtóre: Pani Brandstadter udała się do pomieszczenia, które musiało znajdować się gdzieś w pobliżu długiego korytarza. Był w nim chyba mężczyzna w nieokreślonym wieku. Pani Brandstadter mówiła do niego uprzejmie „panie Saffranski”. Pragnęła wiedzieć, czy nie ma jakichś specjalnych życzeń. Saffranski oświadczył: „Mam jeszcze roboty na pięć, dziesięć minut, a potem pójdę do fabryki; nie mogę nie uczestniczyć w tak ważnej dla naszego pana dyrektora uroczystości”.

Po trzecie: Pani Brandstadter zaczęła wołać donośnym głosem jakiegoś Konstantina. Wkrótce potem rozległy się kroki, kroki małego chłopca. Chłopiec ten jasnym, odrobinę zalęknionym głosem zapytał, czego od niego chcą. Pani Brandstadter pragnęła się dowiedzieć, czy odrobił już zadania domowe. Chłopiec odpowiedział, że jeszcze nie. Zganiono go za to i polecono mu, aby zabrał się energicznie do pracy. I chłopiec imieniem Konstantin powiedział: „Dobrze!”

Te trzy wydarzenia, które Tantau zarejestrował zgodnie ze swymi zwyczajami, miały nabrać specjalnego znaczenia dopiero później — później, kiedy już miało być dla kogoś za późno.

Na razie Tantau był całkowicie pochłonięty budującym wyglądem pani Brandstadter: miała na sobie karakułowe futro. Nie było wprawdzie pierwszej jakości, ale świadczyło o tym, jak lukratywna jest służba u takiego człowieka jak Kerze.

Potem wsiedli do samochodu, który Tantau bezceremonialnie określił jako „mój wóz”. Była to taksówka Beimi-ckena.

Kiedy Tantau wsiadł do niej z panią Brandstadter, Ben-nicken ledwie na nich spojrział. Zapуścił tylko motor i czekał, aż mu powiedzą, dokąd ma jechać.

— Do fabryki — rzekł Tantau pogodnie. — Uroczystość może się już rozpoczynać.

Pan minister już wyjechał — obwieścił portier zakładów „Stabilator”. — Posuwa się w tempie umiarkowanym. Zjawi się tu za jakieś siedem minut. Wszystko było wspaniale zorganizowane. Kerze oddał sprawy organizacyjne w niezawodne ręce szefa sprzedaży, pana Sangerwalda. Ow pan Sangerwald był jegośmościami kutym na cztery nogi, oblatanym; wielokrotnie udało mu się sprzedać leżący od lat na składzie towar jako towar zupełnie nowy i oryginalny. Miał pensję i prowizję, jeździł chevroletern okazałych rozmiarów i nawet sam Kerze traktował go w pewnej mierze z respektem.

Pan Sangerwald miał bowiem ambicję umieć wszystko, znać się na wszystkim.

— Zawiadomić dyrektora Kerze! — zawołał do portiera. Potem donośnym, nawykłym do rozkazywania głosem rzucił następujące pytania: — Orkiestra gotowa? Kwiaty? Delegacja zakładowa?

— Gotowe! — zabrzmiały w odpowiedzi liczne głosy. Plan kierownika działu sprzedaży wszedł w tym momencie w stadium realizacji. Pan Sangerwald nie pozostawił niczego przypadkowi, sprawdzał i wypróbowywał każdy szczegół tak długo i tak gruntownie, że wszystko funkcjonowało teraz „jak na sznureczku”. A przy tym, rzecz godna uwagi, kierownik działu sprzedaży nie miał dotąd zaszczytu zapoznać się z dryblem wojskowym — on miał to we krwi.

Jeszcze raz powiódł po hali badawczym wzrokiem: na lewo u wejścia kapela zakładowa, na prawo delegacja zakładowa, wybrana w porozumieniu z chrześcijańskimi i socjalistycznymi związkami zawodowymi, tuż przy niej dziecko robotnicze — córka portiera z kwiatami.

Wreszcie zjawił się w towarzystwie doktora Giseniusa dyrektor Kerze. Kierownik sprzedaży podbiegł ku nim i zameldował swemu dyrektorowi, że wszystko do przyjęcia jest, w myśl rozkazu, gotowe. Kerze podał swemu wzorowemu pracownikowi rękę. Gisenius uczynił to samo. Ludzie przypatrywali się temu z zainteresowaniem.

Kerze udał się na zarezerwowane dla niego miejsce. Dotarłszy tam, pozwolił przewodniczącemu delegacji uściskać sobie rękę i wykrztusił kilka słów pochwały. Potem ujął przyjaźnie dziecko portiera pod brodę. Równie przyjaźnie skinął ręką orkiestrze, za co kapelmistrz podziękował po wojskowemu, podrywając się w milczeniu na baczność.

Niemal w tym samym momencie pojawił się na horyzoncie wóz pana ministra. Ale wbrew planowi organizacyjnemu tuż za nim posuwał się jakiś nie przewidziany wóz. Dopiero o wiele później rozpoznano w nim taksówkę Bennic-kena, w której jechali Tantau i pani Brandstadter. Na razie wszyscy patrzyli na wóz pierwszy. Był to tradycyjalny, uroczyście czarny mercedes-300.

— Uwaga! — zawołał kierownik działu sprzedaży. I orkiestra zaczęła grać marsza *Miałem kolegę*. Robotnicze dziecko portiera podreptało zdenerwowane naprzód, przewodniczący delegacji zakładowej chrząknął. Poprzez czarne chmury przedarł się promień słońca; słońce zdawało się przejawiać w ten sposób swą gotowość ozłocenia swymi promieniami tej pięknej, podniosłej, niesłychanie demokratycznej uroczystości. Dyrektor Kerze uśmiechnął się na powitanie.

Wysiadł minister gospodarki tego kraju, pan Bocksdorff; nazwisko nie miało tu zresztą większego znaczenia. Towarzyszył mu starszy radca ministerialny Johannes Bartosch. Kerze wyszedł im obu naprzeciw. Mimo hałaśliwej muzyki obecni usłyszeli słowa: „Witam... zaszczyt zupełnie wyjątkowy... mam nadzieję, że się panu ministrowi spodoba...”

Minister dziękował, kiwał głową, uśmiechał się, wreszcie uściskał rękę Kerzemu, a następnie Giseniusowi, szefowi działu sprzedaży i przewodniczącemu delegacji zakładowej. Potem i on ujął robotnicze dziecko pod brodę i poki-

wał ręką orkiestrze zakładowej. Uśmiechał się przy tym, uśmiechał niezmordowanie.

Tymczasem kierownik działu sprzedaży obwieścił:

— Obchód zakładów „Stabilator”, oprowadza gości dyrektor Kerze.

A przy bramie zaczął głośno i gwałtownie trąbić Bennicken. Wysunąwszy z taksówki swój wielki łeb, ryknął:

— Otwierać bramę, do jasnej cholery!

**C**hłopaczek Konstantin siedział zgarbiony w swoim pokoju. Obiema dłońmi ścisnął sobie głowę i martwym wzrokiem spoglądał na swoje zadanie domowe. Konstantin zdawał się nic nie wiedzieć i nic nie słyszeć. Nie zauważył nawet, że drzwi jego pokoju się otworzyły. Pochłaniało go zadanie, usiłował się skupić na nim całkowicie. Mimo najlepszej chęci nie potrafił rozwiązać zadań, które miał przed sobą.

Przez ostrożnie uchylone drzwi wszedł Saffranski. Trzymał ręce na piersiach, wygląd miał niemal uroczysty. Na twarzy jego widniał wyraz powagi, nie było na niej teraz nawet cienia służalczego oddania. Saffranski stał tak nieruchomo przez dłuższą chwilę. Smutnymi, zimnymi oczyma przyglądał się siedzącemu w odległości kilku metrów od niego Konstantinowi. Patrzył na jedwabiste jasne włosy chłopca, na jego pochylony kark, na jak gdyby skurczone plecy. Wszystko to miało kształt łagodnych linii i łuków i było powleczone skórą delikatną jak aksamit. Saffranski stał przez chwilę z lekko otwartymi ustami, potem powoli, cicho, na palcach, zaczął posuwać się ku Konstantinowi.

Konstantin nie odrywał oczu od leżącej przed nim niemal jeszcze pustej kartki. Próbował raz po raz skupić się na wypisanych na niej kolumnach cyfr. Były ich całe stada, ze znakami plus i minus, podkreślone grubą poziomą kreską, i czekały na rozwiązanie, którego nie potrafił znaleźć.

Nagle Konstantin zobaczył na papierze szeroki, ciemny cień. Przestraszył się, zerwał się z miejsca, aby się od tego cienia uchylić. Przebiegło go gwałtowne drżenie, odwrócił szybko głowę i jego szeroko rozwarłe oczy ujrzaly Saffranskiego.

Saffranski uśmiechnął się.

— Ach! — zawołał Konstantin z ulgą. — To pan, panie Saffranski!

— Przestraszyłeś się?

— Pana nie!

— Aleś się przestraszył, prawda?

— Tak, przeląknęłam się — przyznał Konstantin.

Uśmiech Saffranskiego się pogłębił, ale oczy jego pozostały dalej na pół przymknięte. Rozluźnił swe długie, chude palce, wyciągnął przed siebie rękę i pogłaskał nią chłopca po włosach, potem po karku, bardzo delikatnie, a potem ręka jego powędrowała na plecy Konstantina. Tu pozostała. Nie była ciężka, ale nie była też czuła; była jakby martwa, bezcielesna. Saffranski powiedział cicho, ale z naciskiem:

— A więc się boisz?

— Ależ nie! — próbował bronić się Konstantin. — Dlaczego miałbym się bać?

— Szedłeś już przez las, sam przez gąszcz drzew i zarośli? Zarośli, które oplatają się wokół twoich nóg jak zmije, drzew, które, kiedy na nie spojładasz, zdają się grozić, że runą na ciebie? Chodziłeś kiedy po pustym domu, gdy o dach bije deszcz, słyszałeś, jak dom zaczyna trzeszczeć, kiedy szaleje wiatr? Nigdy nie leżałeś w łóżku, a wokół ciebie była tylko noc, zimno i dręcząca cisza? Czuleś wtedy, jak ci serce drży, jak dygocą kolana i kurczy się żołądek? Przeżyłeś to kiedy?

— Nie wiem — odparł Konstantin z udręką w głosie. Oczy i usta miał szeroko otwarte. Zdawało mu się teraz, że odczuwa to wszystko, o czym mówił Saffranski: bezwład nóg, bicie serca, ucisk w żołądku.

— A więc jednak się boisz! — zawołał Saffranski niemal uszczęśliwiony. Zamknął na chwilę oczy. — Strach, nic tylko strach.

— Ale nie wtedy, kiedy pan jest przy mnie! — rzekł Konstantin śmiało i z ufnością.

— To dobrze — powiedział Saffranski. — I ręka jego, która spoczywała na plecach chłopca, znowu jakby ożyła, stała się ciężka i osunęła się nieco w dół. — Możesz mieć do mnie zaufanie.

— Mam je! — Konstantin zapewnił go o tym niemal gwałtownie, jakby zakwestionowano jedną z jego cnót. Ale natychmiast dodał z chłopięcą beztrąską: — Pomoże mi pan rozwiązać zadanie, panie Saffranski?

— Oczywiście, mój chłopcze.

Saffranski stanął za Konstantinem i pochylił się nad kartką papieru. Położył teraz obie ręce na ramionach chłopca, piersią dotykał jego pleców. Milczał przez dłuższy czas, słycać było tylko jego ciężki oddech. Wreszcie powiedział:

— To zadanie da się łatwo rozwiązać. Uporamy się z nim w ciągu dziesięciu minut. Potem może pójdziemy trochę do ogrodu albo gdzie indziej. Jeżeli rzeczywiście, jak twierdzisz, się nie boisz, to jesteś z pewnością odważny. Prawda?

— O tak! — zapewnił go Konstantin skwapliwie.

— No tak — rzekł Saffranski łagodnie — może wkrótce będziemy mieli okazję wypróbować twoją odwagę.

**U**waga — zawołał kierownik działu sprzedaży w stronę hali numer trzy. — Minister nadchodzi! Tym samym został zrealizowany następny punkt tak wspaniale opracowanego programu; za chwilę nastąpi punkt kulminacyjny: wręczenie Krzyża Zasługi. Publiczność, gotowa do niemego podziwu, stała już przepisowo w ordynku. Wielka godzina zakładów „Stabilator” nadeszła.

Ludzie — zwani również wielką rodziną zakładów — stali niemal na baczność, a w każdym razie w całkowitym milczeniu. Niektórzy spośród starszych dali się ponieść uroczystemu nastrojowi chwili, niejeden z młodszych był również oszołomiony tym niecodziennym wydarzeniem. Można



powiedzieć, że załoga fabryczna spoglądała na ministra z przejęciem.

Również i ministra ogarnęło coś w rodzaju wzruszenia; wtajemniczeni wiedzieli, że była to jedna z jego specjalności: potrafił tak patrzeć, jakby widział wokół siebie tylko wielkość i wzniosłość. Nawet premier zwrócił uwagę na tę jego właściwość, wskutek czego minister otrzymywał często takie honorowe zadania. Ci, którzy o tym wiedzieli, nazywali go ministrem gospodarki i życia wewnętrznego.

Orkiestra i chór zakładowy zaintonowały w myśl punktu pierwszego, litera b — piękną i wzniosłą pieśń: *Witaj kraju przodków*. Minister udał się na mównicę ścieżką zakreśloną kredą. Szli za nim Kerze, Bartosch, Gisenius, kierownik działu sprzedaży i przewodniczący delegacji zakładowej.

Na podium stał udekorowany fotel honorowy, obok niego drugi, zarezerwowany wyraźnie dla dyrektora Kerze. Dalej na prawo i na lewo krzesła dla gości honorowych, dla przodujących pracowników zakładów, dla członków ich rodzin i dla przyjaciół. Szary tłum stał.

Na jednym z krzeseł zarezerwowanych dla członków rodzin i dla przyjaciół rozsiadł się z uśmiechem zadowolenia, z lekko przymkniętymi oczyma, Tantau. Bennicken, zgodnie ze swym zwyczajem, stał w pobliżu, spokojny, olbrzymi, gotowy na każde wezwanie. To, co się wokół niego działo, wyraźnie go nie interesowało. Czekał. Nikt nie wiedział, na co.

Tantau pochylił się nieco ku siedzącej jak paw pani Brandstadter i szepnął jej do ucha:

— Kim jest ten młody człowiek, co asystuje ministrowi i dyrektorowi Karzemu?

— To jego przyszły zięć, pan Bartosch. — Pani Brands-tadter wiedziała wszystko i tym, co wiedziała, dzieliła się z Tantauem, skoro ją tylko o coś zapytał. Zasłużył na coś więcej niż na jej uprzejmość — na zaufanie. Nigdy dotąd nie spotkała jeszcze człowieka, który by potrafił słuchać z taką uwagą. Szybko szepnęła mu do ucha jeszcze kilka szczegółów.

Tymczasem program uroczystości realizowany był dalej. Nadszedł punkt 3, litera b: powitanie obecnych przez re-

prezentanta firmy. Reprezentantem tym był w myśl swoich zarządzeń sam kierownik działu sprzedaży. Wszedł na mównicę, rozpostarł rękopis i zaczął czytać. Miało to trwać siedem minut, czas był odmierzony stoperem co do sekundy.

Następnie przysła kolej na punkt 4: mowa pana ministra z okazji odznaczenia Krzyżem Zasługi, potem wręczenie go. Sama mowa ministra nie była ważna. Kogo to interesowało, mógł ją przeczytać w pierwszej lepszej gazecie, bo tekst przemówień wygłaszanych przy okazji wręczenia mniejsza o to czego i komu był prawie zawsze ten sam.

Reakcję dyrektora Kerzego jednak można było śmiało nazwać pokornym wzruszeniem. Stał skromnie ze spuszczoną głową, wyglądał prawie tak, jakby chciał przyłożyć ręce do szwów spodni — pięty razem, stopy rozwarłe pod przepisowym kątem.

— Dobra szkoła, czego człowiek się nauczy, to mu na zawsze zostaje — mruknął Tantau.

Pani Brandstadter zalkała, tak ją zmoгло wzruszenie. Przez chwilę była wierną, bezinteresowną gospodynią wielkiego człowieka, której wolno było uczestniczyć w jego wielkiej godzinie. Zaszczyt, który go spotkał, rzucał łagodny blask również na nią, która go poważała i kochała. Nagle zadrżała, jakby ją coś zabolalo. Szybko sięgnęła po chusteczkę do nosa.

Bartosch promieniał, jakby to on był bohaterem dnia. W uśmiechu Giseniusa była chrześcijańska miłość bliźniego. Nawet Bennicken dał się porwać chwili i zareagował w ten sposób, że kiwnął gwałtownie głową, ale tylko jeden raz. Kierownik działu sprzedaży spoglądał tryumfalnie na tłum, który mruczał słowa uznania.

Z kolei wszedł na mównicę dyrektor Kerze. Ciemny granat jego ubrania był niesłychanie dekoracyjny. Wzruszenie, jakie go ogarnęło, wyszło jego słowom tylko na dobre. Sformułowania jego odpowiadały dokładnie obowiązującym powszechnie konwencjom. Oświadczył, że odczuwa dumę i wdzięczność, a wdzięczny jest przede wszystkim swoim ukochanym, wypróbowanym i odpowiedzialnym pracownikom. Ci pracownicy to zarówno panowie z jego

ścisłego sztabu, jak i niewykwalifikowane siły z odlewni, jak buchalterzy i sprzątaczkę, prokurenci i gońcy.

— Dlatego też — zawołał — będę nosił to odznaczenie za was wszystkich!

— Musiałem to już kiedyś słyszeć — mruknął Tantau, który się tym wszystkim cudownie bawił.

*Podziękujmy wszyscy Bogu* zagrała orkiestra na znak dany przez kierownika działu sprzedaży. W chwilę później odezwał się mieszany chór zakładowy. Ponadto kilku pracowników zdawało się także znać tekst. Brzmiało to niezwykle wzniosie, a już całkiem na pewno bardzo głośno.

— Jeżeli to potrwa dłużej — mruknął Tantau — Bóg zażąda ochraniaczy na uszy.

Słowa jego zagłuszył jednak ogólny entuzjazm, który ogarnął właszcza tych, co siedzieli na przodzie. Hala fabryczna huczała, reflektor zaczął gwałtownie migotać. Ale do krótkiego spięcia nie doszło, i z tego powodu Tantau szczerze ubolewał.

Prawdziwy chłopiec — rzekł Saffranski z obleśnym uśmiechem — nie powinien się bać. Czy z ciebie prawdziwy chłopiec? — Ależ ja się naprawdę nie boję! — zawołał Konstantin niemal z płaczem. — Może mi pan wierzyć!

— Czy rozstawiałeś już kiedy palce i kładłeś je na stole, a potem nakłuwaleś puste miejsca szczyrykiem, z początku wolno, potem coraz szybciej? Robiłeś to kiedy?

— Nie — odparł zdumiony Konstantin. — Czy coś takiego się robi?

Saffranski skinął energicznie głową na znak potwierdzenia.

— Robi się, kiedy się nie odczuwa strachu, kiedy się jest chłopcem z prawdziwego zdarzenia.

— Mam to zrobić? — zapytał Konstantin bez specjalnego zapału.

Saffranski otoczył go ramieniem, przyciągnął do siebie, i zaśmiał się, z trudem łapiąc oddech. Chłopiec próbował oswobodzić się z tego uścisku — było mu duszno. Ale Saffranski obejmował go coraz mocniej.

Znajdowali się ciągle jeszcze w pokoju Konstantina. Zadanie zostało rozwiązane, było przepisane na czysto z wszystkimi wynikami szczegółowymi włącznie. Saffranski zrobił je w mig i zdjął tym samym Konstantinowi ciężar z serca, jakże więc chłopak mógł się okazać niewdzięczny?

— Skakałeś kiedy przez naostrzoną kosę? — zapytał Saffranski.

— Przez kosę? — Konstantin był wyraźnie zaintrygowany.

— To zupełnie proste. Jeden podnosi kosę do góry i naśladuje koszenie, drugi skacze przez nią.

— To chyba niebezpieczne, prawda?

— Owszem, dla tego, kto jest podszyty tchórzem. Ale nie dla tego, kto jest odważny, no i zręczny. Jesteś zręczny?

— Chyba tak — odparł Konstantin dość mgliście. I dodał dzielnie: — Może spróbujemy? Moglibyśmy pójść do ogrodu. W szopie stoi kosa. Pójdziemy?

— Jeżeli się tak do tego palisz, dlaczego nie?

Konstantin zdawał się z przyjemnością opuszczać pokój.

Rozradowany pospieszył ku drzwiom i zbiegł z tupotem po schodach na dół.

Saffranski szedł powoli za nim. Na jego podłużnej kościstej twarzy malowało się melancholijne zadowolenie. Przyglądał się uważnie rześkiemu, pełnemu gracji chłopcu, który biegł w podskokach przed siebie. Nagle Saffranski zatrzymał się, położył rękę na piersi — wyglądał tak, jakby go chwycił ostry ból.

Zaczął nadśluchiwać. W domu nie było nikogo. Uchylił drzwi do kuchni — była pusta. Zajrzał do holu — tu również nie było nikogo. Zawołał na gospodynię, na służącą — nikt się nie odezwał. Odczekał jeszcze chwilę, zaciskając kurczowo palce. Potem pospieszył do ogrodu — za Konstantinem.

Proszę do mnie! Pokażę panu coś! — zawołał chłopiec. Saffranski pobiegł przez soczystą, wiosenną trawę, a po tem szpalerem brzoź, które zaczęły już puszczać pierwsze

liście, nad staw, przeświecający przez zarośla. Tu, nad siną wodą, stał Konstantin.

— To jest pieczara — rzekł chłopiec.

— Wiem — odparł Saffranski i podszedł bliżej.

— Nikt o tym nie wie.

— Nikt — powtórzył Saffranski cicho — tylko my dwaj. Konstantin spoglądał na wysokiego, chudego Saffranskiego z niedowierzaniem. Nabrał do niego sympatii, Saffranski był dla niego zawsze dobry, rozmawiał z nim jak równy z równym, pomagał mu w rachunkach. Nikt dotąd tego nie robił.

— Ładnie tutaj! — zawołał Konstantin z zapalem. — Nigdzie nie jest tak pięknie jak tutaj.

— Masz rację — rzekł Saffranski cicho. — Ładnie tutaj.

Podłużny staw otoczony był gęstymi zaroślami. Z tej strony, gdzie stali, biegła nad nim ścieżka, druga strona była gęsto porośnięta krzewami. Ciemna woda bulgotała w rurze odpływowej.

— Gdzie jest sieć? — zapytał Saffranski.

— Co za sieć?

— Przed kilkoma dniami — rzekł Saffranski, nie patrząc na chłopca; zdawał się spoglądać tylko na ciemną taflę wody — obserwowałem cię. Poszedłeś do szopy, wyciągnąłeś z niej wielką sieć twego ojca i przy czołgałeś się z nią przez zarośla tu nad staw.

— Pan to wie?! — zawołał Konstantin zdumiony.

— Wiem, i wiem jeszcze o wielu innych rzeczach. Co się stało z siecią, Konstantin?

— Wpadła do wody. — W oczach Konstantina pojawił się strach, nie przed Saffranskim, przed ojcem. Bał się jak ognia surowości ojca, która go teraz już nie minie. Zgnębiony zapytał: — Pan mu to powie?

Saffranski zaprzeczył ruchem głowy, nie spuszczać przy tym z chłopca swych wyblakłych, wodnistych oczu. Znowu skrzyżował ręce na piersi, tylko mocniej je przyciskał do piersi niż zwykle, bardziej kurczowo. Po chwili powiedział:

— Czy nie sądzisz, że powinniśmy wyciągnąć tę sieć ze stawu? Teraz, zaraz, żeby się ojciec nie dowiedział.

— Ale jak?

— Rozbierzemy się i wskoczmy do wody.  
— Teraz? Czy nie jest za zimno?  
— Boisz się? — zapytał Saffranski, nie patrząc na chłopca. —  
Strach cię obleciał?  
— Nie — odparł Konstantin, skołowany do cna.  
Saffranski podniósł głowę i długo patrzył na Konatantina.  
Wreszcie powiedział:  
— No to rozbieraj się.

**N**iezwykle udana impreza — zapewniał Kerzego minister. — Muszę panu pogratulować, z całego serca.

Kerze certował się i udawał skromność. — To ja powinienem dziękować. Dzięki przybyciu pana ministra uroczystość ta nabrała powagi i blasku.

Drugi punkt programu uroczystości z okazji wręczenia Krzyża Zasługi dyrektorowi Kerzemu został wyczerpany. Nadszedł czas na punkt trzeci: końcowy etap części oficjalnej z napitkami i zimnym bufetem w reprezentacyjnej sali kantyny zakładowej. Potrwać to miało mniej więcej godzinę.

Podczas gdy masa robotnicza i tuzinkowi pracownicy umysłowi musieli się zadowolić w wielkiej sali kantyny zakładowej dwoma dużymi piwami na głowę oraz parówkami z sałatką kartoflaną, wybrani goście wraz z pracownikami na kierowniczych stanowiskach podejmowani byli w sali reprezentacyjnej. Były tu do wyboru różne wina, rozmaite gatunki piwa i zakąska w postaci pierwszorzędných kanapek. Minister i Kerze byli bezspornie w centrum zainteresowania.

Ścisłe mówiąc, ten oficjalny epilog uroczystości urządzony został przede wszystkim dla prasy. Wszystkie trzy miejscowe dzienniki wysłały swoich współpracowników. Tych reporterów trudno było oderwać od kanapek. Choć kierownik działu sprzedaży bardzo się wysiłał, wszyscy trzej oświadczyli zgodnie, że są zupełnie dostatecznie poinformowani. Jeden z nich powiedział nawet, pracowicie żując:

— Zanotowaliśmy już wszystko, co pan minister mógłby powiedzieć. Poprzednim razem.

Gisenius odłączył się od dygnitarzy i przepychając się z uprzejmym uśmiechem przez tłum, dotarł do dwóch postaci, które trzymały się skromnie na tylnym planie: do Tantaua i Bennickena. Tantau stał oparty o ścianę, Bennic-ken wlewał w siebie piwsko, zgodnie ze swym zwyczajem, prosto z butelki.

— Panie Tantau — powiedział Gisenius — czy wolno zapytać, czego pan tu szuka?

— Trafnie pan to nawet określił — odparł Tantau. — Ja rzeczywiście szukam! Zapewne chciałby pan dokładnie wiedzieć, czego tu szukam. No więc dla ścisłości muszę odpowiedzieć: Niczego szczególnego.

— Nie sądzi pan, że marnuje pan tu czas?

— Nie sądzę — odparł Tantau łagodnie. — Mam ochotę porozmawiać z panem Kerze, figuruje on na mojej liście jako następny. Zupełnie przypadkowo.

— Ale przecież nie dzisiaj! Nie w takim dniu!

— Dla mnie każdy dzień jest dobry, korzystam z każdej okazji. A ponieważ spotykam tu również pana, może mógłby mi pan udzielić pewnej informacji?

— Później. — Gisenius oddalił się pospiesznie; nagle wydało mu się, że minister pragnie widzieć go przy sobie.

Tantau uśmiechnął się pobłaźliwie i znowu zainteresował się Bennickenem. Ten łykał swoje piwsko ogromnymi haustami. Tantau zapytał:

— Smakuje?

— Zawsze — odparł Bennicken, odrywając na chwilę usta od butelki.

— Miejmy nadzieję, że zdrowie będzie panu tak dalej dopisywało — rzekł Tantau. Potem rzucił okiem na to całe towarzystwo, które zaczynało się już zachowywać coraz głośniejsze i coraz swobodniej.

Przedstawiciele rady zakładowej śmiali się zgodnym chórem z żartobliwej uwagi uczynionej przed chwilą przez pana ministra. Bartosch przepijał do kierownika działu sprzedaży, który uważał to za wyjątkowy zaszczyt — wiedział już, że starszy radca ministerialny wejdzie niedługo

do rodziny jego dyrektora. Gisenius właśnie szeptał coś Kerzemu do ucha, po czym obaj spojrzeli w stronę Tantaua. Ale minister wyraził akurat życzenie, aby Kerze znalazł się przy nim, wskutek czego Tantau na razie pozostał sam. Dotychczas minister mówił o wielkich sprawach, takich jak naród, ojczyzna, gospodarka, religia. Teraz przyszła kolej na słowa prostsze, takie jak rodzina, dom, ognisko domowe.

— Słyszałem — rzekł minister, przechodząc na ton intymny — że tę swoją uroczystość zamierza pan, drogi dyrektorze, połączyć z uroczystością rodzinną.

— Istotnie, noszę się z takim zamiarem — odparł Kerze tonem nie mniej intymnym. — Jak zawsze jest pan minister doskonale poinformowany.

— Dlatego jestem ministrem — roześmiał się tamten. — Czy wolno zapytać, gdzie jest szanowna narzeczona? Miło by mi było pannę Karen tu widzieć. Szkoda, że jej tu nie ma.

Kerze dopiero teraz uświadomił sobie, że nie widział Karen przez cały dzień. To fatalne! Powinna była wziąć udział w uroczystości ku czci jego osoby, powinna była przynajmniej udawać, że jest tym przejęta, skoro już nie ma zrozumienia dla tradycji. Powinna była również przywitać swego narzeczonego, jeżeli już nie z miłości, to choćby ze względu na dobry ton, żeby zachować twarz. Gdzież ta dziewczyna się znowu ugania?

— Rozumiem — rzekł minister serdecznie, opanowując całkowicie sytuację. — Córka pańska jest zapewne zajęta sprawami gospodarskimi i czeka w domu na swego narzeczonego.

**C**zego się boisz? — spytał Saffranski i pochylił się naprzód. — Nie zdejmiesz koszuli? — Koszulę mam także zdjąć? — zapytał Konstantin. — Zdejm wszystko — powiedział Saffranski. — Przecież nie możesz wejść do wody w ubraniu. A wejść musisz, jeżeli chcesz znaleźć się.



— Nie wiem, w którym miejscu poszła na dno.

— Poszukamy — rzekł Saffranski przez zaciśnięte zęby, usiłując się uśmiechnąć. I on już też zdawał się czuć chłód płynący od wody — w każdym razie ręce zaczęły mu drżeć. — Musimy tę sieć znaleźć! Wiesz przecież, co by było, gdyby ojciec się dowiedział, żeś ją zgubił.

— Nie dowie się. Nigdy. Prawda, panie Saffranski?

— Nigdy — powiedział Saffranski. — Niczego się nie dowie.

— To dobrze. — Konstantin spojrział na Saffranskiego jak na zbawcę. I nie bacząc na zimno, zaczął rozpinąć koszulę.

— Chodź tu, pomogę ci — rzekł Saffranski bezdźwięcznym głosem.

— Dziękuję. Poradzę sobie. Ale jest naprawdę bardzo zimno.

— No chodźże — wyszeptał Saffranski tonem rozkazującym. Wyciągnął ręce i pomógł chłopcu zdjąć koszulę przez głowę. Ciągnął ją mocno, aż wreszcie chłopiec stanął przed nim nagi. — Tylko się nie bać! — Białka oczu Saffranskiego nabrały barwy brudnego śniegu. Położył ręce na wąskiej piersi chłopca. I powiedział ledwie dosłyszalnie: — Ależ ty marzniesz, mój mały.

— Nie — odparł Konstantin, którego nagle ogarnął niepojęty lęk.

— Czuję, że marzniesz. Chodź do mnie, przytul się mocno, ogrzeję cię!

Objął chłopca, przytulił do siebie. Czując opór Konstantina przycisnął usta do jego piersi. Drgania drobnego, wijącego się ciała przyprawiały go o dreszcz bolesnej rozkoszy. Jęczał.

Odbijające się w ciemnej, brunatnoczarnej, oleistej wodzie stawu gęste krzaki wyglądały jak jakieś groteskowo uformowane mury, korony drzew sprawiały wrażenie wież wartowniczych, czuwających nad siedliskiem bezgranicznej ciszy. Nad brzegiem stawu kołysały się dwa splecione ze sobą cienie. Jeden z tych cieni oderwał się po chwili i jak martwy liść opadł cicho, bez życia, w dół.

Zwierciadło stawu rozpękło się na dwoje i przez chwilę widać było na jego powierzchni delikatne drżenie.

**O**gnisko domowe i rodzina, ojczyzna i zrozumienie dla bliźniego niech żyją! — zawołał Kerze, podnosząc w górę kieliszek. — Niech żyją! — powiedział minister i podniósł

również swój kieliszek w górę. Kierownik działu sprzedaży wkręcił się ostrożnie do grupy otaczającej ministra i pokornie szepnął Kerzemu do ucha:

— Panie dyrektorze, telefon.

Kerze, niezadowolony, odpowiedział również półgłosem:

— Ależ nie teraz, mój drogi!

— Mam wrażenie, że to pilne.

Gisenius kiwnął Kerzemu uspokajająco głową:

— Nie przeszkadzaj sobie, ja to załatwię.

Kerze ani myślał pozwolić sobie przeszkadzać — właśnie rozpoczął dopiero co ważną, poufną rozmowę z ministrem i dowiedział się, że istnieje projekt rozbudowy sieci komunikacyjnej, co było bardzo istotne dla dalszego rozwoju zakładów „Stabilator”. Mimo to był lekko zaniepokojony. Zerkał przez ramię ministra na Giseniusa, który telefonował w jego zastępstwie. Z początku Gisenius miał minę spokojną i pewną siebie, ale potem twarz mu zmartwiała i pojawił się na niej wyraz zatroskania.

Ale po upływie kilku sekund, gdy Gisenius wrócił z powrotem do ministra i swego przyjaciela Kerzego, twarz jego była znowu uśmiechnięta.

— Proszę wybaczyć, panie ministrze — rzekł unizenie — ale chciałbym porwać na chwilę naszego drogiego dyrektora.

— Ależ bardzo proszę — powiedział minister. I trochę zaciekawiony dodał: — Mam nadzieję, że to nic przykrego?

— Skądże znowu! — zawołał Gisenius. — Po prostu taki jeden drobiazg, i to raczej natury administracyjnej.

Kerze z miejsca poszedł za przyjacielem. Wmanewrowawszy Giseniusa w jakiś kąt, gdzie stały baterie opróżnionych butelek, zapytał:

— Co się stało?

— Dzwoniła policja z Rheine-Bergen. Przymknęli tam twoją córkę, wzywają cię, żebyś po nią przyjechał.

— Na miłość boską! — zawołał Kerze dramatycznym głosem. — Jak ta dziewczyna mogła mi to zrobić? I właśnie dzisiaj, w takim uroczystym dla mnie dniu!

— Opanuj się! — zawołał Gisenius. — Nie tak głośno!

— Zbiję tę małpę na kwaśne jabłko! — wyrzucił z siebie wzburzony Kerze. Nagle uświadomił sobie, że jeszcze wcale nie wie, dlaczego policja zatrzymała Karen. — Cóż ona takiego zrobiła?

— Po pijanemu przy kierownicy! Zdaje się, że rozbiła wóz w drzazgi. Prawdopodobnie swój własny, co nie byłoby wcale takie złe.

— Co mam robić? Przecież nie mogę się stąd ruszyć.

— Jeżeli chcesz, załatwię to — zaofiarował się Gisenius.

— To byłaby jedna z możliwości. Ale nie najlepsza. Twoje zniknięcie też by zwróciło uwagę, musiałbym usprawiedliwiać cię szczegółowo przed ministrem i jego świtą.

— Jakies wytłumaczenie by się znalazło. Ale jest w tym jeden szkopuł: gdybym się potem znowu zjawił, i to z Karen, mogłyby powstać komplikacje. Poza tam nie chciałbym być nieobecny podczas rozmów z ministrem na temat budowy sieci komunikacyjnej, zbyt wiele od tego zależy. Ale jak się zapatrujesz na to, gdybyśmy się tak posłużyli Bartoschem?

— Życzyłbym mu z całego serca, żeby przy tej okazji poznał gruntownie swoją kochaną, małą narzeczoną.

Kerzemu wyraźnie się ten pomysł spodobał. Ale miał zbyt duże poczucie rzeczywistości, żeby na to przystać.

— Bartosch jest tu również nieodzowny, ostatecznie należy do świty ministra. Ogromnie zależy mi na tym, żeby jeszcze dziś odbyły się przyzwoite zaręczyny. No więc co robić?

— Tantau! — zawołał Gisenius. Twarz mu się nagle rozjaśniła i przypominała teraz księżyc, który przebił się przez ciemne chmury. — Tak, Tantau! To dobra myśl!

— Myślisz, że on to zrobi?

Gisenius skinął twierdząco głową.

— Zrobi. Oczywiście za honorarium. Takie rzeczy też na leżą do jego zawodu. Szczęście, że się tutaj obja. Możesz mi wierzyć, ten człowiek zna się na tego rodzaju sprawach.

Wie, jak należy się obchodzić z policją. Tak, Tantau, to najlepsze rozwiązanie!

— Zgoda — rzekł Kerze z ulgą. Bardzo go już ciągnęło do ministra. — Załatw to po mojej myśli. — Powiedziawszy to, oddalił się.

Gisenius podszedł do Tantaua, który wraz z Bennicke-nem patrzył przez otwarte okno w zapadający mrok.

— Na słóweczko, panie Tantau! — zawołał.

— Może być i więcej słów — powiedział Tantau przyjaźnie.

— Czy byłby pan skłonny przyjąć jeszcze jedno zlecenie, ale zupełnie innego rodzaju? Chodzi tym razem o pannę Karen Kerze, córkę dyrektora Kerzego. Znajduje się ona w tej chwili w Rheine-Bergen w komisariacie. Policja zarzuca jej, że prowadziła wóz w stanie nietrzeźwym.

— Interesujące — rzekł Tantau z nieruchomą twarzą. — Tak więc wyglądają fakty. A na czym miałyby polegać moje zadanie?

— Wyjaśni pan sytuację. Będzie pan służył panie Kerze radą i pomocą, pomoże jej pan w tym, by nie zrobiła żadnego fałszywego kroku. Potem przywiezie ją pan do domu. O wszystkich szczegółach złoży mi pan później sprawozdanie. Gdyby było to konieczne, może pan do mnie telefonować. Wyplączę panu za to dodatkową stawkę dzienną.

Tantau skinął głową na znak, że się zgadza.

— Przyjmuję to zlecenie — powiedział — ale pod warunkiem, że wolno mi będzie posługiwać się moimi własnymi metodami.

— Ma pan na wszystko pełnomocnictwo! — powiedział Gisenius. — Ale proszę działać szybko. Panna Kerze jest oczekiwana w domu z wielkim utęsknieniem.

— W jakim komisariacie znajduje się ta młoda dama?

— Komisariat Śródmieście.

— Świetnie — rzekł Tantau zadowolony. — To może sprawę ułatwić. Proszę tam zatelefonować i uprzedzić, że się zjawię z polecenia pana i pana dyrektora Kerzego. Najlepiej byłoby, żeby pan pomówił z kierownikiem komisariatu Brahmvoglem. No to, mistrzu Bennicken, niech się pan zabawia teraz w wyścigi samochodowe!

**W**itam serdecznie — rzekł kierownik komisariatu Brahnwogel. — Jeszcze wczoraj nie wiedziałem, że pan w ogóle istnieje, a dziś już się zdążyłem do pana przyzwyczać. Tantau znajdował się w komisariacie policji Śródmieście. Taksówka z Bennickenem czekała na ulicy. I oto stało naprzeciwko siebie dwóch fachowców: mały niepozorny Tantau i pokaźny Brahnwogel, który sprawiał wrażenie pogromcy lwów. Dzieliła ich od siebie tylko bariera. Za nią, z prawej i lewej strony, znajdowało się jeszcze dwóch funkcjonariuszy policji. Wyglądało na to, że pracują, w każdym razie zachowywali się tak, jakby byli całkowicie pochłonięci pracą.

— Może przespacerujecie się trochę, przyjaciele! — za wołał Brahnwogel do podsłuchujących policjantów.

— A kiedy wam się to znudzi, możecie odkurzać akta w kancelarii.

Policjanci podnieśli się z porozumiewawczym uśmiechem. Brahnwogel był w komisariacie Śródmieście osobą nadającą ton. Stracił wiele lat, żeby się tego dochrapać.

— A więc — rzekł Brahnwogel do Tantaua, kiedy zostali sami — pracuje pan dla doktora Giseniusa i dyrektora Ke-rzego.

— I to się panu nie bardzo podoba, co?

— Tym razem wziął pan na siebie niemały ciężar. Naprawdę nie wiem, jak panu pomóc. W porównaniu z tą młodą damą, z powodu której się pan tu zjawił, słoń w składzie porcelany to niewinne stworzenie. Byliśmy zmuszeni ją tu nawet zakwaterować.

— Cóż takiego zrobiła?

— Wylądowała w kiosku z gazetami, rzekomo dlatego, żeby uniknąć kraksy. Jeden z naszych ludzi przyprowadził ją tutaj. No i cóż mam powiedzieć? Ta dama była wstawiona.

— Kazał pan pobrać krew?

— Nie — odparł Brahnwogel niemal zmartwiony.

— Opierała się. Nie tylko się opierała, ale rzucała się tu jak wariatka. A jakich używała wyrazów! Byle dziwka ma w obec niej królewskie maniery. Co się z tą kobietą stało?

Kiedyśmy ją wpakowali do jednej z naszych cel, była prawie wdzięczna! Potrafi mi to pan wytłumaczyć?

— Może — odparł Tantau ze znaczącym uśmiechem. — Ta panna ma się dziś zaręczyć na stanowcze życzenie swego ojca.

— I nie chce?

— Tak mi się wydaje.

Brałmwogel pochylił się do przodu i uśmiechnął się do Tantaua znacząco.

— W takim razie pozwolimy jej tu chyba przenocować. Może byłoby to nawet lepsze rozwiązanie, co?

— Niestety tego się nie da zrobić — powiedział Tantau. — Doradcą dyrektora Kerzego w sprawach prawnych jest doktor Gisenius, który dosyć dobrze zna się na uprawnieniach policji.

— Zgadza się — powiedział Brałmwogel. I niemal ze współczuciem dodał: — Biedna dziewczyna!

— Spróbuję jej pomóc — rzekł Tantau. — Oczywiście na mój sposób. Przede wszystkim spróbuję wyrwać ją stąd. Da się to zrobić?

— W tym wypadku nie jest to takie proste. Okropnie się awanturowała i zachowuje się jak dziesięć upartych mułów.

— Jeżeli jestem dobrze poinformowany — powiedział Tantau — wypadek, który nie jest jaskrawym naruszeniem przepisów drogowych, może być, że tak powiem, załatwiony od ręki. Oczywiście przy stuprocentowym pokryciu szkód i strat.

— Zgadza się — przyznał mu rację Brałmwogel. — Ale nie w stosunku do tej megiery! Trzej policjanci mieli pełne ręce roboty i ledwo dali sobie z tą osobą radę. Nikt nie potrafi jej poskromić!

— Pozwoli pan, że ja spróbuję? — zapytał Tantau.

— Drogi panie Tantau! Mam wrażenie, że pan nawet nie ma pojęcia, jakie ziółko z pańskiej pupilki! — Brałmwogel uśmiechnął się obiecująco i zdjął klucz z haka umieszczonego obok drzwi z lewej strony. — Zgodnie jednak z przepisami muszę zapytać tę młodą damę, czy w ogóle raczy przyjąć swego nowego obrońcę i opiekuna. Potrwa to kilka minut, powiedzmy: pięć do siedmiu.

Brahmvoegel podniósł w górę klucz do celi, zamachał nim na pożegnanie jakby to była chusteczka, i oddalił się z uśmiechem. Tantau stał zagubiony w pustym biurze komisariatu i czekał. Po chwili podszedł do pulpitu, w którym, jak mu było wiadomo, leżały w teczce, starannie uporządkowane, raporty dzienne. Otworzył tę teczkę i zaczął przerzucać raporty; szukał szczegółów wypadku spowodowanego przez Karen Kerze. Bo dopiero wtedy, kiedy się zna decydujące punkty oskarżenia, można próbować je obalić.

W trakcie tych poszukiwań Tantau natrafił na znane sobie nazwisko: Siegert. Zdumiony nachylił się i przeczytał, że Siegert składał doniesienie na dwóch nieznanym mężczyznom, którzy z niewiadomych przyczyn dopuścili się wobec niego rękoczynów.

Słyszając, że Brahmvoegel wraca, Tantau szybko zamknął teczkę. Brahmvoegel spojrzał badawczo na pulpit, potem rzekł z uśmiechem zadowolenia:

— Ta mała powiedziała, żeby się pan wynosił do wszystkich diabłów!

— No więc! Zaraz panu mówiłem, że mnie przyjmie.

— Wszystko na pański rachunek i ryzyko! — rzekł Brahmvoegel.

Szli wąskim korytarzem — kamienna posadzka, pobielone wapnem ściany, masywne drzwi. Brahmvoegel wsadził klucz w zamek którychś z tych drzwi, przekręcił go, otworzył drzwi szeroko i odskoczył, gdyż na korytarz wyleciała z impetem miska.

Tantau bezzwłocznie wszedł do celi. Znał dobrze inwentarz tego rodzaju pomieszczeń, wiedział, że mało w nich bywa przedmiotów nadających się do rzucania. Poza tym ciągle jeszcze był dość zwrotny.

Na razie stanął w pobliżu drzwi, które Brahmvoegel troskliwie za nim zamknął. Nie było mu spieszo. Przypatrywał się dziewczynie siedzącej na pryczy z podciągniętymi nogami. Stwierdził przy tej okazji, że jest to dziewczyna bardzo atrakcyjna i wcale sympatyczna. Na twarzy jej nie było śladu brutalności megieri. Jej bezgraniczne oburzenie wyglądało raczej na święty gniew.

— Czego pan tu chce?! — zawołała. — Niech się pan stąd wynosi, bo rzucę w pana stołkiem!

— Niech pani spróbuje, jeżeli to panią bawi — rzekł Tantau. — Proszę tylko nie brać stołka za nogi, bo rzut nie będzie celny.

— Kim pan jest?

Tantau przedstawił się jej jak najbardziej formalnie. Uczynił to z naturalnością i prostotą, której wcale się nie spodziewała. Potem zaczął mówić o tym, co ją interesowało, niczego przy tym nie przemilczając. Powiedział więc, skąd przybywa, kto go tu przysłał, jakie ma polecenie.

— Jeżeli pani chce się jeszcze czegoś dowiedzieć, proszę spokojnie pytać.

— Niech mnie pan zostawi w spokoju! — wybuchnęła Karen. — To jest moje jedyne życzenie.

Tantau zrobił w jej kierunku parę kroków — cofnęła się sprężona do skoku. Tantau sięgnął po stołek stojący obok jej drewnianej pryczy, przysunął go sobie i usiadł na nim. Potem uśmiechnął się do niej.

— Widzi pani — powiedział ostrożnie — widzę coś podobnego nie po raz pierwszy. Siadywałem już w wielu celach, których chwilowi lokatorzy, przyznają to uczciwie, rzadko kiedy byli tak urodziwi jak pani.

— Chyba nie zamierza pan ze mną flirtować? — zapytała kąśliwie Karen.

— Obawiam się — odparł Tantau, mrugając oczyma — że niezupełnie jestem w pani typie.

Karen zrobiła wielkie oczy. Była w nich nieufność i pewien podziw. Powiedziała jednak szorstko:

— Proszę nie pleść bredni! I zamknąć drzwi z tamtej strony!

— Czy pomyślała pani kiedyś o tym — zapytał Tantau przyjaźnie — jak zdumiewająco wielu ludzi ciągnie coś do samobójstwa? Nie chcę już mówić o tych, którzy odkręcają kurek od gazu lub połykają nadmierną ilość środków nasennych, bo to biedacy bez fantazji. Nieporównanie większa liczba ludzi sama się zabija z dnia na dzień. Są młodzińcy, którzy swoje cierpienia usiłują rozładować w ten sposób, że bez przerwy słuchają muzyki



mechanicznej i zabijają czas jakby drewnianymi młoteczkami. Są dziewczęta, które z nie zaspokojonej miłości albo głodują, albo idą do łóżka z byle kim.

— Nudzi mnie pan! — zawołała Karen w nagłej samoobronie.

— Wiem, wiem — ciągnął dalej Tantau przyjaźnie — nie ma nic nudniejszego od prawdy. Przeciwnieństwem jej są właśnie te rojenia, które powstają przy namiętej muzyce z płyt, przy lekturze sentymentalnych książek, przy sznurowatych filmach. Życie realne, na które przeważnie składa się praca, samotność, codzienna walka o byt, wydaje się wtedy tak straszliwie nudne, że chciałoby się od niego uciec, i to przeważnie na koszt innych.

— Jakie to dowcipne! — zawołała Karen szyderczo. — Czy pan pisuje do dodatków niedzielnych?

— Moje drogie dziecko — rzekł Tantau nieporuszony — w życiu moim widziałem więcej trupów, niż pani oglądała cudzych łóżek. Znałem ludzi, którzy umierali dlatego, że nie mieli odwagi doczytać do końca jakiegoś listu, że brakło im śmiałości i nie postawili tego jednego jedyne go, ale decydującego pytania, że nie mieli już cierpliwości czekać o te trzy minuty dłużej.

— — Czy to ma mieć coś wspólnego ze mną? — zapytała Karen.

— Chcą od życia tego, czego nie ma: recept, pewności, planowości! A to wszystko bzdura! Życie jest pełne niespodzianek. Każdy przeżywa je sam i winien je przeżyć jak najlepiej! Niekoniecznie zaraz trzeba wjeżdżać w szaleń czym tempie na kiosk z gazetami, a potem wyobrazać so bie, że siłą można coś wskórać.

— O nieba! — zawołała Karen, sadowiąc się wygodniej. — Przesłano mi duszpasterza.

— Przydałby się pani — powiedział Tantau — ale jeżeli o mnie chodzi, to jestem człowiekiem interesu, nie żądam i nie daję nic bez zapłaty, moje drogie dziecko. I jeżeli dobrze panią rozumiem, nie chce pani żadnych zaręczyn. No cóż, może dałoby się coś zrobić.

— W jaki sposób?! — zawołała Karen, nagle z wielkim zainteresowaniem.

— Nie siłą! — podchwycił Tantau skwapliwie. — No bo niech się pani zastanowi: komu pani tymi swoimi wyskokami szkodzi? Tylko samej sobie! No więc spróbujemy się zastanowić, pomyśleć.

— I nie będę musiała się zaręczać? Gwarantuje mi to pan?

Tantau pochylił się nieco do przodu.

— Czy narzeczeństwo to rzeczywiście taka straszna rzecz?

— Już nic nie może być gorszego — wypaliła Karen bez namysłu. — Ja nie chcę! Po prostu nie chcę! Czy może pan to zrozumieć?

— Rozumiem wszystko, co ma coś wspólnego z prawdziwym przekonaniem.

— To niech mi pan pomoże! — zawołała Karen.

— Chętnie spróbuję — powiedział Tantau. — Ale najpierw musiałyby zostać spełnione pewne warunki.

— Jakie?

— Przede wszystkim, moje drogie dziecko, musimy się stąd wydostać. Jeżeli zastosuje się pani do moich rad, nie będzie to zbyt skomplikowane. Zechce pani spróbować?

— Zechcę — rzekła Karen. — Bo mam do pana zaufanie.

— I cicho dodała: — Chcę mieć do kogoś zaufanie. Bo cóż mi innego pozostaje?

— Powoli — powiedział Tantau, jakby zatroskany.

— Zrobię, co będę mógł, ale nic nie obiecuję. Ostatecznie każdy musi dojść sam ze sobą do ładu. To brzmi banalnie, drogie dziecko, ale jest prawdą: rzeczą najważniejszą jest mieć zaufanie do samego siebie.

**T**aka piękna i podniosła uroczystość! — powiedziała pani Brandstadter. Coś zupełnie niezwykłego! — Na pewno — rzekł Kerze z niepokojem w głosie. — Niewątpliwie. — Wszystko wypadło tak uroczyście. Prawie jak w kościele.

— Dobrze już, dobrze! — zawołał Kerze z wzrastającym niepokojem.

Jego wybrani goście wyrwali się z szarego tłumu, powiadali do czekających na nich samochodów i dali się zawieźć do willi Kerzego. Znajdowali się teraz w odświętnie przystrojonych pokojach. Wybrańcami tymi byli: minister, jeden z jego sekretarzy, starszy radca Bartosch, Gisenius wraz z posłem do parlamentu, wybranym przez jego okręg, oraz przewodniczącym miejscowego komitetu partyjnego i sympatykiem jego partii, redaktorem naczelnym jednej z miejscowych gazet. Poza tym Marlena Sonnenberg w błyszczącej ceglastej sukni oraz Hirsch i Schulz, którzy, ku niezbyt wielkiemu zadowoleniu Kerzego, przyłączyli się do piosenkarki. Dom pełen był radosnego gwaru, cienie postaci gości rysowały się łagodnymi konturami na szybach szklanych drzwi prowadzących do holu.

Pod pretekstem, że wzywają go obowiązki pana domu, Kerze opuścił na chwilę swoich gości. Pani Brandstadter, jeszcze oszołomiona tym wielkim wydarzeniem, jakim była uroczystość wręczenia jej pracodawcy Krzyża Zasługi, postanowiła skorzystać z tak pomyślnej okazji i dać Kerzemu do zrozumienia, jak bardzo go szanuje i poważa, a tym samym na jakie wielkie zasługuje zaufanie i sympatię.

Kerze tymczasem był rad, że może wreszcie wyładować na kimś swoją złość. Rozwścieczony zapytał:

— Dlaczego mi pani nie powiedziała, że Karen znowu dała drapaka?

— Skądże miałam o tym wiedzieć? — broniła się pani Brandstadter. — Panna Karen jest poza domem od południa, sądziłam, że albo pojechała do swego narzeczonego, albo do fryzjera.

— A gdzie Konstantin? — zapytał Kerze, nie mniej wściekły. — Czy nie przykazywałem wyraźnie, aby był w holu, jak przyjdą goście? W granatowym ubraniu z białym kołnierzykiem? — Wyobrażał już sobie z góry, jakie to będzie malownicze i nastrojowe: syn jego, pięknie wystrojony i uczesany, dobrze ułożony, wita grzecznie ministra i gości. Czy można sobie wyobrazić piękniejszy pokaz idylli rodzinnej?

— No więc gdzie jest Konstantin?

— Nie wiem!

— Nic pani nie wie! — warknął Kerze gniewnie. — Zawsze pani twierdzi, że wie pani o każdym gównie, ale tego pani nie wie! To po prostu niesłychane!

— Konstantina nie można znaleźć, ukrył się gdzieś.

— To niech go pani szuka, do stu diabłów! Najpóźniej za piętnaście minut chcę go zaprezentować swoim gościom. Więc niech go pani szuka!... Nic mi nie zostało oszczędzone — mruknął Kerze do siebie.

Spojrząwszy pogardliwie na swą gospodynię, sprawdził liczbę butelek stanowiących jego rezerwę alkoholową i rzucił okiem w stronę holu. Był rad, że panował tam radosny nastrój. Potem spojrzął w stronę szatni — nikogo tam nie było. To dobrze. Odkorkował szybko butelkę whisky, napenił szklankę i wychylił ją duszkiem.

Gdzie tu można spokojnie porozmawiać? — zapytał Tantau.  
— Czy jest w tym domu choć jedno pomieszczenie bez uroczystego nastroju, wrzasków i podsłuchu?

— Może gabinet pana dyrektora — zaproponowała pani Brandstadter.

— Niech mnie pani tam zaprowadzi. A potem poproszę o trzy rzeczy: pierwsza: proszę przynieść pannie Karen do pokoju dzbanek mocnej czarnej kawy; druga: proszę przygotować dla Bennickena kanapki i piwo; trzecia: proszę zakomunikować dyrektorowi Kerzemu i doktorowi Gise-niusowi, że muszę z jednym i drugim pomówić, ale niech to pani zrobi dyskretnie.

— A pan— panie Tantau — zapytała pani Brandstadter usłużnie — nie ma żadnych życzeń?

— Nie mam — odrzekł Tantau. — Najwyżej jedno: proszę obmyć twarz zimną wodą. Beczała pani, to widać wyraźnie. Na pewno miała pani ku temu swoje powody. Będzie mi pani mogła się później zwierzyć, jak się uporam z innymi sprawami.

— Jest pan człowiekiem współczującym! — zapewniła go pani Brandstadter z ulgą i wdzięcznością. — Pan ma jeszcze serce.

— Niestety — rzekł Tantau lakonicznie. — Czasami jest mi z tym bardzo niewygodnie.

Dał się zaprowadzić pani Brandstadter do gabinetu dyrektora Kerzego. Zapalił tu wszystkie lampy, potem otworzył okno. Z kolei wyszukał najwygodniejsze krzesło, przysunął je sobie i usiadł na nim. Wyciągnawszy nogi, zamknął oczy; wyglądał, jakby spał.

Ale jak zawsze, kiedy był sam, twarz jego dziwnie się ożywiła. Na czole utworzyły się zmarszczki, zaczęły się przesuwać z miejsca na miejsce, zazębiać o siebie, wreszcie znikły. Potem usta jego ułożyły się w grymas sardonicznego uśmiechu, co upodobniało go do fauna. Wokół jego oczu zadrgała gęsta sieć zmarszczek i Tantau, jakby go spotkała jakaś wielka przyjemność, zatrzęsł się od śmiechu, ale śmiechu bezgłośnego.

Nagle wyprostował się na swym krześle. Usłyszał kroki. Twarz jego przybrała znowu całkowicie obojętny wyraz, ciało jakby się skurczyło. Tylko metaliczny błysk jego oczu zdradzał, w jak wielkim znajduje się napięciu. Zjawili się Kerze i Gisenius. Tantau nawet nie próbował udawać, że się chce podnieść. Zmrużył tylko oczy i spoglądał na nich wyczekująco. Obaj zbliżyli się do niego.

— Załatwił pan wszystko? — zapytał Kerze. — Gdzie jest moja córka?

— Córka pańska — odparł Tantau — znajduje się w swoim pokoju. Poradziłem jej, aby wzięła zimny natrysk, napiła się mocnej czarnej kawy, a potem zajęła się swoją toaletą.

— Co dalej? — zapytał Kerze natarczywie.

— Chyba najlepiej będzie — zwrócił się do przyjaciela Gisenius — jak usiądziemy. Nie powinniśmy robić niczego w pośpiechu.

Tantau rozparł się z zadowoloną miną na swym krześle i powiedział:

— Stan faktyczny wygląda następująco: panna Karen Kerze przejeżdżała o godzinie szesnastej minut trzydzieści pięć przez Kantstrasse w kierunku Promenadeplatz. Jakieś

sto metrów przed gmachem teatru straciła panowanie nad wozem, rzekomo dlatego, że chciała uniknąć zderzenia z jadącym jej naprzeciw pojazdem, który wbrew przepisom drogowym nieprawidłowo wymijał inny pojazd.

— Aha — powiedział Kerze twardo. Ale zamilkł, skarcony zimnym wzrokiem Tantaua.

— Panna Karen Kerze — raportował Tantau w dalszym ciągu — wjechała na chodnik i wpadła na kiosk z gazetami. Wóz jej, tak samo jak kiosk, został mocno uszkodzony. Poza tym żadnych innych szkód nie było.

— Jak dotąd wcale nieźle — ocenił Gisenius sprawę fachowo. — Ale czy to już wszystko?

— Niestety nie — odparł Tantau. — Znajdujący się w pobliżu policjant stwierdził, że panna Karen jechała z niedozwoloną szybkością, i to w stanie nietrzeźwym.

— A do diabła! — zawołał Kerze.

— Nie koniec jeszcze na tym — raportował w dalszym ciągu Tantau. — Panna Karen nie tylko że nie chciała składać zeznań policji, ale jeszcze stawiała jej opór. Jednego policjanta zwymyślała w brzydki sposób, z dwoma innymi zaczęła się szamotać, tak że musiano ją obezwładnić siłą i mówiąc bez ogródek, wpakować do ula.

— Na miłość boską! — jęknął Kerze. I znowu z głębi jego zboląłego serca wyrwał się okrzyk: — Jak ona mogła mi coś takiego zrobić?!

— Sytuacja jest istotnie fatalna — przyznał Gisenius. Ponieważ przez cały czas nie spuszczał z Tantaua oka, zorientował się, że był to dopiero wstęp do sprawozdania, i to jeszcze względnie niewinny. Czuł wyraźnie, że Tantau do czegoś zmierza. Co też to może być?

— Przypuszczam — powiedział więc ostrożnie — że się panu udało trochę sprawę załagodzić i coś niecoś załatwić.

— Oczywiście — odparł Tantau. Wóz panny Kerze jest mocno pokiereszowany, szkody wynoszą trzy tysiące marek, ale pokryje je asekuracja. Szkody powstałe w wyniku uszkodzenia kiosku szacuje się na osiemset do tysiąca marek; uzgodniliśmy z właścicielem kiosku, że nie będzie składał doniesienia, jeżeli sumę tę otrzyma w ciągu trzech dni. Policja też jest gotowa nie robić doniesienia z powodu

przekroczenia szybkości i prowadzenia wozu w stanie nie-trzeźwym; oba te wykroczenia nie dadzą się w stu procentach udowodnić.

— Bravo! — zawołał Gisenius z prawdziwym uznaniem.

— Policja — raportował dalej Tantau — nie chce także rozdmuchiwać tego, co można by nazwać stawianiem oporu władzom państwowym. Istnieje poza tym tendencja, żeby pominąć milczeniem zarówno czynne znieważenie policjantów znajdujących się na służbie, jak i ten cały stek obelg i wymysłów.

— Żnakomicie! — zawołał Kerze z ulgą. — Gratuluję! To rozumiem! To jest dobra robota!

Broniąc się z właściwą sobie skromnością przed taką lawiną słów uznania i zachwyty, Tantau oświadczył:

— Oczywiście nie da się uniknąć doniesienia o przekroczeniu przepisów drogowych, będzie to kosztowało jakieś sześćdziesiąt, a może i sto marek.

— Mniejsza o to — rzekł Gisenius. — Ale czy to teraz już wszystko?

— Mnie to wystarczy — rzekł Kerze, który już zdążył odzyskać swoje doskonałe samopoczucie. — Na drobiazgi będzie dość czasu jutro. Nie zapominajmy, że mamy gości i że minister czeka! Są jeszcze do obwieszczenia inne, radosne nowiny.

— Ale przedtem — powiedział Tantau cicho — trzeba jeszcze uregulować pewien drobiazg.

— A więc jednak — rzekł Gisenius ledwie dosłyszalnie.

— Cóż może być jeszcze?! — zawołał Kerze patetycznie.

— Czyż dzięki pańskiej wspaniałej robocie, drogi panie Tantau, nie jest wszystko jasne jak słońce! Pójdziemy teraz do Karen, na pewno z niecierpliwością tam już na nią czekają.

Ale Gisenius zwracając się do Tantaua, rzekł:

— Chciał pan jeszcze zakomunikować coś, co nazwał pan drobiazgiem.

— Istotnie tak to nazwałem — potwierdził Tantau.

— I z mego punktu widzenia chodzi tu o drobiazg. Ale jeżeliby się na to spojrzęło z innego stanowiska, to per spektywy mogłyby się przesunąć w sposób zasadniczy.

Chodzi o rzecz następującą: wyjście z tej całej wcale nie tak całkiem bezpiecznej sytuacji było możliwe jedynie dzięki temu, że panna Kerze aktywnie współpracowała. No cóż, miałem pańskie pełnomocnictwo. Mogłem proponować zarówno pieniądze, jak i zaciągać wszelkie inne zobowiązania, prawda, panie dyrektorze Kerze?

— Ależ oczywiście! — potwierdził Kerze wspaniałomyślnie. — Nie lękać się kosztów to moja dewiza, również i w tym wypadku. Główna rzecz to stuprocentowy sukces. A ten został przecież osiągnięty!

— Został osiągnięty — powiedział Tantau z właściwą sobie prostotą — ponieważ dałem panie Kerze określoną obietnicę, a mianowicie, że nie będzie musiała zaręczać się dziś wieczorem.

— Co takiego?! — zawołał Kerze całkowicie skonsternowany. — To niemożliwe, absolutnie wykluczone! To nie może być prawdą! Pan to powiedział ot tak sobie!

— Przrzekłem — powiedział Tantau zdecydowanie.

— Bzdury! — zawołał Kerze. — Czegoś takiego nie można brać poważnie. To chyba finta, trik, próba zaszachowania mnie.

— To była obietnica — powiedział Tantau stanowczo. — Jedynie dzięki tej obietnicy udało mi się to wszystko załatwić, wyłącznie dzięki temu! Innej drogi nie było.

— Ależ panie! — zawołał Kerze. — Miał pan załatwić pewną drażliwą sprawę i załatwił ją pan. Ale przecież nie kosztem moich spraw osobistych! Człowieku, pan chyba nie ma wszystkich klepek w porządku. Bądźmy zupełnie szczerzy: Co mnie obchodzi pańska obietnica? Gówno! Nikt nie pozwolił panu na takie sztuczki. Dlaczego ja mam się czuć związany pańskimi obietnicami? Nie drogi panie, bujać to my, ale nie nas! Chodźmy — zakończył, zwracając się do Giseniusa — i tak straciliśmy tu za wiele czasu.

— Jeszcze chwileczkę — rzekł Gisenius tonem ostrzegawczym. Potem pochylił się w stronę Tantaua i zapytał: — Czyżby chciał pan nas zmusić, byśmy się zastosowali do pańskiej obietnicy?

— Niekoniecznie — odparł Tantau. — Jeżeli jednak panowie zechcą teraz uznać obietnicę daną przez mnie



pannie Kerze za nieistotną i nieobowiązującą, to dlaczegoż ja niby miałbym ze swej strony dotrzymać wobec panów danego im przyrzeczenia?

— Proszę mówić jaśniej — powiedział zaszępiiony Gi-senius.

— Przyrzekłem pannie Kerze, że nie będzie musiała się zaręczać, jeżeli mi pomoże w likwidowaniu skutków tego całego incydentu. Panom zaś obiecałem wytropić niejakiego Michela Meinersa i poinformować panów, gdzie ów Meiners się znajduje. Skoro to, co obiecuję w jednej sprawie, uważacie panowie za nieobowiązującą, to dlaczego niby ja w innej sprawie mam się czuć związany swoim słowem?

— Co to ma znaczyć?! — krzyknął Kerze. — Czyżby to miała być próba szantażu?

Gisenius kazał jednak przyjacielowi zamilknąć. Miał wrażenie, że widzi rzecz jaśniej. Zapytał więc:

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że wiadomo panu, gdzie się Michel Meiners znajduje?

— Wiem to — odparł Tantau ze skromną miną. — Meiners istnieje, wiem dokładnie, gdzie go można znaleźć.

— Istnieje — wymamrotał Kerze, spoglądając bezradnie na Giseniusa. Ale ten nie odrywał oczu od Tantaua.

Tantau zaś oświadczył:

— I dlatego stawiam warunek: dotrzymacie panowie przyrzeczenia danego przeze mnie pannie Karen Kerze, że nie musi się ona dziś wieczorem zaręczać. Dopiero wtedy powiem, gdzie możecie panowie znaleźć Michela Meinersa. Zanim to się jednak stanie, musi być spełniony jeszcze jeden warunek: musicie mnie panowie poinformować, co macie zamiar zrobić z Meinersem. Chcę to wiedzieć.

— Wariat! — zawołał Kerze wzburzony.

Gisenius jednak zapytał ostrożnie:

— Panie Tantau, czy nie uważa pan, że żądania pańskie idą trochę za daleko?

— Nie uważam — odparł Tantau tonem zdecydowanym. — Do mego zawodu należy tropienie i szukanie ludzi, ale nie wydawanie ich pod nóż. Wytropiłem na przykład niejakiego Siegerta, a teraz pytam się samego siebie: Dlaczego został pobity?

— Zostawmy to! — zawołał Gisenius szorstko i podniósł się. — Ustalamy na razie jedno: Karen nie będzie musiała zaręczać się dziś wieczorem. Zgoda, Kerze? Radzę stanowczo, byś dał swój placet.

— Mówisz poważnie?

— Najzupełniej. Proszę cię, zgódź się!

— A więc dobrze — wykrztusił Kerze z trudem. — Zgadzam się.

— Wszystko inne — oświadczył Gisenius na zakończenie — załatwimy później. Oczekuję pana jutro przed południem w moim biurze, panie Tantau. Sądzę, że potem nie będzie już między nami niejasności.

**C**ały czas zastanawiam się, gdzie też może być mój syn? — Kerze próbował zachowywać się jowialnie. — Wydaje mi się, że moi mili goście chcieliby go zobaczyć.

— Zaiste — zapewnił go minister, który był w doskonałym nastroju — cenię sobie wysoko harmonię życia rodzinnego. Lubię ścisnąć dzieciom ręce, głaskać je po główkach. Widzę w dzieciach nie tylko przyszłość, którą należy zabezpieczyć, ale staje mi przed oczyma również moja własna młodość, i pod wpływem tych wspomnień ogarnia mnie wzruszenie i błogość. Tak, drogi panie Kerze, niech mnie pan nie pozbawia tej przyjemności i pokaże mi swego ukochanego syna.

— Smarkacz znowu gdzieś się pewnie włóczy. — Kerze usiłował wypowiedzieć to ciepło. — Dzieci już takie są.

— Szukałam go wszędzie — sumitowała się pani Brands-tadter.

— Niech go więc pani szuka dalej — powiedział Kerze.

A pan minister zwrócił się w stronę Marleny Sonnenberg, ujął ją za rękę i zapytał tklawie: — Czy jest coś piękniejszego od dzieci?

Kerze, choć głęboko zaniepokojony informacjami i żądaniem Tantaua, nie miał zbyt złego samopoczucia — jego

uroczystość zdawała się zupełnie udana. Minister był w doskonałym nastroju, panowie z jego najbliższego otoczenia również. A do tego jeszcze ta Marlena Sonnenberg! Jak się należało tego spodziewać, stała się ośrodkiem ogólnego zainteresowania. A Martin Hirsch, który chociażby ze względu na swój zawód miał ogromne zalety towarzyskie, wszystkich oczarował, wszystkich, nie wyłączając ministra. Nawet Schulz nie był zawadą, z zapałem spełniał funkcje kelnera, przyczyniając się wydatnie do rozwoju przyjemnego nastroju.

— A gdzież córeczka pańska? — zapytał minister. — Czy nie zaszczyci nas swoją obecnością?

— Niestety czuje się niedobrze — odparł Kerze z głębokim ubolewaniem. — Miała wypadek, nic złego i nic poważnego, ale obawiam się, że będzie musiała przez jakiś czas trochę się oszczędzać.

— Serdecznie współczuję — powiedział minister ciepło, ale długo się z tym współczuciem nie obnosił. Uwagę jego znowu pochłonęła uroczą Marlena Sonnenberg.

Johannes Bartosch wyglądał na zaniepokojonego, w każdym razie udawał, że jest zatroskany. Nie spoczął, dopóki nie wmanewrował Kerzego w jakiś kąt. Znalazłszy się z nim w cztery oczy, powiedział:

— Proszę wybaczyć, ale nie rozumiem.

Kerze próbował udawać optymizm, choć przyszło mu to z niemalym trudem.

— Panie szanowny, przecież to się może zdarzyć. To, że tak powiem, siła wyższa, wobec której jesteśmy bezradni.

— Czy naprawdę był to tylko niewinny wypadek?

— Spokojna głowa, mój drogi! — Kerze zachowywał się celowo po ojcowsku. Był zdecydowany zapobiec dalszym komplikacjom. Chciał przecież za wszelką cenę utrzymać przy sobie Bartoscha. — Nie ma co się niepokoić. Po prostu przesuniemy oficjalne ogłoszenie zaręczyn o kilka dni.

— Jak pan sobie życzy — rzekł Bartosch z godnością.

Skinąwszy mu głowę, Kerze wybiegł do holu, w którym wśród baterii butelek stała jego ulubiona whisky. Musiał natychmiast coś wypić na pokrzepienie.

**M**a pan jakieś specjalne życzenie? — zapytała, stojąc w drzwiach pani Brandstadter. — Już od dawna nie miewam życzeń specjalnych. — Tantau, całkowicie odprężony nerwowo, siedział rozparty w najwygodniejszym fotelu w gabinecie dyrektora Kerzego. — Jak się miewa panna Karen?

— Leży w swoim pokoju i słucha tej wynaturzonej muzyki.

— Pięknie — rzekł Tantau zadowolony.

Pani Brandstadter przyglądała się temu dziwnemu gościowi nie bez współczucia. Było to dla niej zupełnie jasne, że ten biedny, stary, zmęczony człowiek gwałtownie potrzebuje uczciwej opieki.

— Naprzód przyniosę panu kawy.

— Ależ nie, dziękuję — bronił się Tantau. — Jeżeli jednak chce mi pani wyświadczyć przysługę, to... czy jest w domu coś słodkiego?

— Coś słodkiego? — Pani Brandstadter była zaskoczona.

— Ma pan na myśli cukierki?

— Trafiała pani w sedno. — Tantau uśmiechnął się z pewnym zawstyżeniem. — Kawalek czekolady, jakieś pralinki albo coś w tym rodzaju. Ale to nie jest konieczne.

— Zobaczę, czy się coś znajdzie — rzekła pani Brandstadter, potrząsając głową. — Może Karen ma u siebie jakieś słodczyce.

Po jej wyjściu Tantau ulokował się jeszcze wygodniej. Podsunął sobie pod plecy poduszkę i zagłębił się jeszcze bardziej w fotelu. Uśmiechał się z pobłażaniem, po prostu śmiał się z samego siebie. Już wtedy kiedy był jeszcze komisarzem policji kryminalnej, magazynował w swym biurku stopy wyborowej czekolady. Im wypadek był bardziej skomplikowany, tym więcej jej zjadał.

Kiedy pani Brandstadter postawiła przed nim wielkie pudło czekoladek, sięgnął po nie i w sekundę potem już żuł na potęgę. Miał ochotę zamknąć oczy, ale nie uczynił tego, gdyż widział wyraźnie, że pani Brandstadter potrzebuje gwałtownie pociechy.

— Konstantin — powiedziała pani Brandstadter ze skargą w głosie — ciągle jeszcze się nie znalazł. A szukaliśmy go wszędzie.

— Co to znaczy wszędzie?

— W całym domu. Przeszukaliśmy wszystko, od strychu do piwnicy. Ale go nie znaleźliśmy.

— Gdy chłopcy w jego wieku giną lub znikają, trzeba ich szukać u ich przyjaciół.

— Ale Konstantin nie ma przyjaciół — powiedziała pani Brandstadter. Tantau oderwał wzrok od pudła z czekoladkami i spojrzał na nią. W oczach jego malowało się zdziwienie.

— Jak to? — zapytał z niedowierzaniem. — Nie ma nawet ani jednego przyjaciela?

— Konstantin jest chłopcem dobrze wychowanym!

— oświadczyła pani Brandstadter niemal z dumą. — Ni gdzie się nie włóczy. Opuszcza dom tylko wtedy, kiedy idzie do szkoły, i zazwyczaj towarzyszy mu szofer.

Tantau odłożył napoczętą czekoladkę na stojący przed nim talerzyk. Wyglądało na to, że apetyt całkowicie mu przeszedł.

— Zdarzało się to już częściej? — zapytał. — Czy Konstantin znika czasami, na godzinę albo i dłużej?

— Nie zdarzyło się to jeszcze nigdy! — zawołała pani Brandstadter niemal z oburzeniem. — Nigdy by się na to nie poważył. To chłopak wyjątkowo grzeczny i posłuszny, trzyma się dokładnie tego, co mu się powie. Czasami bawi się w ogrodzie, ale poza domem nigdy. I nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby się gdzieś chował.

Tantau zmienił swoją wygodną pozycję. Siedział teraz znowu nieco zgarbiony i z przechyloną na bok głową.

— Kto i kiedy widział go po raz ostatni?

— Rozmawiałam z nim dziś po południu tuż przed naszym wyjazdem na uroczystość do fabryki. Odrabiał właśnie lekcje.

Tantau skinął głową. Przypomniał sobie, że był przypadkowym świadkiem tej rozmowy.

— Przeszukała pani cały dom? Wszystko bez wyjątku? Nie tylko strych i piwnicę, ale także pokoje służby i innych domowników?

— Wszystko! — zawołała pani Brandstadter zrozpaczona.

— I nie znalazłam go. Czy to nie okropne?

— Ogród też pani przeszukała?

— A po co? Przecież tam go na pewno nie ma. Noce są jeszcze bardzo chłodne. Oczywiście wołałam go, ale nie odpowiadał. Byliśmy również w garażach i oranżerii. Ani śladu!

— Niech się pani postara o lampkę kieszonkową albo latarnię — powiedział Tantau rzeczowo. — Proszę wyłączyć wszystkie światła znajdujące się na zewnątrz domu. Proszę powiedzieć Bennickenowi, żeby zostawił swoje piwo. No i przede wszystkim nikomu nie napędzać strachu, nikomu nie opowiadać, co pani chodzi w tej chwili po głowie. Mam jedynie zamiar pospacerować sobie trochę po ogrodzie.

**C**zego my właściwie szukamy? — zapytał Bennicken. — Na pewno nie jajek wielkanocnych — odparł Tantau.

— Właśnie sobie podjadałem... — mruknął Bennicken.

Tantau maszerował rażno naprzód. Tylko na chwilę zatrzymał się na tarasie, żeby się zorientować w terenie. Celem jego był teraz staw.

Idący za nim Bennicken wydawał raz po raz ochryple dźwięki, które były wyrazem jego niezadowolenia. O ile można było z tego bełkotu coś zrozumieć, mruczał, że jest taksówkarzem i nie angażował się do nocnych spacerów.

Tantau nie był tym monologiem, prowadzonym za jego plecami, zachwycony. Kiedy przechodzili przez przystrzyżony po angielsku trawnik, zapytał: — Widział pan już kiedyś trupa?

— Całe kupy — odparł Bennicken niewzruszony.

— I dotykał pan nieboszczyków?

— Miliony razy. Czy szuka pan czegoś w tym guście?

— Być może — rzekł Tantau wymijająco. Coraz bardziej utwierdzał się w przeświadczeniu, że przydzielono mu jedyne go w swoim rodzaju kompana. Przypadek, za który

powinien być losowi wdzięczny, gdyż Bennicken pobudzał jego planowo pracującą fantazję.

Tantau obrzucił badawczym spojrzeniem brzeg stawu. Widział tylko bezkształtną czerń, ciemną taflę wody oraz szare niebo. Zapalił latarkę kieszonkową, ostry snop światła przeciął ciemności. Na tle nocy zarysowały się teraz wyraźnie zarośla i krzaki.

— Dlaczego tutaj? — zapytał Bennicken.

— Przecież gdzieś trzeba zacząć — rzekł Tantau, jakby był duchem nieobecny.

— Akurat tutaj?

Tantau skierował światło swej latarki na twarz Bennicke-na — nie było na niej nic prócz lekceważącej niechęci. Tantau zgasił latarkę i powiedział:

— Pomówmy o śmierci. Śmierć bywa często paskudnie bezceremonialna, zwłaszcza wtedy, gdy ludzie, jak na przykład na wojnie, przyjmują ją jako coś samo przez się zrozumiałego, normalnego. Śmierć kładzie wówczas pokotem swoje trupy, gdzie i kiedy jej się zechce: w biały dzień, pośrodku szosy, na grzędach z kwiatami, na rynkach, na skrajach lasów i w rowach przydrożnych.

— Zgadza się — przytaknął Bennicken fachowo. — Znam to.

— W czasach jednak określanych jako normalne i śmierć trzyma się pewnych zasad przyzwoitości, staje się dyskretna. Wtedy trupy na widoku publicznym należą do wyjątków, umiera się przeważnie w łóżku, w sypialniach, w wysterylizowanych szpitalach. Jeżeli więc jest się przygotowanym na istnienie trupa, to gdzie go przede wszystkim szukać należy? W piwnicach i skrzyniach, w lasach i w wodach.

— Coś mi już zaczyna świtać — rzekł Bennicken, w dalszym ciągu całkowicie obojętny.

Tantau znowu zapalił latarkę, ukląkł i w odległości jakiegoś metra od brzegu zaczął pełznąć przez zarośla. Po kilku minutach tak się zasapał, że nie bardzo miał siły pełznąć dalej.

— Może ja to zrobię — zaproponował Bennicken. Tantau z przyjemnością przyjął tę propozycję. Przez zarośla przedzierał się więc teraz masywny Bennicken. Z la-

tarką w zębach posuwał się naprzód jak czołg. On też sapał, ale nie zwalniał tempa. Tantau ledwo mógł za nim nadążyć.

— Tu coś jest! — zawołał Bennicken.

Tantau zaczął pełznąć do niego, nie zważając na to, że gałęzie chłostały go po twarzy. I gdy tak pełził, zobaczył na ziemi wreszcie to, co oświetlał latarką Bennicken. Były to części ubrania. Ubrania, które niewątpliwie należało do jakiegoś chłopca.

— A więc jednak! — zawołał Bennicken nie bez pewnego zadowolenia i oczy mu zaślniły.

Tantau wyjął mu z ręki latarkę, oświetlił nią naprzód porzucone na ziemi w nieładzie części ubrania, potem powoli skierował ją na udeptaną przy brzegu trawę. Wreszcie krążek światła padł na staw. Oleista woda zdawała się być w tym miejscu nieco jaśniejsza.

— To chyba tam — powiedział Bennicken. Powiedział to tak, jak gdyby dowiózł któregoś ze swych pasażerów do celu. Potem spokojnie zaczął ściągać z siebie kurtkę. Zabierając się do spuszczenia spodni, mruknął:

— Wleżę tam!

— Potrzebny mi jest koc — rzekł Tantau, wróciwszy do mieszkania dyrektora Kerzego. — Proszę zawiadomić lekarza i policję. Konstantin nie żyje.



## 8. *Bywają zbrodnie, które się oplacają*

Ranny z pana ptaszek — rzekł portier zajazdu „Am Alten Postant”.

— A może — rzekł Tantau — w ogóle spać się nie kładłem.

— Nie można powiedzieć, żeby pan wyglądał na hulakę.

— Jestem stary, nie potrzebuję dużo snu. My starzy chcemy jeszcze to i owo zobaczyć, zanim na wieki zamkniemy oczy.

Portier, również w podeszłym wieku, odparł z pewnym zakłopotaniem:

— Dziwny z pana człowiek.

Ten Tantau niepokoił portiera. I to o tak wczesnej porze — jeszcze żaden z gości nie jadł śniadania.

Wyglądało na to, że Tantau ma niesłychanie wiele czasu. Zmięty, blady, skulony, oparł się o barierę, za którą siedział portier.

— Słyszał pan kiedyś o ciemnej liczbie?

Portier zaprzeczył. Denerwował go ten przybysz, który skoro świt się tu zjawił i zdręczał go makabrycznymi rozmowami.

— Ciemna liczba — ciągnął dalej Tantau — oznacza pewien tajemniczy proceder, zjawisko nie dające się zupełnie obliczyć, które jednak pewni ludzie próbują obliczać. Chodzi o nieznanne zbrodnie: o morderstwa, o których nikt nic nie wie, z wyjątkiem oczywiście mordercy.

— Za pozwoleniem — rzekł portier — co to mnie właściwie obchodzi?

— Niejeden tak myśli jak pan — powiedział Tantau przyjaźnie.

— Czego ludzie nie chcą wiedzieć, tego też nie

widzą. Ofiarami takiego okłamywania się bywają najróżniejsze osoby. I tak pewien lekarz wystawił członkowi znanej mu rodziny świadectwo zgonu, stwierdzając atak apopleksji. Kiedy na moje żądanie trupa odgrzebano, okazało się, że nieboszyk został zastrzelony, miejsce przebite kulą zaklejone było plastrem.

— Straszne! — zawołał portier i zaczął się rozglądać za kimś, kto by go uchronił przed takimi dręczącymi opowieściami. Ale nikt się nie zjawiał. — To jest właśnie to, co my rozumiemy przez pojęcie ciemna liczba: zbrodnie nieznanne, o których nikt nie donosi i które wskutek tego nie są ścigane.

— Muszę odejść na chwilę — rzekł portier — muszę zajrzeć do kuchni.

— Ależ proszę bardzo, ja pana nie zatrzymuję — powiedział Tantau.

Portier znikł, a tym samym Tantau osiągnął to, co swą makabryczną rozmową zamierzał osiągnąć: droga do pokoi hotelowych była wolna. Bez zbytniego pośpiechu skierował się na wąskie schody prowadzące na górę. W swych sfatygowanych, zakurzonych butach szedł wolno po wyszczerbionych schodach i mocno zniszczonych chodnikach. Gdy znalazł się wreszcie pod drzwiami, za którymi według jego rozeznania powinien znajdować się Meiners, przystanął, jakby bardzo się zmęczył wspinaczką po schodach. Zaczął nasłuchiwać. Z początku słyszał tylko ciszę. Potem doszły do niego szmery, jakie towarzyszą zwykle wstawaniu: szum wody, brzęk szkła, dygotanie rury wodociągowej. Zapukał do drzwi.

W dalszym ciągu nic tylko obezwładniająca cisza. Potem Tantau usłyszał kroki. Ktoś stąpał boso po linoleum i drewnianej podłodze. Po chwili drzwi się otworzyły. Tantau ujrzał przed sobą Michela Meinersa w rozchełstanej na piersiach koszuli i nie dopiętych spodniach.

— Dzień dobry — rzekł Tantau uprzejmie.

— Czy ja pana znam? — zapytał Meiners. — Czy przypadkiem nie widziałem pana wczoraj u portiera?

— Owszem, widział mnie pan — powiedział Tantau z uśmiechem. — Ale pan mnie nie zna.

Powiedziawszy to, Tantau wszedł do pokoju. Pokój ten wyglądał jak tysiące innych pokoi w hotelach tańszej kategorii: masywne, udające solidność meble, kolorowe serwetki w desenie, żeby nie trzeba było ich zbyt często prać, łóżko z imitacji dębu, w kącie mikroskopijnych rozmiarów umywalka. Nędznie, szaro, choć może nawet i trochę przytulnie.

— Dlaczego mnie pan nie wyrzuca? — zapytał Tantau.

Michel Meiners zbliżył się do niego powoli, ostrożnie. Dzięki rozchełstanej koszuli widać było wyraźnie jego szyję oraz zapadniętą pierś, pokrytą śnieżnobiałymi bliznami. Jego zwisające bezwładnie ręce drżały — może z zimna, jakie panowało tego ołowianoszarego poranka.

— Pamiątki z wojny? — Tantau wskazał na blizny.

— Nie tylko — odparł Meiners wymijająco.

— Powinien mnie pan wyrzucić — powiedział Tantau za chmurzony. — Nie ma pan ochoty, czy brak panu odwagi?

Michel Meiners spoglądał na Tantaua jakimś nieobecny spojrzeniem. Głowa jego zdawała się siedzieć na karku trochę jakby skośnie, w jego jasnych, wielkich oczach była rezygnacja. Widocznie rozmyślał nad czymś. Wreszcie wyszeptał:

— Nienawidzę gwałtu i przemocy.

— I nie broni się pan przed nią?

— Czego pan chce ode mnie? — Meiners oparł się o ścianę. — Czy zrobiłem panu coś złego? Czy jestem panu coś winien? Dlaczego zjawił się pan tutaj?

— Mógłbym powiedzieć — rzekł Tantau — że się zjawił po to, aby postawić panu parę pytań. I byłoby to prawdą. Sądzę jednak, że powinien pan wiedzieć, dlaczego zamierzam postawić panu te pytania. To może niejedno ułatwić. A więc pracuję dla pewnej agencji, można również powiedzieć, dla biura wywiadowczego. Kazano mi się dowiedzieć, czy w Rheine-Bergen przebywa niejaki Michel Meiners, a jeżeli tak, to dlaczego.

— Jestem Michel Meiners. Jeżeli to wszystko, co chciał pan wiedzieć, dlaczego miałbym to przed panem ukrywać? Jestem w tym mieście z ramienia mojej firmy i mam ściągać należności.

Tantau zamknął na chwilę oczy. Żał mu się zrobiło tego człowieka, który stał przed nim. Nie było to dla Tantaua uczucie nowe, nieraz go już doznawał.

— Pan jest w tym mieście,„ dopiero od paru dni — rzekł Tantau ostrożnie.

— W sprawach mojej firmy — uzupełnił szybko Meiners.

— W ciągu tych kilku dni był pan pochłonięty sprawami zawodowymi, nie zajmował się pan interesami prywatnymi? Pracował pan, spał, nic innego pana nie interesowało? Nie miał pan ochoty odszukać swych dawnych kolegów?

Michel Meiners oderwał się od ściany, przy której stał, i podszedł zmęczonym krokiem w stronę łóżka. Usiadł na nim. Patrząc badawczo na Tantaua, wykrztusił z trudem:

— A więc to dlatego pan tu przyszedł?

— Niepokoi to pana? — zapytał Tantau uspokajającym tonem lekarza, który opukuje pacjenta. — Czy jest może w tym coś, co pana trapi?

Michel Meiners potrząsnął przecząco głową i powiedział:

— To już było tak dawno temu! I dlaczego miałbym się narzucać swoim kolegom? Właściwie zapomniałem już o wszystkim, co się wtedy wydarzyło.

— Jeżeli coś ma być zapomniane, to nie wystarczy wcale, że jeden z uczestników wydarzenia pragnie zapomnieć.

— Nie chcę, aby mi o tym przypominano! — zawołał Meiners gwałtownie. — Dla mnie to wszystko jest już skończone! Raz na zawsze. Może pan to powiedzieć każdemu, kto jest tego ciekaw.

Tantau potrząsnął smętnie głową.

— Niestety to nie jest takie proste, jak pan sobie wyobraża. Załóżmy, że to, co pan przed chwilą powiedział, jest szczerze i uczciwie. Nie chce pan, aby panu przypominano, pragnie pan zapomnieć. Kto jednak zaręczy, że jest to decyzja ostateczna? Czy nie są do pomyślenia okoliczności, w których pańskie obecne nastawienie mogłoby się okazać przedwczesne?

— Nie rozumiem i nie chcę pana rozumieć. — Meiners gwałtownie się wyprostował, co mu wyraźnie sprawiło ból. — Chcę tutaj jedynie i wyłącznie załatwić sprawy firmy. Uporam się z tym za dwa, trzy dni i nikt mnie tu już więcej nie zobaczy.

— Do następnego razu? — zapytał Tantau miękko.

— Nie będzie następnego razu.

— Gotów jestem panu wierzyć. Ale czy ta sprawa obchodzi tylko nas?

Meiners zagryzł wargi i spojrzał na Tantaua jak na wroga. Potem wymamrotał:

— Chce mnie pan zmusić do tego, żebym zapytał, kto pana tu przysłał?

Tantau uśmiechnął się niby ogrodnik, który widzi, jak zakwita pieczułowiec przez niego wyhodowany kwiat.

— Sądzę, że potrafi pan sobie wyobrazić, z czyjego polecenia tu jestem.

Michel Meiners, mocno zaniepokojony, podniósł się, podszedł do okna, potem do umywalki. Wreszcie zatrzymał się i długo patrzył Tantauowi w oczy.

— Panie Tantau — rzekł udręczonym głosem — szesnaś cie lat to kawał czasu, zwłaszcza dla mnie. Czas ten był wypełniony dla mnie chorobą, niewolą, odosobnieniem. Dopiero od dwóch lat żyję znowu w tym kraju, ani źle, ani dobrze, ale żyję! Po raz pierwszy mam wreszcie spokój, zarabiam trochę pieniędzy, pracuję zawodowo. Niczego więcej nie pragnę... Przeszłość jest dla mnie pogrzebana, nie chcę żadnych wspomnień.

Tantau pochylił głowę. Spoglądanie Meinersowi w oczy było już niepotrzebne. Po chwili namysłu powiedział jakby od niechcenia:

— Utrzymuje pan więc, że pobyt pański tutaj jest zwykłym przypadkiem?

— Tak!

— Nie uważa pan, że to dziwny przypadek?

— Uważam — przyznał Meiners szczerze. I znowu usiadł na łóżku, tym razem na jego brzegu, jak gdyby chciał być jak najbliższym swojego gościa. Pochyliwszy się do przodu, powiedział do Tantaua: — Widzi pan, pracuję dla pewnej firmy we Frankfurcie. Firma ta zajmuje się inkasem. Jestem stale w drodze, jeżdżę z miejsca na miejsce, inkasuję zaległości, ściągam raty. W ubiegłym tygodniu byłem w Ra-vensbriick, na ten tydzień wysłano mnie tutaj. Czysty przypadek! Firma wyznaczyła mi to miejsce pobytu, nie ja.

— I pan nic innego nie robił, tylko inkasował?

— Raz jeden — powiedział Meiners cicho — byłem na Targach Budowlanych.

Więcej nic nie powiedział. Tantau też milczał. Uznał, że jeszcze nie pora na pytanie, o które mu chodziło. Powiedział tylko jedno:

— Panie Meiners, czy byłby pan skłonny pokazać mi pa piery swojej firmy?

Po krótkiej chwili wahania Meiners sięgnął po grubą teczkę, leżącą na stoliku przy łóżku, i otworzył ją. Wyjął z niej cały plik papierów i podał go Tantauowi. Były to zlecenia wielkich firm, przeważnie spedytorskich, dla firmy „Inkaso”, formularze firmowe do dyspozycji przedstawiciela firmy, a więc do dyspozycji Meinersa, a ponadto wezwania, raporty i wykazy dzienne oraz pełnomocnictwo notarialne dla Meinersa, wielokrotnie odnawiane. Zdaniem Tantaua papiery te nie budziły wątpliwości. Raporty dzienne Meinersa świadczyły o jego operatywności. Praca na terenie Rheine-Bergen wyglądała na czysto przypadkową.

— Bardzo przekonywające — rzekł Tantau.

— No widzi pan! — zawołał Meiners z ulgą. — Za dwa, trzy dni będę z tym gotów i ulotnię się stąd.

— A co by było, gdyby się pan ulotnił zaraz?

Meiners spojrział na Tantaua z przerażeniem i powiedział bezradnie:

— Nie mogę tego zrobić. Straciłbym posadę. Widzi pan, nie należę do tych najlepszych sił w firmie. Nie mogę sobie pozwolić na żadne zaniedbania, muszę harować jak wół. Nie nauczyłem się żadnego zawodu, nigdy nie miałem do tego sposobności. Gdybym teraz wyjechał bez załatwienia wszystkich spraw, które mi firma poleciła, skutki mogłyby być dla mnie bardzo nieprzyjemne.

— Widzi pan — rzekł Tantau niemal konspiracyjnie — jestem człowiekiem chorującym na wielką ciekawość. Mam ogromną ochotę porozmawiać sobie z panem długo i szczerze, ale w tym momencie nie rozporządzam niestety odpowiednią ilością czasu. Pewni ludzie czekają na moje sprawozdanie.

Meiners pochylił z rezygnacją głowę.

— I sprawozdanie to będzie brzmiało: Człowiek nazwiskiem Meiners mieszka w zajeździe „Am Alten Postamt”.

— A mnie się zdawało — powiedział Meiners cicho — że chce mi pan pomóc.

Tantau kiwnął przyjaźnie głową:

— Proszę o cierpliwość, mam zamiar zrobić panu pewną propozycję. Trzeba panu wiedzieć, że moje raporty i sprawozdania odpowiadają zawsze faktom. Ale to, co jest faktem w danej chwili, nie musi nim być w godzinę później. Jeszcze pan nie zrozumiał, młody przyjacielu? A więc precyzuję dokładnie: Wyprowadzi się pan stąd do innego hotelu.

— Uważa pan to za słuszne?

— Za praktyczne. Niech pan tylko nie zostawia tu swego nowego adresu. Ale ja chciałbym go znać. — Tantau wyjął z kieszeni notes i na jednej z wyrwanych z niego kartek wypisał pięciocyfrową liczbę. — Może mnie pan złapać pod tym telefonem między godziną dwunastą a trzynastą.

— Nie wiem, co robić ~ rzekł Meiners, całkowicie bezradny. — W ogóle nie jestem w stanie logicznie myśleć, nie wiem już, co jest dobre, a co złe. Wydaje mi się jednak, że do pana można mieć zaufanie.

— Niech pan spokojnie spróbuje je mieć — rzekł Tantau, podnosząc się.

— Dlaczego pan to robi?

— Lubię się bawić — odparł Tantau z uśmiechem. — Poza tym, jak już panu mówiłem, trawi mnie ciekawość. Mam w ogóle całą masę wad, z wiekiem uświadamiam to sobie coraz bardziej. Najgorszą moją wadą jest poczucie sprawiedliwości, które mnie kiedyś doprowadzi do ruiny.

Tak być nie może! — zawołał Karl Schulz tonem oskarżycielskim. — Życie moje opiera się na bezwzględnej uczciwości.

— Moje również — powiedziała Ewa Schulz, patrząc bratu prosto w oczy.

— Mówicie różnymi językami — wtrąciła Marlena Sonnenberg. Była pochłonięta lakierowaniem swoich paznokci. — I ciągle to samo od szeregu już dni. A przecież Ewa jest dostatecznie dorosła, aby mieć swoje tajemnice.

— Tajemnice? Przede mną?

Marlena Sonnenberg wybuchnęła krótkim śmiechem. Ewa była zasmucona, czuła się nie rozumiana. Karl Schulz zaś stał w kuchni jak skała, gotowa stawiać opór najburzliwszym falom życia.

— Przykro mi, jeżeli sprawiam ci przykrość — powiedziała Ewa.

— Nazywasz to przykrością? — Święte oburzenie Schulza dochodziło już do zenitu. Ewa powinna była mieć do niego bezgraniczne zaufanie, uważał to za coś samo przez się zrozumiałego. — To, co ty robisz, ja nazywam zdradą.

— Główną czy pospolitą? — zapytała Marlena Sonnenberg, która była akurat we względnie dobrym humorze.

Schulz udał, że nie dosłyszał tego trzpiotowatego pytania, nie przyjął go po prostu do wiadomości.

— Należę do ludzi — oświadczył — którzy niełatwo się przejmują, koledzy nazywali mnie nieraz żelaznym Schulzem. Ale to, co przechodzę od paru już dni, doprowadza mnie do rozpacz.

— A mnie zaczyna powoli działać na nerwy — szepnęła Marlena Sonnenberg, raczej do siebie.

— Nigdy nie zapomnę tego momentu, gdy Bennicken przyniósł tego biednego, małego Konstantina w kocu ociekającym wodą. To było coś okropnego, wprost nie do wiary!

— To był wypadek — rzekła Marlena Sonnenberg uspokajająco.

Karl Schulz zdawał się na nowo przeżywać wszystko to, co w ostatnich dniach wytrąciło go z równowagi.

— Włosy jego były pełne mułu, a ręce i nogi miał chude jak bocian. Zupełnie jak na wojnie, człowiek po śmierci kurczy się i maleje. A co dopiero takie dziecko!

— Nie mów o tym — rzekła Ewa. — Zdaje się, żeś się tym bardzo przejął.



Schulz spojrział smętnie na siostrę.

— Od lat nie przeżywałem czegoś podobnego. Nie mogłem wydobyć z siebie słowa, miałem tylko jedno pragnienie: do domu, zapomnieć! — Nagle podniósł głos i ryknął: — I co w domu znajduję? Nic! Nikogo! Moja siostra znowu się gdzieś włóczy!

— Tylko wyjątki pozostają na zawsze dziećmi — stwierdziła Marlena Sonnenberg.

— Marleno — powiedział Schulz z wyrzutem — twoje zapatrywania na tę sprawę nie są dla mnie miarodajne.

— Poglądy nasze na niektóre sprawy są, jak widać, całkowicie różne — powiedziała zaczepnie Marlena Sonnenberg.

— Tak, całkowicie! — zawołał Schulz. — W każdym razie wczoraj u Kerzego zachowywałaś się w sposób oburzający!

— Można pęknąć ze śmiechu! — powiedziała Marlena Sonnenberg. I spróbowała spełnić swą groźbę: roześmiała się ostro i głośno, bez odrobiny serdeczności.

Ewa spoglądała z przerażeniem to na rozgniewanego brata, to na oburzoną Marlenę.

— Proszę, nie kłóćcie się z mego powodu!

— Z twego powodu! — Marlena Sonnenberg wstała. — Nie potrzebuję twego współczucia. A mężczyzna, który nie potrafi się zdobyć na to, żeby okazać mi zrozumienie, nie kocha mnie. Na przedmiot codziennego użytku zaś nie nadaję się. — Powiedziawszy to, zabrała swoje przybory do manicure i wyszła z hałasem z kuchni.

— Tylko tak dalej! — wrzasnął Schulz za nią.

Kiedy jednak znikła mu z oczu, opadł bezsilnie na krzesło i patrząc otępiałym wzrokiem przed siebie, powiedział:

— Świat się wali!

Ewa pochyliła się nad bratem i popatrzyła nań smutno i miłośnie zarazem.

— Nie bądź smutny — szepnęła. Powiedziawszy to, próbowała delikatnie położyć swą rękę na jego rękę.

— Co się z nami stało? — zawołał Schulz po dłuższym namyśle. — Czy nie żyliśmy ze sobą w zgodzie? Czy nie byliśmy szczęśliwi? Czy nie mieliśmy podstaw do zadowolenia?

— Bardzo mi przykro, Karl — szepnęła Ewa — ale co mam robić?

Karl Schulz spuścił głowę i powiedział ponuro:

— Jakiś robak się między nami zagnieździł. Od kilku dni wszystko jest nie tak, jak być powinno. Jedni z moich przyjaciół podkpiwają sobie ze mnie, inni kłamią, a jeszcze inni chcą mnie albo wystrychnąć na dudka, albo namówić do złego. Rzygać mi się chce na to wszystko! Ludzie zachowują się bezwstydnie na przyjęciach, zrywają więzy wieloletniej przyjaźni jak papier klozetowy, we wszystkich kątach czyhają na człowieka podstępne niespodzianki, niewinne dziecko umiera w potworny sposób, a siostra moja włóczy się jak suka.

Ewa, wcale nie urażona, powiedziała łagodnie:

— Mylisz się, Karl.

— Być może — odparł Schulz. Jak zawsze gotów był wierzyć w dobro, nawet gdy go wyraźnie nie widział.

— No więc dobrze — rzekła Ewa, zebrawszy się na odwagę — widzę, że muszę ci to powiedzieć... Mam wrażenie, że będę miała dziecko.

— Co takiego?! — zawołał Schulz jakby rażony piorunem. — Co będziesz miała? Dziecko?

— Tak — powiedziała Ewa otwarcie. — Wszystko zdaje się na to wskazywać.

— Jesteś tego pewna?

— Prawie.

— Oj, dziewczyno, dziewczyno! — zawołał Schulz wstrząśnięty. Jego braterskie oburzenie gdzieś się ulotniło, ogarnęło go nagle zdumienie z domieszką szalonej radości. — Naprawdę?

— Wkrótce będziemy to dokładnie wiedzieli. Ale jak powiedziałam, jestem prawie pewna. Czuję to.

Ujął jej rękę, które wyciągnęła do niego. Wstał, przyciągnął ją do siebie, do swojej szerokiej piersi, i swymi wielkimi rękami pogłaskał jej szczupłe plecy, sapiąc przy tym gwałtownie. — Moja mała dziewczynka — wymamrotał.

Potem nagle znieruchomiał. Odsunął siostrę od siebie, aby móc jej spojrzeć w oczy, i zapytał:

— A ojciec?

— Nic jeszcze o tym nie wie — odparła Ewa z uśmiechem. — I na razie nie powinien wiedzieć. Musi się powoli przyzwyczaić do tej myśli.

— Ewo — rzekł Schulz ochryłym głosem — czy to ma znaczyć, że ciągle jeszcze nie chcesz mi powiedzieć jego nazwiska?

— Tak — powiedziała Ewa prosto i bardzo przekonująco. — Niech tak na razie zostanie.

Mam nadzieję — rzekł Gisenius — że wreszcie złoży mi pan szczegółowe sprawozdanie.

— Niewiele mam do zakomunikowania — oświadczył Tantau uprzejmie.

— Przecież miał pan powiedzieć coś konkretnego — rzekł Willy Kerze, który stał za Giseniusem. — Czy nie dał nam pan tego do zrozumienia wczoraj wieczorem?

— Naprzód, panie Kerze — powiedział Tantau — chciałbym panu wyrazić moje najszczerze współczucie. Wczoraj w tym zamieszaniu nie miałem na to głowy.

— Dziękuję — odparł Kerze z godnością.

Rozmowa toczyła się w kancelarii adwokackiej doktora Giseniusa. Było kilka minut po dziesiątej i Tantau został, żeby tak rzec, wezwany do raportu.

Zwracając się znowu do Kerzego, Tantau powiedział niewinnie:

— Skoro już pan tu jest, panie dyrektorze, może zechciałby pan zaspokoić moją ciekawość. Interesuje mnie rzecz następująca: czy policja przeprowadziła już dochodzenie u pana, i jeżeli tak, to z jakim rezultatem?

— Wczoraj w nocy zjawili się dwóch agentów policji kryminalnej — odparł Kerze niechętnie. — Dziś niemal o świcie przyszedli znowu. Jakże to może mieć znaczenie?

— Zna pan już rezultat dochodzeń?

— Oświadczyli, że był to nieszczęśliwy wypadek. — Kerze zdawał się bardzo niezadowolony z tego, że Tantau wdziera się w intymną sferę jego życia. — Ale powiedzieli

to już wczoraj wieczorem. Wydaje mi się, że to jedno przesłuchanie powinno było wystarczyć.

— Wczoraj było ciemno — pozwolił sobie zauważyć Tantau — i nie mogli widocznie wszystkiego dokładnie obejrzeć. Dochodzenia i śledztwo muszą być gruntowne, nawet jeżeli się stwierdza, że miał miejsce nieszczęśliwy wypadek. Zresztą ten wypadek był dosyć dziwny, nie uważa pan?

— Za pozwoleniem! — wmieszał się Gisenius, sadowiąc się wygodnie w swym fotelu. — Dziwne jest raczej to, że jest tu już pan piętnaście minut, a dotychczas nie usłyszeliśmy z ust pana nic z tego, co nas interesuje.

— Bo naprawdę niewiele jest tu do powiedzenia — odparł Tantau irytująco uprzejmie. — Ale jak już panom wczoraj zakomunikowałem, przykładam wagę do otrzymania odpowiedzi na pewne określone pytanie. Dopiero po tej odpowiedzi mógłbym panom podać obecny adres Mi-chela Meinersa.

— Stawia pan warunki?! — zawołał Kerze zdumiony. Potrząsnął głową, spojrzął na Giseniusa i powiedział: — On stawia warunki!

— Panie Tantau — rzekł grzecznie Gisenius. — Chyba zdaje sobie pan z tego sprawę, że daliśmy panu określone zlecenie, pan zaś obiecał je wypełnić bez żadnych zastrzeżeń. Ale ponieważ przykładam wielką wagę do tego, aby umocnić pana w przeświadczeniu, że pracuje pan dla sprawy absolutnie czystej i nie budzącej zastrzeżeń, spróbuję odpowiedzieć na pańskie pytanie. Proszę, niech pan pyta!

— Co się stanie z Michele Meinersem, gdy podam panom jego adres?

— Porozmawiamy z nim — oświadczył Gisenius. — Pragniemy tej rozmowy.

Tantau uśmiechnął się łagodnie. — Bywają rozmowy prowadzone pod naciskiem. Pan wie, co mam na myśli, prawda?

— Wiesz, co on ma na myśli? — zapytał Kerze zdziwiony. Gisenius skinął potakująco głową, był wyraźnie zasmucony.

— Mam wrażenie, że wiem. Ale zapewniam pana: to było przykre nieporozumienie, coś podobnego już się więcej nie powtórzy, ręczę za to. Wystarczy panu ta odpowiedź?

— Wystarczy, jeżeli odpowiada prawdzie — rzekł Tantau i dodał łagodnie: — Byłoby bardzo niedobrze, gdyby nie była zgodna z prawdą. Przykro mi, że muszę to powiedzieć jasno i wyraźnie, ale nie jestem rzeźnikiem.

— Dobrze już, dobrze — powiedział szybko Gisenius. Rozmowa ta była dla niego wyraźnie nieprzyjemna. Chciał ją jak najprędzej skończyć. — Proszę teraz pana o sprawozdanie.

Tantau wyciągnął bez pośpiechu i raczej niepotrzebnie notes. Choć był on prawie czysty, Tantau otworzył go i spoglądając ponad jego kartek na słuchających, odczytał:

— Michel Meiners, urodzony piętnastego marca tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku w Immenstadt, zamieszkały we Frankfurcie nad Menem, Fasanengasse sie demnaście, przebywa tymczasowo w Rheine-Bergen.

Gisenius splótł ręce i przycisnął je do piersi. Był to u niego objaw największego skupienia. Półgłosem, ale bardzo wyraźnie, zapytał:

— Gdzie się zatrzymał?

— W zajezdzie „Am Alten Postamt” — powiedział Tantau. — Mieszka tam już prawie tydzień.

— A więc jednak! — Kerze odetchnął głęboko; zabrzmiało to tak, jakby powietrze uchodziło z opony od roweru.

— Udało się panu ustalić, po co tu przybył? — zapytał Gisenius.

Tantau pochylił głowę, wyglądało na to, że potakuje. Potem jednak zdecydował się rzucić pewne niebezpieczne słowo; słowo to brzmiało; „rzekomo”.

— Rzekomo — powiedział — bawi tutaj jako inkasent pewnej firmy.

— To pretekst! — zawołał Kerze. — Tylko i wyłącznie pretekst!

Gisenius podniósł rękę jakby w samoobronie i skarcił Kerzego wzrokiem. Potem zwrócił się w stronę Tantaua i powiedział bardzo uprzejmie:

— A zatem zlecenie, które pan otrzymał, zostało wykonane. Dziękujemy za dobrą, precyzyjną robotę.

— Nie ma za co — odparł Tantau. Ale nic nie wskazywało na to, że ma zamiar odejść.

Wobec tego Gisenius, trochę niecierpliwie, powiedział:

— Sprawa jest załatwiona.

— A moje honorarium?

— Otrzyma je pan oczywiście.

— Również i za cały dzień dzisiejszy?

— Nie jesteście małostkowi, panie Tantau. Chyba zdążył to już pan zauważyć.

— Oczywiście — powiedział Tantau. — Na pewno mieli panowie ku temu swoje powody. Kłopotliwe jest tylko to, że ja mam coś w rodzaju zawodowego honoru. Brzmi to komicznie, ale jest to niestety fakt. I właśnie dlatego niechętnie przyjmuję podarunki. Każde honorarium musi być ostatecznie zrównoważone odpowiednią pracą.

— Jeżeli już pan tak koniecznie chce, to proszę sporządzić szczegółowy raport na piśmie — zaproponował Gisenius.

Tantau potrząsnął przecząco głową i oświadczył:

— Byłaby to strata czasu.

— To niech pan idzie na spacer!

— To naprawdę bardzo wielkodusznie z pańskiej strony — mruknął Tantau. — Mimo to prosiłbym, aby mi pan oszczędził na stare lata niepotrzebnych wypraw.

— To czego pan właściwie chce? — Giseniusa ogarnęło lekkie zdenerwowanie. — Wykonał pan nasze zlecenie i koniec na tym, nie mamy dla pana żadnej innej roboty.

— Zawsze jest coś do roboty, niestety także i dla ludzi takich jak ja. — Tantau uśmiechnął się niemal z zakłopotaniem. — I jeżeli to panu odpowiada, chciałbym wyjaśnić pewną kwestię. A mianowicie: co może skłonić małego chłopca do tego, aby się w kwietniu rozebrał i wszedł do stawu? Ogromnie mi zależy na odpowiedzi.

— Do czego jest ona panu potrzebna? — zapytał Gisenius.

— Tego jeszcze nie wiem — powiedział Tantau. — Może jest to po prostu jedno z moich dziwactw.

Kerze mrugnął znacząco w stronę Giseniusa. Mrugnięcie to miało zapewne oznaczać: jest to najwygodniejszy sposób, abyśmy mogli się go pozbyć. Potem powiedział:

— Zaszkozić to nie zaszkodzi.

— Jeżeli tak sądzisz... — poddał się Gisenius. I on był rad, że będzie można skierować Tantaua na inne tory.

— Dziękuję za zaufanie, postaram się go nie zawieść — rzekł Tantau.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Kerze zawołał:

— No, tegośmy się szczęśliwie pozbyli!

— Może w ogóle nie należało zadawać się z tym człowiekiem — rzekł niepewnie Gisenius. — Wie za dużo, a to może być niebezpieczne.

— Najważniejsze — powiedział Kerze beztrósco — że nareszcie mamy to, czegośmy chcieli: ten adres!

Gisenius dał mu odczuć, że został źle zrozumiany. Westchnął i nacisnął jeden z guzików zamontowanych na jego biurku.

— Napijesz się czegoś? — zapytał się Kerzego.

Po chwili zjawił się kierownik kancelarii. Gdy zachodziła potrzeba, potrafił się zachowywać jak angielski mikser. Stał przy drzwiach w wyczekującej pozycji.

— Proszę o koniak — powiedział Kerze.

Na to Gisenius:

— Niech nam pan przyśle butelkę koniaku i kieliszki. Po tem proszę zadzwonić do zajazdu „Am Altem Postamt”, ale dyskretnie, nie wymieniając mego nazwiska. Niech pan tylko zapyta, czy mieszka tam niejaki Michel Meiners. To wszystko.

Kierownik kancelarii oddalił się z godnością.

— Komplikacji — rzekł Kerze — nigdy się nie da uniknąć. Rzecz najważniejsza: poradzić sobie z nimi. A my sobie poradzimy!

— Zawsze podziwiam twój optymizm — rzekł Gisenius z pobłażliwą życzliwością. — W tym jednak wypadku niestety go nie podzielałam. Mam szereg wątpliwości.

— To miej. — Kerze powiedział to z wielką pewnością siebie.

— A więc dobrze — rzekł Gisenius, a na jego twarzy nie drgnął nawet ani jeden mięsień. — Sięgnijmy w przeszłość.

Meiners znalazł się wtedy na pozycji mocno wysuniętej w stronę nieprzyjaciela.

— Powiedzmy sobie szczerze: było to stanowisko, na którym czekała człowieka pewna śmierć — powiedział Kerze, zagłębiając się we wspomnienia.

— Drogi przyjacielu — rzekł Gisenius łagodnie, ale ostrzegawczo — uważam, że w przyszłości należy bezwarunkowo unikać tego rodzaju prowokacyjnych sformułowań. Pod żadnym warunkiem nie możemy dopuścić do tego, żeby powstał taki obraz sytuacji, który byłby dla nas niebezpieczny.

— No dobrze. — Kerze był gotów nie upierać się przy swoim sformułowaniu. — Meiners zatem zajął stanowisko mocno wysunięte w stronę nieprzyjaciela.

— Dobrze, tak właśnie było — powiedział Gisenius. — Owo stanowisko w lasku trzysta siedem znalazło się wkrótce pod koncentrycznym ogniem wroga. My jednakże zdołaliśmy ująć. Uszliśmy wszyscy. Wszyscy! A więc i Meiners.

— Niestety nie — zareplikował Gisenius. — Jakkolwiek dziś skłonni jesteśmy przyjąć, że Meiners wcale nie był martwy, to jednak wydaje się być pewnym, że znajdował się w stanie podobnym do śmierci. To znaczy, był ciężko ranny. Możesz to sobie wyobrazić? Był jak martwy! Co się stało później, jeszcze nie wiemy. Może trzeba było lat, żeby mógł znów stanąć na nogi. Niejedno mógł tymczasem przeżyć, może niewolę, a może doznał takich obrażeń cielesnych, że mu to pozostało już na zawsze i jest kaleką.

— Tak czy inaczej, żyje! — powiedział Kerze szorstko.

— Nie chodzi już więc o jego życie.

— Mimo to pozostaje ciągle jeszcze ta paskudna historia, która się zdarzyła w nocy z tą dziewczyną. Czy wtedy nie uznaliśmy, oczywiście z czystym sumieniem, za jedynego możliwego winowajcę właśnie Meinersa?

— Cholera jasna! — wrzasnął Kerze. — Od dawna już pytam samego siebie: kiedy wreszcie ta przeszłość zacznie być naprawdę przeszłością?

— Drogi przyjacielu — rzekł Gisenius niemal uroczyście — twierdziłem wówczas, że trzeba za wszelką cenę odcią-



żyć tych, którzy są naprawdę niewinni. Niestety prowadzi do tego jedyna droga: trzeba znaleźć naprawdę winnych!

— Ale jak to zrobić?

Gisenius pochylił głowę, chcąc tym gestem wyrazić pokorę i poddanie się losowi.

— Wyciągnięcie ostatecznych wniosków z naszych rozważań przychodzi mi niezmiernie ciężko. Muszę bowiem zapytać: kto wtedy jedynie i wyłącznie ponosił odpowiedzialność?

— Schulz? — zapytał bardzo ostrożnie Kerze.

Gisenius z ciężkim sercem kiwnął potakująco głową.

— On był dowódcą. On jeden miał prawo wydawać rozkazy. Nic się nie działo bez jego wiedzy i zgody. Wedle prawa wojennego jedynie on rozstrzygał o każdym drobiazgu. A więc wyłącznie jego można czynić odpowiedzialnym za to, co się stało. Jest mi naprawdę bardzo przykro, że muszę to powiedzieć. Czy można jednak wyciągnąć wniosek bardziej logiczny i przejrzysty?

— A więc Karl Schulz — rzekł zdecydowanie Kerze.

— Nie odgradzajmy się od tego niezwykle drażliwego wydarzenia, które miało miejsce owej nocy. Uczciwość pozwala na jeden tylko wniosek: praktycznie tylko jeden jedyny człowiek może tu wchodzić w rachubę. Powiedziałbym nawet, że z psychologicznego punktu widzenia upatrywanie wyłącznie w nim winnego jest nie do obalenia. Cała jego postawa w owych latach, jego wątpliwe pojęcie o moralności, jego rozwiązły tryb życia, wszystko wskazuje wyłącznie na niego. Oczywiście wiesz, kogo mam na myśli.

— Hirscha — odparł Kerze bez zająknięcia.

— Ten logiczny wniosek wprost sam się narzuca. — Gisenius nie ukrywał zadowolenia, że został tak doskonale zrozumiany. — Oczywiście to wszystko zostaje między nami. Nie wolno nam nigdy zapominać, że to jedyne możliwe dla nas wyjście, oczywiście gdybyśmy zostali zmuszeni sięgnąć po ostateczne środki obrony.

W tym momencie wszedł kierownik kancelarii i tak jak poprzednio stanął grzecznie przy drzwiach. Potem na skinienie Giseniusa zameldował:

— Niejaki Michel Meiners mieszkał przez kilka dni w zajeździe „Am Alten Postamt”. Ale dziś przed południem, przed jakąś godziną, wyprowadził się nie wiadomo dokąd.

Gisenius podniósł rękę jak trybun, który każe odejść swemu niewolnikowi. Twarz jego przypominała skamieniałą maskę. Szef kancelarii wycofał się pospiesznie.

— Co to ma znaczyć? — zapytał zaniepokojony Kerze.

— Jak zwykle istnieją różne możliwości — powiedział Gisenius, pozornie spokojny. — A więc po pierwsze, Meiners, z niewiadomych nam powodów, mógł opuścić nasze miasto. To rozwiązanie nie byłoby wcale takie złe, może nawet byłoby najlepsze. Ale byłby to zbyt szczęśliwy przypadek, i dlatego trudno mi w to uwierzyć. Nasuwają mi się więc hipotezy całkiem inne, a mianowicie Meiners opuścił hotel, ale pozostał w naszym mieście.

— I chce się nam wymknąć?

— Tego się właśnie obawiam, mój drogi. I dlatego, że tej możliwości nie wykluczam, twierdzę, że sprawa ta staje się coraz bardziej niebezpieczna. Obawiam się, że teraz musimy być gotowi na wszystko!

Jak mogło do tego dojść? — biadała pani Brandstadter. — Czy nie robiliśmy dla tego chłopca wszystkiego, co było w naszej mocy? Czy nie strzeżliśmy go jak oka w głowie? A on co robi, skoro tylko się od niego odwrócić? Kąpie się!

— Kąpał się? — Oczy Tantaua zabłyśły. — Skąd pani o tym wie?

— Od policji — odparła pani Brandstadter. — Lekarz twierdzi to samo. Powiada, że wskutek nagłego zetknięcia się z lodowatą wodą nastąpił udar serca. Ale skąd chłopcu przyszło do głowy wejść do wody?

Pytanie to stawiał sobie również Tantau. Tylko że w przeciwieństwie do policji i lekarza nie umiał na nie odpowiedzieć. W jednym zgadzał się z policją i lekarzem: że u chło-

pców w tym wieku wszystko jest możliwe i do pomyślenia. Ale Tantau wiedział również i to, że młodzież w tym wieku nie popełnia głupstw, które niosą ze sobą niewygody i ból. A więc taki chłopiec jak Konstantin mógł wejść do lodowatej wody tylko z jakiegoś określonego powodu, na przykład aby się pochwalić przed innymi, zaimponować im. Albo aby czegoś szukać. Albo ktoś go do tego namówił. Ewentualność ostatnia: został do wody popchnięty.

Tantau siedział z panią Brandstadter w kuchni, słuchał nie bez zainteresowania jej relacji i próbował odpowiedzieć sobie na nasuwające mu się pytania.

— Co za nieszczęście! I to wszystko musiało się przydarzyć akurat panu Kerze! Dlaczego właśnie jemu, człowiekowi tak dobremu i miłemu?

— Powiadają, że na froncie kule też trafiają tylko tych najlepszych. — Tantau podniósł się. — Czy mogę się tu rozejrzeć? Dyrektor Kerze pozwolił mi na to.

— Chętnie pokażę panu wszystko, co pan zechce.

— Na razie wystarczy, jeżeli mi pani pokaże pokój chłopca.

Pani Brandstadter skinęła na znak zgody głową. Na jej twarzy, przypominającej księżyc, malowała się radość, że oto może być pomocna człowiekowi tak uprzejmemu i miłemu.

Podreptała więc naprzód. Wdrapawszy się po schodach na górę i przeszedłszy cały korytarz, zatrzymała się przy ostatnich drzwiach. Otworzyła je i zawołała: — Oto pokój Konstantina.

— Może mnie pani spokojnie zostawić tu samego — rzekł Tantau. — Jak panią znam, nie potrafi pani usiedzieć ani przez chwilę beczynnie. Prawdopodobnie nigdy pani nie ma czasu na odpoczynek.

— Ma pan rację — powiedziała pani Brandstadter. — Jest pan dobrze zorientowany! — Skłoniwszy się pokornie, wyszła.

Tantau zatrzymał się na razie przy drzwiach. Ujrzał to, co ujrzyć się spodziewał: typowy pokój małego chłopca zagracony, niezbyt dobrze utrzymany. Jedno z miejsc rzucało się w oczy: w pokoju panował porządek. Nie jakiś

nadzwyczajny i pedantyczny, raczej nakazany i dozorowany. Buciki stały równo w kącie, części ubrania nie były porzucane po pokoju, książki szkolne ułożone były równiutko i porządnie na stole pod oknem.

— Za dużo tego porządku — mruknął do siebie Tantau. — Zapewne nie miał biedak wyboru.

Tantau podszedł z kolei do komody, otworzył szufladę z brudną bielizną i rzucił na nią okiem. Potem, potrząsając głową, raz jeszcze podszedł do szafy. Obejrzał dokładnie ubrania, zwłaszcza spodnie. Nie znalazł na nich żadnych plam ani łat, nie były nawet pocerowane. Ze smutkiem wysunął wniosek, że Konstantin nie należał do chłopców, którzy lubią ganiać poza domem. Ubrania te były jedynie noszone, nie miały na sobie żadnych śladów, które by wskazywały na wdrapywanie się na płoty, zjeżdżanie po poręczach, bijatyki czy chociażby gry i zabawy.

Tantau postanowił sobie zażądać wysokiej ceny za żałosne życie tego chłopaka. Wyglądał teraz na szalenie zmęczonego. Zgarbiony, z obwisłymi ramionami stanął przed stołem Konstantina, na który padało jaskrawe światło, uwydatniając wyraźnie każdy drobiazg.

Tantau rejestrował: Stos podręczników szkolnych. Tylko podręcznik do rachunków leżał otwarty na stole. Obok pióro, jakby odrzucone z ulgą. Dalej — nie zamknięty kałamarz. Drobiazgi te ostro kontrastowały z panującym w pokoju porządkiem.

Tantau sięgnął teraz po zeszyt rachunkowy, który leżał na stole otwarty, i skierował swą uwagę na ostatnie rozwiązane zadanie. Liczył długo i dokładnie. Potem zajął się trzema zadaniami poprzednimi. Zmęczyło go to. Nic w tym dziwnego, bo ileż to już lat temu ślęczał nad zadaniami szkolnymi!

Wreszcie odłożył zeszyt, stękając podniósł się z krzesła i rozejrzał się raz jeszcze po pokoju, jakby miał zamiar pożegnać się z nim. Potem szybko wyszedł.

Zszedł na dół i wstąpił znowu do kuchni. Pani Brandstadter czyściła właśnie srebro. Zapewne chciała zademonstrować Tantauowi, jak dostatnie jest gospodarstwo, któ-

rym kieruje, i z jaką zręcznością potrafi się obchodzić z przedmiotami wartościowymi.

— Konstantin był miłym chłopcem, prawda? — Tantau usiadł przy niej, udając, że lśniące srebro bardzo go interesuje.

— Był grzeczny, to trzeba mu przyznać.

— Zajmował się sportem? Był zahartowany?

— Niekoniecznie — odparła pani Brandstadter, lekko zdziwiona. — Wie pan, on był raczej typem uduchowionym.

Tantau pochylił się nad sztucem, który pani Brandstadter usiłowała wypolerować na wysoki połysk. W szczypcach do tortu odzwierciedlała się jego twarz. Widok ten niezbyt go ucieszył. Z pewnym zakłopotaniem Tantau zapytał:

— Umie pani dobrze rachować?

— Jak mam to rozumieć? Co miesiąc dostaję od pana dyrektora Kerze pewną sumę na gospodarstwo, z której się co do grosza wyliczam. Wszystko zawsze się zgadza.

— Jestem o tym przekonany — rzekł Tantau. — Ale miałem co innego na myśli. Chciałem wiedzieć, czy od czasu do czasu pomagała pani małemu Konstantinowi w rozwiązywaniu zadań rachunkowych?

— Ależ nie! Skądże znowu. Nigdy! I zresztą pan dyrektor Kerze nie zniósłby tego. Konstantin musiał zawsze sam sobie dawać radę z zadaniami szkolnymi, dopiero wtedy wolno mu było wyjść z pokoju. Ale gdybym mu nawet chciała pomóc, to w dzisiejszych szkołach rachunki są tak skomplikowane, że trudno się w tym wszystkim połapać.

— Niech mi pani powie — dopytywał się dalej Tantau — kto został w domu, kiedyśmy się oboje udali wczoraj po południu na uroczystość do fabryki?

— Oczywiście Konstantin, na całe swoje nieszczęście!

— Konstantin zupełnie sam? A może pozostał w domu jeszcze ktoś oprócz niego?

— Jasne, że Konstantin nie został sam w domu. Na to dyrektor Kerze nigdy by się nie zgodził. W domu była jeszcze służąca Anna. Miała zrobić porządki w holu i powycie-rać szklanki i kieliszki.

— Chętnie bym sobie porozmawiał z tą Anną — rzekł Tantau. I dodał z galanterią: — Oczywiście jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu.

— Skądże znowu! — obruszyła się pani Brandstadter. — Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu?

Wyszła z kuchni i zaczęła wołać na cały korytarz: „Anna, Anna!” Po chwili wróciła z powrotem, wiodąc za sobą Annę, młodą, silną, prostą dziewczynę. Anna, ciekawa i nieufna zarazem, stanęła w wyczekującej pozie przy drzwiach. W jej pocziwych, krowiastych oczach był niepokój.

— Panno Anno — zapytał Tantau z właściwą sobie natarczywą łagodnością — jak długo była pani wczoraj po południu poza domem?

— Kto śmie to twierdzić? — zawołała Anna kłótliwie. Spojrzała na panią Brandstadter tak, jakby ta była co najmniej jakimś okrutnym właścicielem niewolników. — Czyżby mnie tu szpiclowano? Robię swoje, czego więcej ode mnie chcą?

— A więc jak długo? — upierał się Tantau.

— Godzinę, nie więcej. Chyba to mi wolno?

— Życzę pani tego z całego serca — rzekł Tantau ciepło i serdecznie.

Pani Brandstadter jednak parsknęła jak lokomotywa.

— Co ja słyszę?! — zawołała. — To Anna zostawia robotę i znika, żeby się bisurmanić ze swoim chłopem. To Annie nie ujdzie na sucho!

— Już dobrze — powiedział Tantau pojednawczo. — Przecież nie o to teraz chodzi.

— Nie pozwolę się obrazić! — prychnęła rozeźlona Anna. — Robię tutaj, co do mnie należy! I proszę sobie łaskawie zapamiętać, że mój narzeczony nie jest dla pani żadnym chłopem!

— Czy mogę coś powiedzieć? — wtrącił się Tantau. — A więc, pani Anno, odwiedziła pani swego narzeczonego. Dla mnie to jest nieistotne, czy była pani do tej wizyty uprawniona. Ważne jest jedno: kiedy pani tam poszła?

— Zaraz po odjeździe pani Brandstadter do fabryki.

— Ładne rzeczy! — zawołała pani Brandstadter oburzona. — Ledwie się człowiek odwróci, a już takie typy urządzają sobie orgie.

— Żal pani, co?! — zawołała Anna kłótliwie.

— A więc, panno Anno — powiedział Tantau polubownym tonem mediatora — powiedziała pani, że zrobiła pani, co do pani należało; pani Brandstadter wyszła, a pani opuściła mieszkanie zaraz po niej. Zgadza się?

— Tak. — Anna spoglądała ze zdumieniem na dziwaczного starucha, który siedział przy stole kuchennym. — Ale skąd się pan właściwie o tym dowiedział, skoro pani Brandstadter tego panu nie powiedziała?

— Mam dobry słuch — rzekł Tantau, mrużąc figlarnie oczy. — Zanim pani Brandstadter wyszła wraz ze mną z domu, rozmawiała przecież z panią. I nie tylko z panią. Ostrzegła panią, panno Anno, aby pani nie opuszczała mieszkania i nie chodziła do tego swojego montera. Słuchając tego, pomyślałem sobie: to przecież coś w rodzaju pośredniego zaproszenia do tańca.

— Ależ z pana cwaniak — powiedziała Anna z uznaniem.

— Przecież to się samo na myśl nasuwało. — Powiedziawszy to Tantau uśmiechnął się do Anny porozumiewawczo. Anna zaś wybiegła z kuchni, zatrzaszukując za sobą drzwi.

— Co za osoba! — prychnęła, nie posiadając się z oburzenia, pani Brandstadter. — Ja jej pokażę, gdzie raki zimują! Ona mnie jeszcze nie zna!

— Mam wrażenie, że już zdążyła panią poznać. — Tantau mógł sobie pozwolić na tę uwagę, miał u pani Brandstadter niemały kredyt zaufania i zamierzał z niego skorzystać. — Jest pani silną indywidualnością. A więc wczoraj, jeżeli się nie mylę, tuż przed naszym odjazdem do fabryki, przeprowadziła pani trzy rozmowy: z Konstantinem, ze służącą Anną i z niejakim panem Saffranskim. Kto to taki?

— Wyjątkowo miły pan — zapewniła go pani Brandstadter nie bez serdeczności. — Człowiek z dobrymi manierami. Od kilku dni pracuje tu w domu, w gabinecie pana Kerzego. O ile mi wiadomo, otrzymał pewne dodatkowe zadanie.

— Tak więc — rzekł Tantau — pozostali w domu Saffranski i Konstantin.

Elfrieda Brandstadter potrząsnęła przecząco głową. — W dziesięć minut po nas pan Saffranski również opuścił mieszkanie.

— Skąd pani o tym wie?

— Powiedział mi to! Czy pan tego nie słyszał? Kończył własną pracę. I oczywiście chciał być koniecznie obecny na uroczystości w fabryce.

Błyskawicznie nastąpiło dalsze, znowu całkowicie niewinne pytanie Tantaua:

— Jest pani pewna, że pan Saffranski był na uroczystości?

— Ależ tak! Widziałam go w fabryce, nawet z nim rozmawiałam. Ten człowiek ma naprawdę dobre maniery!

— Już mi to pani mówiła — rzekł Tantau uprzejmie. — A więc widziała go pani i rozmawiała z nim. A teraz z innej beczki: Czy może mi pani pokazać, gdzie pan Saffranski pracował?

Pani Brandstadter była skłonna spełnić i to życzenie. Nie tylko zaprowadziła Tantaua do prywatnego gabinetu dyrektora Kerzego, ale pokazała mu jeszcze, gdzie Saffranski siedział i gdzie leżały akta, którymi się zajmował.

Akta te ciągnęły Tantaua jak magnes. Uśmiechając się nieco dziecinnie, jak gdyby zamierzał zająć się jakąś niewinną zabawą, usiadł na miejscu, na którym siadywał Saffranski. Potem sięgnął po akta i zaczął je przeglądać. Z miejsca stwierdził, że ma przed sobą akta spółki z ograniczoną odpowiedzialnością Hotele Europa. Dotyczyły one przeważnie hotelu „Unter Drei Kronen”, który był mu dobrze znany. Prawdopodobnie dyrektor Kerze chciał uzyskać wpływ, może nawet decydujący, na prowadzenie tego hotelu. A dyrektorem tego hotelu był Martin Hirsch, przynajmniej na razie.

— No tak — powiedział Tantau zamyślony i zamknął akta. — Przysłowia ludowe bywają nieraz zupełną bzdurą. Bardzo rzadko ludzie wpadają w te dołki, które wykopali dla innych.

— Nie rozumiem tego — powiedziała pani Brandstadter, szczerze zdumiona.

— Nic dziwnego — rzekł Tantau z niewinną miną. — Ale, ale, teraz dopiero uświadomiłem sobie, że zapomniałem zapytać Annę, czy umie rachować.



- Ona? Rachować?! — zawołała pani Brandstadter rozeźlona.  
— Przecież ona ledwo potrafi się podpisać.  
— No pięknie — powiedział Tantau zadowolony.

**M**artin Hirsch usiadł na biurku przyjaciela i zaczął wymachiwać nogami. — A co by było, Karl, gdybyśmy pojechali na mały spacer? — Jadę do miasta — powiedział Schulz do swego pomocnika. — Ciągle jeszcze te pertraktacje w związku z malowaniem naszej stacji. A wy tymczasem wyczyście okna.

Powiedziawszy to Schulz wsiadł do wozu przyjaciela. Ruszyli. Przeważnie trzymali się z dala od głównej ulicy i od centrum miasta.

— Dokąd jedziesz? — zapytał Schulz. Nagle ogarnęła go nieufność.

Minęli już północną część miasta i zostawili za sobą kolonię ogródków działkowych „Vaterland und Friede”. Wóz jechał teraz boczną ulicą w kierunku domu, w którym mieszkał Schulz. Mimo to Hirsch próbował zachować beztroski i niewinny wyraz twarzy. Nie patrzył jednak na Schulza — ostatecznie siedział przy kierownicy szybkiego wozu. W pewnej chwili powiedział: — Mam tu książkę. Tytuł: *Ilona*. Sądzę, że siostra twoja chętnie by ją przeczytała

— Takeśmy się nie umawiali! — zawołał Schulz mocno zaniepokojony. — Lepiej nie róbmy tego!

— Ależ, drogi Karl — rzekł Hirsch bardzo serdecznie — dlaczego nagle stajesz okoniem? Sądzę, że jesteśmy jednego zdania, prawda? Twoja siostra powinna się do mnie powoli przyzwyczajać, i to w twojej obecności. Przecież to jest fair! A może powinienem był zbliżyć się do twojej siostry bez twego pozwolenia?

— To byłoby na razie praktycznie niemożliwe — rzekł Schulz z goryczą. — Zamknąłem ją! Nie miałem innego wyjścia.

Martin Hirsch nacisnął mocno hamulec i spojrzął na Schulza z oburzeniem.

— Ależ człowieku! Przecież twoja siostra jest dorosła. Natychmiast zrezygnujesz z tego drakońskiego reżimu i przeprosisz ją. Nalegam na to.

— Zawracanie głowy! — powiedział Schulz szorstko. — Mam swoje powody! A teraz dam ci dobrą radę: zjedź na prawo i zatrzymaj to swoje luksusowe pudełeczko. Ja wysiadam.

— Pójdę z tobą, Schulz, nie dam się spławić.

— No więc dobrze, wysiadziemy obaj i przejdziemy resztę drogi piechotą. Powiem ci wtedy coś takiego, że cię zatka. Żebyś mi tylko później nie mówił, że powinienem był mieć wzgląd na twoje delikatne uczucia.

Hirsch skierował posłusznie swój wóz na prawą stronę ulicy. Byli w pobliżu kina, które nazywało się górnolotnie „Filmpalast”. Wysiedli i poszli dalej pieszo. Schulz niechętnie szedł w kierunku swego domu.

— No gadaj że nareszcie! — zawołał Hirsch niecierpliwie.

Karl Schulz popatrzył na niego ponuro, ale zdecydowanie. Boczna ulica, po której kroczyli, była prawie pusta. Po brukowanej jezdni posuwała się z hałasem ciężarówka, z przeciwnej strony jechały dwa wozy osobowe. W odległości jakichś stu metrów przed Schulzem i Hirschem szło troje ludzi: jakaś stara kobieta z dzieckiem i jakiś młody człowiek.

— A więc — rozpoczął Schulz gniewnie — jak ci wiadomo, siostra moja Ewa spotyka się z pewnym młodzieńcem.

— Wiem o tym — powiedział Hirsch. — Jest młoda, ładna, musi się od czasu do czasu trochę rozerwać.

— Trochę! — zawołał Schulz i roześmiał się brutalnie. — Będzie miała dziecko!

Hirsch przystanął.

— Nie — wykrztusił. — Nie, to nie może być prawdą!

Rozejrzał się ostrożnie na wszystkie strony. Miał nadzieję, że nikt słów Schulza nie słyszał. Ta trójka, która szła przed nimi, owa stara kobieta z dzieckiem i ów młody człowiek, oddalona była teraz od nich i jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt metrów. Ten młody człowiek wydawał mu się nawet znajomy.

— A ojciec? — zapytał wreszcie.

Schulz wzruszył pogardliwie ramionami. Przepętniała go wściekłość i wstyd. Nie miał odwagi spojrzeć przyjacielowi w twarz. Wzrok jego błędził ponad fasadami domów, tych jednakowych kłoców z betonu z otworami okien. Potem Schulz pochylił głowę i ujrzał w oddali swój dom. On również widział tą starą kobietę z dzieckiem i tego młodego człowieka. I jemu również wydawało się przez chwilę, że go zna. Ale najważniejsze było teraz dla niego znalezienie odpowiedzi na pytanie przyjaciela.

— Ojciec? — powiedział. — Po prostu ktoś pierwszy lepszy! Wszystko razem: rezultat przypadku. Ale już nie da się tego odwrócić! Ewa nie chce podać jego nazwiska.

Hirsch był wstrząśnięty.

— Biedna dziewczyna! — zawołał. — Z pewnością cierpi z tego powodu.

— Niestety nie odnoszę takiego wrażenia — mruknął Schulz gniewnie.

Hirsch położył rękę na ramieniu przyjaciela i powiedział:

— Nie wolno nam teraz popełnić żadnego błędu. No bo co się przez to zmieniło? Czy Ewa stała się gorsza, mniej wartościowa, niegodna pożądania? Czy to jej wina, że zostanie matką? Ale co ci jest, Karl? Przecież ty mnie wcale nie słuchasz!

— Popatrz tylko na tego młodzieńca — rzekł Schulz ponuro.

Hirsch spojrział we wskazanym kierunku. Potem powiedział, jakby mimochodem:

— Już dawno go zauważyłem. Jeżeli się nie mylę, jest to młody Gisenius.

Schulz kiwnął znacząco głową.

— Czego ten młodzieniec szuka właśnie pod moim domem?

— Może spacerować tu zupełnie przypadkowo — powiedział Martin Hirsch niezbyt pewnym tonem.

— Dlatego musi wpatrywać się akurat w moje okna? — Karl Schulz sapnął głośno ze zdenerwowania. — To mi się wcale nie podoba. Coś tu śmierdzi, czuję to przez skórę.

Karl Schulz wrywał naprzód, jakby go ktoś gonił. Hirsch położył mu rękę na ramieniu, starając się go uspokoić — niestety bez skutku. Zauważyli, że Klaus Gisenius wszedł do bramy. Kiedy weszli za nim, Klaus Gisenius zniknął właśnie na zakręcie schodów. Ruszyli za nim.

Po chwili zobaczyli go już przed drzwiami mieszkania Schulza. Dzwonił gwałtownie, potem zaczął walić pięściami w drzwi. Wreszcie odezwał się głos Ewy. Ewa odpowiedziała coś niewyraźnie, ale nietrudno było się domyślić, co.

— A to świństwo! — zawołał Klaus Gisenius. — Mam ochotę wywalić te drzwi.

— To niepotrzebne! — ryknął Schulz. — Ja mam klucz. I chętnie nim panu służę.

**N**ic nie może splamić mego dobrego imienia — powiedział Gisenius przekonywająco. — Radzę stanowczo wziąć to pod uwagę.

— Nikt w to nie wątpi — rzekł Lehmgruber. — Uchodzi pan za człowieka o nieposzlakowanej opinii i na pewno ja byłbym ostatni, który śmiałyby to zakwestionować. Siedzieli naprzeciw siebie w kancelarii Giseniusa. Z jednej strony, w fotelu dla petentów, właściciel pliku ważnych akt, z drugiej, za biurkiem, Gisenius, mający dla tych akt żywe zainteresowanie, dostatecznie jednak opanowany, aby tego zainteresowania nie okazać.

— Warto by chyba jeszcze wyjaśnić sobie parę drobiazgów — rzekł Lehmgruber. — Poza tym chyba nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy doszli do obopólnego porozumienia.

— Czyżbyśmy się jeszcze nie porozumieli? — Gisenius uśmiechnął się, że kontroluje swą pamięć. — Czy nie wymienił pan sumy pięciuset marek? Jestem skłonny ją wypłacić.

Lehmgruber obmacał niemal z czułością leżącą na jego kolanach teczkę z aktami. Uśmiechając się błogo, powiedział rozmarzony:

— Ceny z dnia wczorajszego niekoniecznie muszą obowiązywać w dniu dzisiejszym.

— Czy pan się dobrze zastanowił nad tym — zapytał Gi-senius — co pan przed chwilą powiedział?

— Oczywiście — odparł Lehmgruber z naciskiem.

— I wie pan również — zapytał Gisenius z ponurym akcentem w głosie — że to, co pan robi, może być dla pana niebezpieczne? Jedno moje skinienie, a policja natychmiast pana przymknie.

— I z jakim skutkiem? — zapytał Lehmgruber. — Znalezione by u mnie pańskie akta, oczywiście gdybym do tego chciał dopuścić.

— To jest szantaż — rzekł Gisenius tonem rzeczowym. — Mimo to oferuję panu tysiąc marek.

Lehmgruber uśmiechnął się zachwycony. Wyglądał jak znawca sztuki, który wszedł właśnie w posiadanie jednego z pierwszych obrazów Picassa.

— Nieszczęściem demokracji jest to — powiedział z ledwo ukrywanym zadowoleniem — że przy sprzyjających okolicznościach dojść może również do głosu opozycja. Na przykład zdarza się, że rząd reprezentuje zupełnie inny kierunek polityczny niż ten czy ów zarząd miejski. Istnieje więc to, co się określa mianem konkurencji. A konkurencja zmierza do wyeliminowania drugiego przedsiębiorstwa. I to wszelkimi sposobami.

— Tysiąc marek — powtórzył Gisenius z uporem. — To moje ostatnie słowo w tej sprawie. Tysiąc marek i ani feni-ga więcej.

— A co by było, gdybym powiedział dwa?

— Wyrzuciłbym pana za drzwi!

— Mimo to powtarzam: dwa tysiące! I cóż?

— Niech się pan wynosi — powiedział Gisenius zdecydowanie.

— To nie może być pańskie ostatnie słowo — upierał się Lehmgruber. — A jeżeli będzie pan twierdził, że moje żądanie przekracza pańskie możliwości, to potrząsnę tylko ze zdumieniem głową. Znam pańskie środki!

— Nie są one nieograniczone — powiedział Gisenius ostrzegawczo. — Radzę nie mieć zbyt wielkich złudzeń.

Nie jestem osłem, który sra złotem. Niech się pan nad tym przy okazji zastanowi. I niech mnie pan w porę zawiadomi o swojej decyzji.

— Decyzję pozostawiam panu — rzekł Lehmgruber uprzejmie.  
— Poczekam, powiedzmy, do jutra! W żadnym razie dłużej.

Proszę, niech pan wchodzi! — rzekł Karl Schulz, udając wesołość. — Tylko bez fałszywego wstydu, mój młodzieńcze!

— Właśnie chciałem zająć do panny Ewy Schulz — rzekł Klaus Gisenius bez cienia zmieszania. — Czyżby to była zbrodnia?

— Skądże znowu! — powiedział pojednawczo Martin Hirsch.

Stali w korytarzu i przyglądali się sobie podejrzliwie. Martin Hirsch widział w Klausie natarczywego wałkonia, w oczach Klause Hirsch zaś był całkowicie zbędną, marginesową figurą. Jeżeli chodzi o Schulza, to ten postanowił panować zupełnie suwerennie nad sytuacją.

Otworzył drzwi. Stojąca za nimi Ewa popatrzyła na niego zdumiona i powiedziała: — Nie oczekiwałam cię o tej porze, Karl.

— Mnie nie, ale może tego tutaj! — Schulz popchnął lekko Klause Giseniusa w kierunku Ewy.

Ewa i Klaus przywitali się pod czujnym okiem Hirscha i Schulza. Zachowywali się tak, jak gdyby po długim czasie zobaczyli się dopiero po raz pierwszy. Podali sobie ręce i spojrzeli w oczy. Klaus zapytał półgłosem:

— Wiedzie ci się dobrze, prawda?

— Teraz dobrze — rzekła Ewa tak samo powściągliwie.

— W takim razie mogę odejść — powiedział Klaus.

— Pan zostanie — rzekł Schulz energicznie.

Powiedziawszy to, wepchnął Klause do mieszkania. Martin Hirsch, zaszępiiony, ruszył za nimi. Popatrzył na Ewę, ale ona widziała tylko Klause. Bardzo to Hirscha bolało.

Karl Schulz skierował przybyłych do kuchni. Zdawał się zmierzać wyraźnie tylko do jednego celu.

— Siadajcie — powiedział zdecydowanie.

— Karl — rzekła Ewa błagalnie — nie rób tego.

— To będzie na pewno błąd — podjął skwapliwie Martin Hirsch. — Ewa ma rację, nie powinienś tego robić.

— Ja w tym domu jestem panem! — zawołał Schulz. — A może ktoś śmie w to wątpić?

— Ja — odezwał się Klaus Gisenius. Doszedł do wniosku, że musi się teraz zdecydowanie bronić. I dodał agresywnie: — Prawa tak zwanego pana domu nie są wcale nieograniczone.

— Panie, jak pan ze mną mówi? — spytał Schulz.

— Mówi z tobą jak prawnik — powiedział na to Hirsch z pewną melancholią w głosie. — Jest nieodrodnym synem swego ojca.

— Aha — rzekł Schulz i podszedł do Klause nieco bliżej.

— Czyim jestem synem i czy jesteście kumplami mego ojca, to dla mnie nie ma żadnego znaczenia. Interesuje mnie w tej chwili tylko jedno: Kto dał panu prawo do tego, żeby zamykał pan w domu członków rodziny? Przecież to wprost średniowieczne barbarzyństwo!

— Słyszałeś, Martin?! — zawołał Schulz oburzony. — Na co ten żółtodziób sobie pozwala!

— Słyszałem — odparł Martin Hirsch. — I uważam, że młody Gisenius ma trochę racji. Można rozmaicie patrzeć na tę sprawę, ale jedno jest pewne: nie wolno ci było ni z tego, ni z owego zamykać swojej siostry w domu.

— Co takiego?! — Schulz był oburzony, że jego najlepszy przyjaciel pakuje mu nóż w plecy. — Ja strzegę, jak mogę, mojej małej siostrzyczki, a ty, akurat ty, robisz mi z tego powodu wyrzuty!

Ewa znalazła najprostsze wyjście z tej sytuacji. Skorzystała ze sprzeczki przyjaciół i wyciągnęła do Klause rękę. Uśmiechnawszy się, powiedziała nieoczekiwanie zdecydowanym tonem: — Do widzenia! — Potem spojrzała na Hirscha. W oczach jej widniała prośba, którą Hirsch od razu zrozumiał. Nie zastanawiając się długo, on też powiedział: — Do widzenia, Klaus!

— Hola, hola, a to co?! — zawołał Schulz, który z miejsca wyczuł, że próbują go tu wspólnymi siłami wykołować. Zawołał ponuro: — To wy ze mną tak?!

Klaus Gisenius skorzystał z okazji i się wycofał. Pomachawszy ręką na pożegnanie, zamknął za sobą drzwi.

Pan się pewnie strasznie nudzi, co? — zapytał wesoło Frammler. — Szuka pan gwałtownie kogoś z kim mógłby pan sobie uciąć godzinną pogawędkę, co?

— Naprawdę uważa pan, że byłby pan do takiej pogawędki odpowiednim partnerem? — zapytał Tantau z powściągliwym uśmiechem.

— Każdy musi kiedyś do mnie przyjść — rzekł Frammler żartobliwie. — Przynajmniej w charakterze nieboszczyka.

Tantau odwiedził Frammlera w jego pracowni, w tak zwanym gabinecie zabiegowym. Choć Frammler był bardzo zajęty, przyjął Tantaua natychmiast. Między innymi dlatego, że zadziałała tu jego duma zawodowa. Frammler był pewien, że kiedy wykonuje swoją pracę, sprawia wyjątkowo imponujące wrażenie.

— Proszę, niech się pan spokojnie tu rozejrzy — powie dział do Tantaua z dumą świadomego swej wartości fachowca. — Jest w tym wszystkim nowoczesna rzeczowość. Wszystko praktyczne, celowe, pod względem higienicznym bez zarzutu, a równocześnie nie bez pewnego namaszczenia.

To „namaszczenie" zdawało się być produktem oświetlenia. Choć na dworze był jasny dzień, tutaj paliło się światło elektryczne, przy czym wszystkie żarówki miały kształt świec. Szafy z chemikaliami, materiałami i przyborami do preparowania nieboszczyków połyskiwały matowo. Na biurku stojącym pod ścianą panował niezwykły porządek. Pośrodku gabinetu, pod wyłączonym w tej chwili reflektorem, stał stół zabiegowy, przykryty śnieżnobiałym prześcieradłem, pod nim zaś rysowały się kontury dziecięcego ciała.



— Mam wrażenie, że pan potrafi niejedno wytrzymać, panie Tantau. Bez zmruczenia powiek wytrzymuje pan tu ten smród. A może pański nos niezbyt dobrze funkcjonuje?

— Niejedną godzinę mego życia spędziłem w podobnych pomieszczeniach — rzekł Tantau. — Ale muszę się przyznać, że jeszcze nigdy nie zetknąłem się z czymś tak wypielęgowanym. Człowiek prawie żałuje, że te pańskie trupy nie mogą tego ocenić.

Frammler roześmiał się, ale nie za głośno. W myśl swoich niezłomnych zasad zachowywał się w swoim zakładzie zawsze dostojnie, jako że odnosił się z pietyzmem do miejsca swojej pracy. Patrząc badawczo na Tantaua, zapytał:

— Pan chce mnie wprawić w miły nastrój, co? W jakim celu? Sądzi pan, że wtedy łatwiej będzie panu wydobyć coś ze mnie?

— Skądże znowu! — zaproponował Tantau. — Rozdział Michel Meiners jest dla mnie zamknięty. Odnalazłem go.

Frammler wyprostował się, znieruchomiał. Potem powiedział:

— Chciał pan chyba zakomunikować mi, że znalazł pan jego zwłoki, a raczej jego grób.

Tantau potrząsnął, jakby zasmucony, głową.

— Michel Meiners żyje i przebywa tymczasowo w tym mieście.

— Bzdury! — zawołał szorstko Frammler. — Myli go pan z jakimś Siegertem. A tegośmy już wzięli w obroty. Jest Bogu ducha winien.

Tantau uśmiechnął się błogo. Wiedział już teraz, kto tak urządził Siegerta. Na razie tylko to sobie zarejestrował, gdyż miał w tej chwili co innego na oku. Tak więc powiedział:

— Bardzo to znamienne i godne uwagi, jak niezłomnie jest pan przeświadczony o tym, że Michel Meiners nie żyje.

— Mam swoje podstawy do tego — rzekł Frammler wymijająco — ale nie zamierzam pana w nie wtajemniczać.

— A może zachodzi tu pomyłka — rzekł Tantau ostrożnie.

— Znam się na moim interesie — zapewnił go Frammler. — Wyznaję się na trupach jak nikt.

— Również i na zwłokach małego Konstantina Kerzego? Frammler rzucił przelotne spojrzenie na drobną postać, leżącą na stole pod prześcieradłem. — Skąd panu to przyszło do głowy? — zapytał z niechęcią w głosie. — Co ten mały ma wspólnego z moimi kwalifikacjami zawodowymi?

— Czy ekspertyza policji i orzeczenie lekarza na temat małego Konstantina się potwierdziły?

Frammler popatrzył na Tantaua zdumiony, nic z tego nie rozumiejąc. Absolutnie nie miał pojęcia, do czego jego gość zmierza. Lekko poirytowany burknął:

— Nie jestem oglądaczem zwłok, lecz grabarzem. Ekspertyza mówi, że to był wypadek, śmierć wskutek udaru serca.

— I uważa pan tę ekspertyzę za trafną?

— Człowieku — rzekł Frammler potrząsając głową — czego pan właściwie ode mnie oczekuje? Widziałem Meinersa, był martwy. Preparowałem Konstantina, i on też był nieżywy!

— Przypuśćmy — powiedział Tantau ostrożnie — że Konstantin zostałby w tym nieszczęśliwym wypadku zmasakrowany. Przecież zdarza się, że na przykład przy wypadkach drogowych głowa zostaje całkowicie zmiażdżona.

— Zdarza się — powiedział Frammler fachowo.

— Gdyby jednak ktoś pokazał panu zmasakrowane zwłoki chłopca, dał je panu i powiedział: to jest Konstantin Kerze, co by pan zrobił? Musiałby pan sprawdzić, czy to naprawdę Konstantin Kerze, czy też przypadkiem nie kto inny. Zrobił pan to?

Frammler najpierw oniemiał. Spoglądał na Tantaua z bezgranicznym zdumieniem, które dość szybko przerodziło się w niepokój. Następnie otworzył usta, potem zamknął je i zaczął oddychać jak astmatyk. Wreszcie wyjąkał:

— Skąd pan wie, jak to wtedy było? Kto panu to powiedział? Co za bydlak naprowadził pana na myśl, że widziałem nie trupa Michela Meinersa, lecz jakieś zupełnie inne zwłoki? Co to była za świnia?

— Proszę nie zapominać o tym swoim pietyzmie — wtrącił Tantau zadowolony.

Potem zaczął rozglądać się po gabinecie. Nie zwracając uwagi na zbitego z tropu Frammlera, podszedł do drzwi i rozsunął czarną kotarę. Ujrawszy kontakt, nacisnął go. Gabinet załało ostre światło reflektora i oświetliło wyraźnie leżące na stole pod prześcieradłem drobne ciało ludzkie. Tantau ściągnął prześcieradło gwałtownym ruchem. Oczom jego ukazał się Konstantin Kerze, mały, szczupły i nagi.

Tantau zaczął oglądać zwłoki. Jego pomarszczona, zmięta twarz jakby na chwilę zastygła w bezruchu.

— Co panu jest? — zapytał Frammler prawie z troską w głosie. — Czyżby zrobiło się panu niedobrze?

Tantau potrząsnął przecząco głową. Jego zastygła w bezruchu twarz znowu się ożywiła.

— Panie Frammler — rzekł z pewnym wysiłkiem — czy starał się pan kiedy, patrząc na nieboszczyka, wyobrazić sobie, co właściwie doprowadziło w tym czy innym przypadku do śmierci?

— Nie — odparł Frammler z uczuciem lekkiego obrzydzenia. — Daleko bym w ten sposób nie zaszedł!

Nie odrywając wzroku od Konstantina Tantau pytał dalej:

— Czy myślał pan przynajmniej kiedy o tym, dlaczego ludzie umierają?

— Ależ, człowieku! — zawołał Frammler. Był już teraz pewien, że trafił na wielkiego dziwaka. — Za kogo pan mnie właściwie ma? Przecież każdy kiedyś umiera. Śmierć to najbardziej naturalna rzecz w świecie.

— Nie zawsze... Tylko niewielu umiera na uwiad starczy. Jedni na przykład umierają dlatego, że żyli zbyt burzliwie, inni powoli gniją, a jeszcze inni dostają się pod koła postępu albo w tryby cywilizacji. Niemało jest takich, którzy umierają na skutek działania niepowołanych.

Frammler wrzucił obojętnie ramionami.

— Ma pan na myśli morderstwo?

Tantau zaprzeczył powolnym ruchem głowy.

— Morderstwo — powiedział — jest często niczym innym jak wynikiem choroby i jest zjawiskiem tak starym jak świat. Ale ja mam na myśli coś zupełnie innego, i jest to chyba najwstrętniejsza zbrodnia, jaką tylko można

popęłnić. Takie wypadki zdarzają się o wiele częściej, niż potrafimy sobie to wyobrazić nawet w najbardziej fantastycznych snach. Nazywam to morderstwem pośrednim.

— Morderstwo pośrednie? — Frammler był szczerze zdziwiony. — Cóż to takiego?

— Żona, która powoli i systematycznie zadreńcza męża na śmierć. Kupiec, który drugiego kupca rujnuje za pomocą najnikczemniejszych metod. Mąż, który przez swą brutalność i brak serca wysysa z żony krew. Ojciec, który doprowadza swe dzieci do rozpacz. Szef, który zadreńcza swój personel. Człowiek, który wyzyskuje zaufanie chłopca, by go pchnąć w przepaść. Oto, panie Frammler, przestępstwa, których nie może ściagać żadne prawo na świecie, a które jednak doprowadzić mogą do morderstwa. Są to zbrodnie pośrednie. Jeżeli kiedykolwiek czegoś prawdziwie nienawidziłem, to właśnie tych bestialstw.

— Dziwne poglądy — powiedział Frammler zdumiony. — Dokąd byśmy zaszli, gdybyśmy musieli poważnie liczyć się z czymś takim? Człowieku, życie jest twarde i wymaga natur mocnych. Słabi schodzą na psy. To jest prawo selekcji.

— Nie, to jest prawo rasistów — powiedział Tantau spokojnie. — Nie mam ochoty żyć w świecie, w którym szanse na przeżycie mają tylko natury mocne, pozbawione mózgu i serca. I dlatego, panie Frammler, kiedy stoję nad trupem, zawsze narzuca mi się pytanie: Kto tu jest winien, lub choćby współwinny?

— Mój Boże! — zawołał Frammler, który niewiele z tego zrozumiał. — To niech pan w tym wypadku oskarża wodę w stawie, za to, że była taka zimna i spowodowała udar serca.

Tantau nie słuchał już Frammlera. Pochyliwszy się nad Konstantinem Kerzem, przyglądał się badawczo szyi chłopca, jego ramionom i biodrom. Potem wskazującym palcem prawej ręki dotknął skóry małego.

— Mam nadzieję — powiedział Frammler tonem obrot nego kupca — że nie zamierza pan zdyskwalifikować mojej pracy. Z dziećmi sprawa nie jest taka prosta. Ludzi starszych preparuje się przeważnie na figury dostojne albo na aniołów. Z dziećmi nie da się tego zrobić tak łatwo.

— Ma na szyi znaki od duszenia — rzekł Tantau.

— Jeszcze jakie! — przyznał Frammler uczciwie. — Nie dały się tak łatwo usunąć. Musiałem uciec się aż do parafiny. Ale dzieci już takie są! Nie uważają na siebie, mają pełno zadrapań i zdraśnięć, nie mówiąc już o brudzie za paznokciami i wągrach na ciele. Tak, dzieci nie mają zrozumienia dla kultury ciała.

— W okolicy ramion zdarta jest skóra w paru miejscach.

— Nie tylko w okolicy ramion. Taki staw to istny śmietnik. Pełno tam kawałków szkła, twardych przedmiotów i nawet drutu kolczastego.

— A przede wszystkim mułu! — powiedział Tantau. — Delikatnego i niezwykle podatnego. A te zdraśnięcia, ta zdarta skóra, są stosunkowo świeże. Zna pan teorię Kehl-manna? Doktor medycyny sądowej Kehlmann był pierwszym, który stwierdził, że rany bez względu na to, jakiego są rodzaju, od chwili śmierci absolutnie się nie zmieniają. A te tutaj, panie specu od trupów, są świeże. Musiały zostać zadane w chwili śmierci lub bezpośrednio przed nią.

— No i? — Wszystko to nie zrobiło na Frammlerze żadnego wrażenia. — O czym to niby świadczy? Co to mówi?

— Może niezbyt wiele — rzekł Tantau cicho. — Tylko o tym, co mi uparczywie usiłuje wmówić mój zawodowy instynkt: To nie był nieszczęśliwy wypadek. — I jeszcze ciszej, głosem ledwie dosłyszalnym, dodał: — To było morderstwo!

Pan znowu w roli anioła opiekuńczego? — Śmiejąc kierownik komisariatu Brahmvogel wyciągnął rękę. Tantau potrząsnęła nią serdecznie i powiedział:

— Przyszedłem, bo może znowu mi się uda wyrwać ze szponów policji jakąś biedną, niewinną ofiarę.

— Chyba będzie pan musiał trochę poczekać. Pańska biedna, niewinna ofiara popija sobie właśnie, pewnie dla kurazu. — Brahmvogel mrugnął do Tantaua porozumie-

wawczo i dodał: — Panna Karen Kerze siedzi w knajpie na rogu.

— Rozumiem. — Tantau wiedział, że Karen została na tę godzinę wezwana do Komisariatu Śródmieście, by złożyć swój podpis pod protokołem z wypadku samochodowego. Chciał jej być pomocny i dlatego tu przybył. Kom binował sobie tak: Karen przyjechała tu taksówką, poczuła oczywiście zaraz pragnienie i poszła do najbliższej knajpy. Tam zobaczył ją jakiś policjant, który zapewne poszedł do knajpy po piwo albo po kanapki, bo policjanci z tego komisariatu chodzili właśnie do owej knajpy na rogu.

Tantau skierował się do drzwi. Od progu uśmiechnął się do Brahnwogla i powiedział:

— Mam nadzieję, że wrócę za kilka minut z panną Kerze. Wtedy skończymy z tą sprawą.

— Zrobione — rzekł Brahnwogel. — Wie pan, gdyby każdy druzgotał tylko swój samochód na kawałki, nie byłoby w tym jeszcze nic złego. Ale kto zadowala się jedynie łamaniem swoich własnych gnatów?

Tantau uśmiechnął się i opuścił komisariat. Poszedł na róg, gdzie znajdowała się rzeczona knajpa. Kiedy po pewnym wahaniu do niej wszedł, stwierdził, że wyglądała jak tysiące innych: półka z butelkami, lada z kranami od piwa, małe brudnawe stołki wzdłuż ściany. Na jednym z nich siedziała Karen Kerze.

Karen zobaczyła wchodzącego Tantaua, gdyż knajpa była o tej porze prawie pusta. Po lokalu snuł się tylko jeden znudzony kelner, w kącie zaś dwaj goście ubijali jakiś interes. Karen piła ordynarny winiak, i to z głębokiego kielicha.

— Znowu się pan bawi w guwernantkę?! — zawołała do Tantaua.

— Policja uważa, że jestem czymś w rodzaju anioła opiekuńczego — rzekł mały człowieczek, zbliżając się do Karen. — Ale zgadzam się z panią, że ludzie na ogół trochę inaczej wyobrażają sobie aniołów.

— Niech pan mimo to siada — rzekła Karen, czyniąc ręką zapraszający, wyraźnie przesadny gest.

Tantau skwapliwie usiadł naprzeciwko niej.

— Za kogo musi mnie pan uważać? — rzekła Karen z goryczą. Jej filigranowa lalkowata twarz poszarzała na chwilą i wyglądała teraz na bardzo zmęczoną. — Zawsze spotykamy się tylko wtedy, kiedy mam chandrę.

— Są ludzie, którzy nigdy nie doznają tego uczucia. Ubolewam nad nimi.

— To znaczy, że nade mną pan nie ubolewa?

— A dlaczego niby miałbym ubolewać? — Oczy Tantau miały dobrotliwy wyraz, jak oczy starego psa. Mały człowieczek wziął do ręki stojący przed Karen kielich, powąchał go i wylał całą jego zawartość do ogromnej popielniczki, stojącej na stole. — Każdy, kto żyje, codziennie zbliża się o krok do śmierci. Ale czy koniecznie trzeba przyspieszać ten proces na siłę?

Karen popatrzyła na Tantau roziskrzonymi oczyma i zawołała:

— Czy dręczenie mnie bawi pana? Jest pan nieznośny!

— Wiem, niepokoję panią. — Tantau wziął w swoją dłoń jej rękę i Karen jakoś wcale jej nie cofnęła.

— To prawda — powiedziała Karen — że na razie uchronił mnie pan od mojego narzeczonego. Załatwił pan również na medal sprawę tego paskudnego wypadku samochodowego. Ale czegoż jeszcze może mi pan oszczędzić?

— Niczego — powiedział Tantau. — Ten, kto chce bliźniemu czegoś oszczędzić, czyni go zarazem uboższym o jedno, być może istotne, doświadczenie życiowe. Zapewne, jedni żyją od święta do święta, inni od grobu do grobu, a jeszcze inni od łóżka do łóżka. Jedno i drugie jest nonsensem. Życie to pełnia. Wszystko się w nim mieści.

— A więc i śmierć Konstantina?

Tantau spojrział na Karen jak na tajemniczy hieroglif, który należy rozszyfrować. Uważał, że nie ma na świecie człowieka, który byłby całkowicie podobny do drugiego człowieka. Dusza każdego to całkiem odrębny świat. Nikogo na tej ziemi nie można matematycznie obliczyć. Nie ma mózgow, do których nie można by znaleźć dostępu.

— Co pani wiadomo o Konstantinie?

— Był moim bratem — odparła Karen powściągliwie. — Mamy tego samego ojca. Był to bardzo miły chłopaczek. Ale to już wszystko, co o nim wiem.

Tantau pochylił głowę, broda jego dotykała teraz piersi.

— Pani nie potrafi nikogo kochać. Ani ojca, ani brata, i cały w tym sęk.

— Trafiał pan w sedno! — przyznała Karen. — Nigdy nie zaznałam tego, co się nazywa rodziną i co może istnieć jedynie w powieściach albo w kazaniach niedzielnych. Matka moja musiała, niestety, dość wcześnie zniknąć z domu, ojciec jej nie znosił. A mój brat Konstantin był dla mnie rodzajem zwierzęcia domowego. Jeżeli chodzi o ojca, to jest on, że tak powiem, jedną wielką fabryką. Kiedy go pytałam, dlaczego w nocy nie mogą zasnąć, gadał o ceglach. Cokolwiek by mnie męczyło, jedyną jego troską była sprawa tworzyw sztucznych. Kiedy mu opowiadałam, że czuję lęk przed mężczyznami, jego zmartwieniem były ceny na rynku budowlanym. Ach, jak ja go nienawidziłam!

— Ale to jeszcze nie wszystko. — Tantau zamknął oczy, jakby go coś nagle zabolalo. — Potem zjawił się Bartosch, do którego czuła pani odrazę. Potem przyszedł Hirsch, który pani nie chciał. Wreszcie teraz śmierć tego dziecka, która zmusiła panią do postawienia sobie pytania: Czy nie ma w tym i mojej winy?

— Nie mogę zaprzeczyć, że jestem winna — przyznała Karen bezradnie. — Bo myślę sobie: jak by to było, gdybym się więcej o Konstantina troszczyła? Gdybym się nie włóczyła i nie uganiała jak wariatka samochodem po okolicy, tylko częściej bywała w domu? Gdyby była we mnie choć isierka miłości siostrzanej?

— To dobrze, że takie pytania zaprzatają pani umysł. I dobrze, że robi sobie pani wyrzuty, to nigdy nie zaszkodzi, ale... — Tantau całkiem zamknął teraz oczy — ... to jeszcze nie wszystko, co panią niepokoi, prawda? Od razu tak sobie pomyślałem i mam teraz potwierdzenie: nie potrafi pani uwierzyć, że śmierć małego Konstantina była jedynie nieszczęśliwym wypadkiem. Prawda?

— Tak — odpowiedziała Karen zdławionym głosem. — Skąd pan to wie?



Tantau uśmiechnął się wyrozumiale.

— Udając się do Komisariatu Śródmieście wiedziała pani, że ma pani tam złożyć jedynie swój podpis. Mimo to odczuła pani potrzebę pokrzepienia się alkoholem; z pewnością nie ów podpis był tego przyczyną. Chciała pani po prostu przekonać policję, że powinna ona prowadzić dalej dochodzenie w sprawie śmierci Konstantina, i potrzebna była pani do tego odwaga. Jeszcze jedno, Karen: ja też nie wierzę w to, że śmierć Konstantina była tylko nieszczęśliwym wypadkiem.

— W takim razie zajmie się pan tą sprawą, prawda? — zawołała Karen. — Proszę, niech pan to zrobi!

— Już się zająłem — powiedział Tantau. — A teraz czuję się do tego upoważniony: działałem na pani polecenie, Karen. Czy mogę tak to sformułować?

— Może pan. — Lalkowata twarz Karen odprężyła się teraz, ustąpił z niej wyraz niepokoju. Z wdzięcznością w głosie dziewczyna powiedziała: — Z panem mogę mówić jak z nikim na świecie. Dlaczego pan nie jest moim ojcem?

**M**

usisz mi pomóc. — Bennicken spoglądał na Giseniusa jak wierne psisko. — Wpakowałem się w idiotyczną kabałę.

— Mój drogi Bennicken — zapewnił go Gisenius — wiesz dobrze, że zawsze chętnie ci pomagam, jeżeli jest to w mojej mocy.

— Bo jeżeli nie ty, to kto?! — zawołał Bennicken.

Konrad Gisenius próbował się uśmiechnąć. Cieszyło go, że w oczach swych przyjaciół uchodzi za człowieka, który, gdy ktoś się znajdzie w potrzebie, zawsze spieszy z pomocą. A już szczególną przyjemność sprawiał mu fakt, że to akurat Bennicken zjawił się w jego biurze.

— No to co się właściwie stało, mój stary? — zapytał Gisenius.

— Złożono na mnie doniesienie. — Bennicken, lekko zastydzony, pochylił swój bawoli łeb i usiadł na stojącym

przed biurkiem krzesła dla klientów. Ale nie rozsiadł się wygodnie, tylko usiadł na samym brzeżku. Jak zwykle w obecności Giseniusa zachowywał się potulnie i pokornie. Gisenius uśmiechnął się do niego zachęcająco.

— Była u mnie policja — wyznał Bennicken. — Z powodu tej bijatyki.

— Policja? — zapytał Gisenius z pobłażliwym uśmiechem, jako że nie miał jeszcze pojęcia, o co chodzi. — Z powodu jakiej bijatyki?

— No tej z Siegertem.

— Co takiego? — Na czole Giseniusa pojawiła się zmarszczka. Teraz już Gisenius się zaniepokoił. — Policja wie, żeś zaatakował tego Siegerta i że doszło do rękoczynów?

— Nie wie! — powiedział Bennicken szorstko.

Gisenius potrząsnął głową, jakby chciał uwolnić się od głuchoty, która nagle go opadła. Ale jego cierpliwość była, jak zawsze, niewyczerpana. Po chwili namysłu powiedział:

— Opowiedz mi wszystko ze szczegółami, Bennicken próbował to uczynić, ale oczywiście na próżno. Jego żałośnie skąpy zasób słów nie nadawał się do skłania szczegółowych raportów. Gisenius musiał mu poma gać coraz to nowymi pytaniami. Wreszcie wyłonił się z te go jako tako przejrzyisty obraz.

Wedle relacji Bennickena sprawa wyglądała następująco: Pobity przez niego i Frammlera Siegert spił się potem do utraty przytomności. Następnego ranka spóźnił się mocno do pracy, wskutek czego trzej śmieciarze, pozbawieni instrukcji, nie wyruszyli na miasto. Przełożony Siegerta wziął go do galopu. Siegert, chcąc się jakoś usprawiedliwić, powiedział, że około jedenastej wieczorem zastał napadnięty w pobliżu knajpy „Die Schwarze Katze”. Nie chciał wymienić ani nazwisk napastników, ani też podać ich rysopisu. Nawet kiedy oburzony kierownik zawiadomił policję. Policja oczywiście wszczęła odpowiednie kroki, zaczęło się śledztwo. Na razie nie dało ono nic konkretnego. Siegert nie chciał obciążać ani Frammlera, ani Bennickena, chodziło mu jedynie o to, aby zadowolić przełożonego

i usprawiedliwić swoje spóźnienie, z którego powodu trzej śmieciarze pozbawieni zostali niezwykle ważnych instrukcji. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności policjant, który miał akurat w tej dzielnicy służbę, widział pod knajpą „Die Schwarze Katze” taksówkę Bennickena. W taki oto sposób policja doszła do Bennickena, a Bennicken z kolei przyszedł do Giseniusa.

— Oczywiście byłem twardy jak skała — twierdził Bennicken, i brzmiało to wiarygodnie. — Nic kompromitującego nie przeszło mi przez usta. Powiedziałem, że o niczym nie wiem, i koniec.

— Ale policja będzie dalej węszyć i wróci, bo niewykluczone, że znajdzie dalsze punkty zaczepienia. I co będzie, jeżeli dojdzie do konfrontacji?

— Przecież mam ciebie! — zawołał Bennicken z naiwną wiarą w głosie. — Ty już to jakoś załatwisz.

— No, zobaczymy — powiedział Gisenius przeciągle. Potem popatrzył na przyjaciela i przyglądał mu się przez chwilę tak uporczywie, jakby chciał go dokładnie otaksować. Wreszcie powiedział znacząco:

— A gdybym ci w tym wypadku nie mógł pomóc?

Na twarzy Bennickena pojawił się najpierw lęk, a potem bezradność. Po chwili jednak wzruszył ramionami i powiedział głuchym głosem:

— No to wpadnę!

— Ale nie sam! — powiedział Gisenius zafrasowany. — Wpadnie razem z tobą Frammler, a może i ja... Ostatecznie to ja was namówiłem, żebyście tego Siegerta wzięli w obroty. W każdym razie mielibyście prawo tak twierdzić.

— Ja sam — powiedział Bennicken zdecydowanie — ja sam wypiję to piwo.

— Poczciwy z ciebie chłop! — zawołał Gisenius nie bez pewnego wzruszenia.

Podniósł się. Ruchy miał teraz uroczyste, jak gdyby się szykował do odprawienia nabożeństwa. Obszedł biurko i zbliżył się do Bennickena, który również się podniósł. Następnie kiwnął znacząco głową i położył swemu wiernemu przyjacielowi i koledze prawą rękę na ramieniu, na

co Bennicken zareagował tak, jakby go odznaczono orderem za waleczność.

— Mój drogi — rzekł Gisenius. — Ludzie twego pokroju są kitem, który spaja nasze społeczeństwo. Czym-bylibyśmy bez was?! Zapewne, myślimy i planujemy, ale co by było z tych planów, gdyby nie istnieli ludzie, którzy potrafią je realizować? Mózg bez ręki to tak jak lokomotywa bez węgla, piec bez drzewa, taksówka bez benzyny.

— Człowieku — powiedział Bennicken ochryłym głosem — chyba wiesz, że dla ciebie dałbym się porąbać na kawałki.

— A ja dla ciebie — zawołał Gisenius, z trudem ukrywając zadowolenie — zrobię wszystko, co w mojej mocy! Ale siadaj że, mój stary, czuj się tu jak u siebie w domu. Ja za chwilę wrócę.

Gisenius pozostawił głęboko wzruszonego Bennickena samego i udał się do pokoju szefa swej kancelarii. Tu kazał się połączyć z Frammlerem.

— Słuchaj no, Frammler — powiedział energicznie — dowiedziałem się przed chwilą, że ten Siegert miał chęć złożyć skargę z powodu rzekomych obrażeń cielesnych, na razie na nie znanych sprawców. Ale na miejscu rzekomego napadu widziano o podanej przez Siegerta go dzinie taksówkę Bennickena. Policja zaczyna się tym interesować. Co ty na to?

Najpierw Gisenius usłyszał chichot Frammlera — widocznie wiadomość ta wyraźnie go ubawiła. A gdy ten niemiły śmiech ustał, Gisenius usłyszał, co następuje:

— Ten Siegert upadł chyba na głowę! Przecież on nie ma żadnych świadków, nie jest więc w stanie twierdzić nic, czego byśmy z miejsca nie obalili. A oprócz nas jeszcze właściciel „Die Sch warze Katze” może w każdej chwili przysiąc, że wszystko było w najlepszym porządku.

— Miło mi było to usłyszeć — powiedział Gisenius. — Sądzę, że wiesz, jakie byłoby najlepsze rozwiązanie. A mianowicie: Siegert wycofa po prostu swoją skargę. Zjawi się w komisariacie i oświadczy: To była pomyłka!

Możesz to zaaranżować? Byłby to z twojej strony majstersztyk nie lada.

— Zrobi się — powiedział godnie Frammler, mile polechtany w swojej próżności.

Gisenius odłożył słuchawkę, podpisał kilka papierków, ale ciągle jeszcze nie wychodził z pokoju. Niech Bennicken myśli, że jego przyjaciel cały swój wysiłek poświęca jego sprawie.

Dopiero po upływie kwadransa Gisenius wrócił do swojej kancelarii. Uśmiechnął się już od progu, powściągliwie, ale optymistycznie, i powiedział:

— Drogi przyjacielu, możesz być teraz spokojny. Ruszyłem sprawę z miejsca i usunąłem z drogi parę przeszkód. O ile się orientuję, można ją uważać prawie za załatwioną.

Bennicken odsapnęła z ulgą i zawołała:

— Człowieku, nie wiem, jak mam ci dziękować!

Udając, że go te podziękowania krępują, Gisenius usiadł przy biurku. Nagle przyszedł mu do głowy pierwszorzędny pomysł.

— Jeżeli chcesz mi koniecznie pomóc — powiedział — to już wiem, co mógłbyś dla mnie uczynić.

— Wszystko — zapewnił Bennicken bez namysłu.

— W każdej ilości.

— Naprzód chciałbym cię prosić, żebyś mi sprowadził tego Tantaua. Muszę z nim koniecznie pomówić.

— Już ja go znajdę! Co jeszcze?

— Ta druga rzecz to sprawa, że tak powiem, delikatna.

— Gisenius udawał, że się ociąga. Równocześnie jednak ciepło się uśmiechał, dając w ten sposób przyjacielowi do zrozumienia, jak bardzo sobie ceni jego współdziałanie.

— Otóż istnieje niejaki Lehmgruber, indywiduum podejrzone i wskutek tego niebezpieczne, oczywiście nie dla mnie. Na razie mógłbyś mu się przyjrzeć, ale dyskretnie. Po to tylko, żebyś wiedział, jak wygląda, i żebyś go nie pomylił z kimś innym, gdyby trzeba było działać. Zapamiętaj sobie nazwisko: Lehmgruber. Mieszka w hotelu „Unter Drei Kronen”.

— Zrobi się — zapewnił przyjaciela Bennicken. — Obejrzę go sobie. Dla ciebie zrobię wszystko.

**U**roczystość była zorganizowana wspólnie — powiedział Tantau z całą powagą. — Chyba się nie pomylę, jeżeli powiem, że to było pańskie dzieło? — Tak jest, to było moje dzieło — rzekł nie mniej uroczyście kierownik działu sprzedaży. — Wolno zapytać, czy należy pan do rodziny dyrektora Kerzego?

— Na szczęście los ustrzegł tę rodzinę od tego — rzekł Tantau skromnie.

— W każdym razie — ciągnął dalej kierownik działu sprzedaży zakładów „Stabilator” — jestem prawie pewien, że podczas uroczystości widziałem pana, żeby tak rzec, w gronie rodziny. Jeżeli się nie mylę, siedział pan w pierwszym rzędzie, tuż obok pani Brandstadter, gospodyni pana dyrektora Kerzego.

— Ma pan wspaniałą pamięć — powiedział Tantau z uznaniem.

— Człowiek musi stale różne rzeczy pamiętać, więc się już wytrenował — rzekł kierownik działu sprzedaży, podkreślając swą skromność. W moim zawodzie i na moim stanowisku musi się zwracać uwagę na tysiące drobiazgów. Tak na przykład znam doskonale wszystkie szczegóły dotyczące naszych najważniejszych klientów.

— Wyznaje się pan również na pracownikach tych zakładów?

— Nie najgorzej — odparł całkiem po prostu kierownik działu sprzedaży. — Pan dyrektor Kerze nie bez przyczyny prosi mnie od czasu do czasu, bym go zastąpił. Cóż pan chciałby wiedzieć?

— Parę rzeczy. — Tantau siedział naprzeciw kierownika działu sprzedaży zakładów „Stabilator” z wyczekującą miną. — Przede wszystkim: jakie stanowisko zajmuje w waszych zakładach buchalter?

— Powiedziałbym: kierownicze. — Kierownik uśmiechnął się uśmiechem dobrego gospodarza. — Na czele naszych zakładów stoi dyrektor Kerze. Bezpośrednio po nim idą: dyrektor produkcji, główny inżynier i moja skromna osoba: kierownik działu sprzedaży. Chciałbym zaznaczyć, że nie ma to nic wspólnego ze stopniami służbowymi. W każdym razie jeżeli chodzi o hierarchię stopni, to licząc

od nas w dół, wygląda to tak: kierownik magazynów, kierownik ekspedycji, kierownik działu personalnego, i zaraz po nich idą trzej buchalterzy: Kisskalt, Wenninger i Saffranski.

— A więc podczas uroczystości również i buchalterzy siedzieli na zarezerwowanych miejscach?

— Oczywiście — odparł kierownik działu sprzedaży. — Pod tym względem jesteśmy konserwatywni, przykładamy wagę do respektowania hierarchii służbowej.

— O ile się więc nie mylę — ciągnął Tantau zamyślony — to w hali na uroczystości były trzy grupy. Pierwsza: goście honorowi oraz członkowie rodziny Kerze, na tych zarezerwowanych miejscach, na których znalazłem się i ja. Druga: pracownicy na stanowiskach kierowniczych, wśród nich owi trzej buchalterzy. Trzecia: robotnicy i pracownicy szeregowi, krótko mówiąc: szara masa.

— Mniej więcej tak — zgodził się kierownik działu sprzedaży. — Choć ja wołałbym inne sformułowanie.

Tantau miał już teraz punkt wyjścia do swych poszukiwań. Tylko że to, co kiedyś pozostawiał swoim pomocnikom, inspektorom i asystentom policji kryminalnej, musiał teraz robić sam. Wędrował więc cierpliwie od biura do biura, od jednej hali do drugiej, od jednego pracownika na stanowisku kierowniczym do drugiego.

I prawie wszędzie stawiał te same pytania: „Kto znajdował się podczas uroczystości na prawo od pana, a kto na lewo? Kto siedział przed panem, a kto za panem?”

Zeszło mu na tym wiele godzin. Ale to śledztwo umożliwiło Tantauowi naszkicowanie dokładnego planu przednich rzędów. Nikogo tu nie brakowało z wyjątkiem jednej jedynej osoby: Saffranskiego. Siegfrieda Saffranskiego.

— Może to być jednak pomyłka — powiedział Tantau głośno do siebie, po czym opuścił zakłady „Stabilator”. Przez wieś i osiedla fabryczne szedł piechotą. Minął po drodze jakiś niechlujny plac, na którym stał zbudowany po wojnie kościół, podobny do wielkiej skrzyni, minął długi szereg kamienic czynszowych i znalazł się w pobliżu willi dyrektora Kerzego. Dotarłszy tutaj, spojrzał na zegarek:

nie spiesząc się zbyttno zużył na przebycie tej drogi zaledwie dwanaście minut.

Jak się tego spodziewał, natknął się w willi na panią Brandstadter. Nie chcąc dopuścić do szczegółowej rozmowy na tematy kuchenne, zapytał:

— Jest pani pewna, że widziała pani Saffranskiego na uroczystości w fabryce?

— Jestem absolutnie tego pewna — powiedziała pani Brandstadter przekonująco. — Widziałam go i rozmawiałam z nim.

— Kiedy?

— Beipośrednio po uroczystości. Stał w pobliżu drzwi. Pan Saffranski jest zawsze taki skromny, nie lubi zwracać na siebie uwagi.

W ciągu kilku sekund Tantau zdołał wszystko sobie w głowie zreasumować. Rezultat, do którego doszedł, zasepił go. Bo rezultat ten był równoznaczny z wyrokiem śmierci.

**J**estem wzruszony — zawołał Tantau na widok gościa. — Przyszedł pan, aby mi złożyć wizytę kurtuazyjną? To rozumiem! To są maniery! — Ostatecznie jestem pańskim uczniem. — Inspektor policji kryminalnej Sand uśmiechnął się ujmująco.

Tantau zdjął z jedynego krzesła w tym pomieszczeniu kilka książek i zrobił okrągły zapraszający gest. Sand usiadł i omiół pokój Tantaua badawczym spojrzeniem. W oczach jego pojawił się wyraz smutku. Tantau zauważył reakcję Sanda.

— Nędzny, umeblowany pokój w ohydnych czynszowych koszarach! Tak pan sobie teraz myśli, prawda? Niech się pan tym nie przejmuje. Gdybym chciał, mógłbym przecież mieszkać w hotelu „Unter Drei Kronen”, mój zleceniodawca płaci mi wspaniałomyślnie wysokie diety. Ale wolę mieszkać w tej dziurze, kiedy już wypadnie być mi w tym mieście. Ta buda należy do pewnej wdowy, nazwiskiem



Wernicke, jej mąż nieboszczyk pracował kiedyś w policji i był moim szoferem. Skoczyłby dla mnie w ogień.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł Sand cicho.

— Tylko bez sentymentalizmu! — zawołał Tantau.

— Niech mnie pan nie bierze sobie za wzór. Zdecydowanie pana przed tym ostrzegam. Jestem bowiem człowiekiem, o którym można by nie bez słowa słuszności powiedzieć, że przeżył żalostną awarię. Chyba dlatego, że się urodziłem w niewłaściwych czasach.

— Wiem — rzekł Sand. — Nigdy nie mógł się pan pogodzić całkowicie z tym, że mord i mord to mają być podobno dwie różne rzeczy.

— Widziałem już na własne oczy — powiedział Tantau

— jak państwo stawało się zbrodniarzem. A ponieważ zawsze szukałem tylko morderców, natknąłem się siłą rzeczy na państwo. O mało co nie zламаłem sobie przy tam karku. Ale epoka, w której żyjemy, zdaje się do tego prowadzić. Jest to bowiem epoka, która nie odcina się w sposób przekonywający, niewątpliwy i konsekwentny od owego tworu państwowego, który popełniał wsze lkie możliwe zbrodnie z mordami masowymi włącznie. I to mnie przeraża. Nie chce mi się żyć wśród ludzi, którzy są jeszcze dumni z tego, że byli pomocnikami morderców.

Sand otworzył swoją teczkę i powiedział:

— Przyniosłem panu coś w dowód pamięci. Cukierki z Meranu.

Tantau wyłowił z torebki wspaniałą, szarobiałą kawałek marcepana. Przyglądał mu się przez chwilę łakomie, a następnie włożył go do ust.

— Wspaniale! — powiedział patrząc na swego gościa. — Udało się panu mnie przekupić. No więc... czego pan chce?

— Chodzi o drobiazg — powiedział Sand. — Tak to przynajmniej na pierwszy rzut oka wygląda. O drobiazg, którym pan komisarz, przepraszam, pan się w tej chwili zajmuje. I to mnie właśnie trochę niepokoi.

— Drogi Sand, nie wiem, o który z licznych drobiazgów panu chodzi?

— O wypadek w domu dyrektora Kerze, o śmierci jego synka Konstantina. Wypadek ten badało dwóch ludzi z tutejszego komisariatu. Byli przeświadczeni, że rezultat, do którego doszli po przeprowadzeniu dochodzeń, nie może budzić żadnych wątpliwości, i komisariat uznał sprawą za zamkniętą. Później doszły do nich słuchy, że prowadzone są dalsze dochodzenia.

— I to przez niejakiego Tantaua.

— Komisariat kompetentny dla zakładów „Stabilator” zaniepokoił się, Kierownik komisariatu zapytał swego kolegą z Komisariatu Śródmieście, to znaczy Brahnwogla, czy znany mu jest osobnik nazwiskiem Tantau. Oczywiście Brahm-vogel natychmiast skomunikował się ze mną.

— A pan z miejsca poleciał do najbliższego sklepu ze słodyczami!

— Tak mniej więcej było — rzekł Sand z całą szczerością. — Wie pan, gdyby jakiś pierwszy lepszy wsadził w tę sprawę swój nos, powiedziałbym: a niech tam! Kiedy jednak tym kimś jest były długoletni szef wydziału, który zajmował się morderstwami, musiałem się chyba zaniepokoić, prawda?

— Niekoniecznie — powiedział Tantau. — Mógł pan na przykład spokojnie poczekać, aż sprawa dotrze do pana drogą służbową.

— Życzy pan sobie tego? — zapytał Sand cicho.

— Gdybym sobie nawet tego życzył, pan i tak nie zastosowałby się do mego życzenia — odparł Tantau z uśmiechem. — Ostatecznie był pan kiedyś moim uczniem, i na to już nie ma rady.

— A więc jednak ta sprawa śmierdzi! — zawołał Sand. Wystarczyło mi usłyszeć pańskie nazwisko, żeby wiedzieć, że coś tu jest nie w porządku. I dlatego przyszedłem pana prosić o pomoc. Czy mogę na to liczyć, panie Tantau?

— Mam odrabiać za pana pańskie zadania szkolne?

— Panie Tantau, zapewniam pana, że po raz pierwszy w życiu występuję z taką propozycją i że jest pan jedynym człowiekiem, który tu w ogóle wchodzi w rachubę.

— O jednego za wiele w tym wszystkim, Sand! Bo powinien pan wiedzieć, że w gruncie rzeczy uznają tylko jednego zleceniodawcę: Sprawiedliwość!

— W takim razie sprawa wygląda gorzej, niż się obawiałem — rzekł Sand niemal ze smutkiem. — Wiem dobrze, co pan rozumie przez sprawiedliwość. A może pańskie stanowisko w tej sprawie zdążyło się już zmienić?

— Nie — odparł Tantau. — To już jest moim przekleństwem, jako że jestem człowiekiem, któremu się zdaje, że wie, jak powinno wyglądać jego sumienie. I właśnie dlatego, mój drogi Sand, siedzę teraz tu w tej budzie, i dlatego mieszkam w mojej chacie nad bagniskiem. W ciągu swego życia wykryłem kilkaset morderstw, uratowałem ludziom miliony marek, niejednego człowieka uchroniłem od śmierci i w końcu nie pozostało mi nic prócz czystego sumienia. Uważam jednak, że to zupełnie wystarczy, by życie można było nazwać sensownym.

Sand sięgnął machinalnie po cukierki, którymi go właśnie Tantau częstował. — Jeżeli więc pana dobrze zrozumiałem, śmierć małego Konstantina Kerzego to nie był li tylko nieszczęśliwy wypadek.

— Zrozumiał mnie pan doskonale — powiedział Tantau. — I o ile pana znam, wykryje pan prawdę stosunkowo łatwo, powiedzmy w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ale i tak wyprzedzę pana, bo mam nad panem co najmniej dwanaście godzin przewagi. To powinno właściwie wystarczyć.

— Wystarczy? Do czego?

— Do osiągnięcia tego, co uważam za sprawiedliwość.

— Panie Tantau — rzekł Sand wyraźnie zatroskany — proszę, niech mi pan powie, co pan zamierza zrobić. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, że będę musiał, wobec tej sytuacji, pracować przeciw panu.

— Pan pracuje dla wymiaru sprawiedliwości, ja zaś dla sprawiedliwości jako takiej. Jeżeli między jednym a drugim pojęciem istnieje jakaś różnica, to w takim razie jesteśmy przeciwnikami.

Sand, poruszony, zawołał:

— Mam wielką chęć pójść teraz po prostu na urlop!

— Chęć ta nie potrwa u pana długo — rzekł Tantau z pobłażliwym uśmiechem. — Aby pan jednak wiedział, co ja o tym sędzę, lojalnie dam panu szansę. Wiem, że pan też

wyszpera w gruncie rzeczy to, co ja wyszperałem. Ale jeden szczegół prawdopodobnie się panu wymknie, bo prowadzący dochodzenia funkcjonariusze policji są niezdarci, a gospodyni dyrektora Kerzego nadęta i przekonana o tym, że zjadła wszystkie rozumy. No więc wskazówka, którą mogę panu dać, brzmi następująco: morderca małego Konstantina Kerzego umiał dobrze liczyć.

Konrad Gisenius wszedł do swego gabinetu i przeprowadził stąd dwie rozmowy telefoniczne.

Rozmowa pierwsza. Godzina 19.47 do 19.52. Rozmówca: Bennicken senior.

**Gisenius:** Drogi Bennicken, mam wrażenie, że właśnie nadszedł czas.

**Bennicken:** Czas? Na co?

**Gisenius:** Czy już wiesz, jak ten Lehmgruber wygląda?

**Bennicken:** Oczywiście. Poznałbym go nawet w nocy.

**Gisenius:** Ten Lehmgruber opuści za jakieś dwadzieścia minut hotel „Unter Drei Kronen”. Będzie potrzebował taksówki. Czy możesz jakoś tak urządzić, aby wsiadł właśnie do twojej?

**Bennicken:** Śpiewająco!

**Gisenius:** Zakładam, że Lehmgruber będzie miał ze sobą teczkę. Chodzi mi o jej zawartość.

**Bennicken:** Kapuję!

**Gisenius:** Prawdopodobnie będą dwie możliwości. Jeżeli Lehmgruber zechce, abyś go zawiózł prosto do mego biura, to wtedy zawartość teczki będzie kompletna. Jeżeli zaś zechce pojechać okrężną drogą, to tylko po to, żeby tę teczkę skompletować. Jasne?

**Bennicken:** Jasne.

Rozmowa druga. Godzina 19.53 do 19.56. Rozmówca: Lehmgruber.

**Gisenius:** Mam wrażenie, panie Lehmgruber, że mogę powiedzieć: finalizujemy sprawę!

**Lehmgruber:** W takim razie mogę chyba mieć nadzieję, że nie ma pan złudzeń, bo jeżeli chodzi o cenę, z mojej strony nic się nie zmieniło.

**Gisenius:** Tak jakeśmy się umówili: dwa tysiące marek. Jedno w zamian za drugie, pan daje akta — ja gotówkę!

**Lehmgruber:** Miło mi to było usłyszeć. Mogę tylko pana jeszcze raz zapewnić, że moje materiały są warte tej ceny.

**Gisenius:** A więc oczekuję pana w moim biurze. Dochodzi w tej chwili ósma, a więc powiedzmy, za jakieś pół godziny.

Po tych dwu rozmowach telefonicznych Gisenius wyszedł szybko do holu. Tu służąca Marta pomogła mu włożyć płaszcz. Powiedział do niej jakby mimochodem:

— Przejdę się jeszcze trochę, muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wyszedł na ulicę i spojrzał w niebo. Wieczór był jasny, widoczność dobra. Jak gdyby zatopiony w myślach kłaniał się każdemu, kogo spotkał, uchylał kapelusza i spoglądał w światło latarni ulicznych.

Szybkim krokiem przemierzył ulicę, na której mieszkał, potem Wilhelmstrasse i skierował się ku Bismarckstrasse. Idąc tą ulicą minął jedną boczną uliczkę, potem drugą i wreszcie wylądował na Liebiggasse. Tu, wśród wąskich, ciemnych fasad, odnalazł dom oznaczony numerem trzydzieści siedem. Wszedł do bramy tego domu i po wydeptanych schodach na trzecie piętro, czepiając się po drodze brudnych ścian i wdychając panujący na klatce schodowej zapach cebuli i butwiejącej kapusty. Dotarwszy do celu, zadzwonił trzy razy.

Drzwi otworzyły się i stanęła przed nim Brygitta. W oczach jej malowała się wdzięczność i zdumienie.

— To wprost nie do wiary! — powiedziała, prawie nieprzytomna ze zmieszania.

— Musiałem raz zobaczyć na własne oczy — rzekł Gisenius nie bez pewnej godności — jak się pani żyje. Jeżeli przeszkadzam, to chętnie przyjdę kiedy indziej.

— Ależ nie! — zawołała Brygitta. — Pan nie przeszkadza mi nigdy! Proszę wejść, bardzo proszę!

— Nie wiem — rzekł Gisenius przezornie — czy w ogóle wolno jeszcze pani o tej porze przyjmować wizyty mężczyzn? — Wyciągnął swój imponujący zegarek i spojrział nań. — Jeżeli się nie mylę, jest już kilka minut po ósmej.

— Z pewnym zakłopotaniem pokazał jej swój złoty chronometr kieszonkowy, tak aby mogła dojrzeć godzinę.

— Pan jest u mnie mile widziany o każdej porze! — oświadczyła Brygitta. — Bo mam do pana zaufanie!

— Bardzo mnie to cieszy — zapewnił ją Gisenius. — Bo widzi pani, na każdego przychodzi kiedyś taka chwila, że potrzebny jest mu człowiek, do którego mógłby mieć zaufanie.

Bennicken czekał, aż w oświetlonych drzwiach hotelu „Unter Drei Kronen” pojawi się człowiek, który był mu znany jako Lehmgruber. Ujrzawszy go, nacisnął starter, podjechał pod samo wejście i zatrzymawszy się przed Lehmgruberem, zapytał:

— Taksówka dla pana?

Lehmgruber kiwnął potakująco głową. Niecierpliwił się bardzo i ledwo mógł się doczekać, aż Bennicken otworzy tylne drzwiczki. A gdy to się stało, szybko wsiadł do taksówki i opadłszy na siedzenie, zawołał:

— Na dworzec!

Bennicken dał gazu i ruszył w kierunku Bahnhofstrasse. Siedział przy kierownicy jak automobilista biorący udział w wyścigach, skupiony, nasrożony, ale jechał bardzo

ostrożnie, skrupulatnie przestrzegając przepisów drogowych.

— Dworzec Główny! — zawołał w pewnej chwili i zahamował.

— Proszę tu zaczekać. — Lehmgruber wysiadł pośpiesznie. — Wrócę za parę minut. — Powiedziawszy to, pobiegł szybko w kierunku głównego wejścia.

Bennicken wysiadł również i bez zbytejnego pośpiechu podążył teraz za Lehmgruberem.

Lehmgruber przystanął pod żółtą tablicą z napisem „Odjazd pociągów”. Rzuciwszy na nią okiem, podszedł do okienka i kupił bilet. Bennicken z trudem powstrzymał się od tego, aby nie zakląć siarczyście i nie rzucić się na tego „zakichanego klienta”.

Lehmgruber wsadził tymczasem bilet do kieszeni i udał się szybkim krokiem do przechowalni bagażu. Tu wydano mu teczkę, co na byczej twarzy Bennickena wywołało uśmiech zadowolenia.

Bennicken pocwałował do swojej taksówki i jak przystało na eleganckiego szofera, otworzył z gestem tylne drzwiczki wozu. Wskoczywszy do taksówki Lehmgruber podał Bennickenowi adres Giseniusa.

Bennicken jednak zachował się tak, jakby był trochę gamoniowaty. Udał, że dobrze nie dosłyszał, i poprosił o powtórne podanie adresu. Lehmgruber powtórzył adres. Ale na twarzy jego było wypisane wyraźnie, co sobie przy tym pomyślał: A to idiota z tego szofera! Skądże mógł wiedzieć, że Bennickenowi zależało właśnie na wywołaniu takiego wrażenia! Kiedy Lehmgruber zaczął się czegoś domyślać, było już za późno.

Taksówka ruszyła tym razem z miejsca jeszcze opieszałej niż poprzednio. Bennicken zatoczył dookoła placu przed dworcem wielki łuk, przeciął główną ulicę i jechał teraz przez planty przydworcowe. Te planty ciągnęły się wzdłuż szyn i okolone były krzewami gęstego bzu.

— Panie! — zawołał nagle Lehmgruber. — Chce mnie pan *wieźć* okrężną drogą, żeby licznik wybił większą sumę? Taki numer ze mną nie przejdzie! Nie jestem durniem!

Roboty drogowe! — mruknął Bennicken z rozanielonym uśmiechem. — Objazd nieunikniony!

— Sprawdzę to — rzekł Lehmgruber, przekonany, że poradzi sobie z tym prowincjonalnym matolem. — Jeżeli to nieprawda, to ja panu pokażę, gdzie raki zimują!

— Bardzo jestem tego ciekaw — powiedział Bennicken rozweselony.

Wyjechawszy z plant przy dworcu, taksówka ominęła następną główną ulicę i znalazła się nagle w okolicy dworca towarowego. Bennicken orientował się tutaj doskonale. Zostawiwszy po lewej stronie hale przeładunkowe, skierował swój wóz w mało uczęszczaną boczną uliczkę: jak okiem sięgnąć, puste rampy kolejowe, puste magazyny, mnóstwo szyn i płotów, najeżonych żardzewiałym drutem kolczastym.

Bennicken ostro zahamował, wóz stanął. Bennicken odwrócił się i powiedział ciepło:

— No, jesteśmy na miejscu.

— Pan chyba oszalał! — zawołał Lehmgruber oburzony.

— Czy to ten adres panu podawałem? Człowieku, pan chyba nie ma wszystkich klepek w porządku?! Ruszaj pan stąd, inaczej mnie pan popamięta!

— Naprawdę?! — zawołał Bennicken wręcz uszczęśliwiony. — Popamiętam pana?! A to niby dlaczego? Bardzo jestem ciekaw. Moja ciekawość jest napięta jak łuk.

Wyrzuciwszy to z siebie tubalnym głosem, Bennicken wysiadł z wozu, otworzył tylne drzwi i zawołał:

— Wsiadka!

Lehmgruber zaczynał się już powoli orientować, że wmanewrował się w paskudną sytuację. Stojący przed nim szofer wyglądał jak goryl. Poza tym dookoła nie było żywej duszy, a cisza pulsowała dźwiękami dochodzącymi z dworca.

— Jak długo mam jeszcze czekać? — warknął Bennicken.

— Wyłazić!

— Ostrzegam pana! — krzyknął Lehmgruber. — Chyba nie zdaje pan sobie sprawy z tego, co pan rabi! Skutki mogą być dla pana fatalne!

— Już ja ci pokażę, ty łobuzie! — wrzasnął Bennicken ordynarnie. — Napadać na uczciwych taksówkarzy! Zabierać mi pieniądze!



— Co takiego? — zawołał Lehmgruber, niczego nie pojmując.  
— Komu zabierać pieniądze?!

— Napadać na taksówkarzy! — Bennicken powtórzył to tonem przyjaznym, a równocześnie budzącym lęk. — Już kilku z nas położyłeś trupem. Ale jeśli idzie o mnie, toś źle trafił!

Bennicken nachylił się i swymi wielkimi rękami w skórzanych rękawicach próbował pochwycić Lehmgrubera. Ale Lehmgruber, biały jak kreda, cofnął się w głąb wozu. Trzymał teraz swą teczkę jak tarczę ochronną i jednocześnie szukał w niej czegoś drżącymi rękami.

— Precz! — wrzasnął nagle i podniósł w górę jakiś przedmiot z metalu. — Precz, bo będę strzelał!

— Wspaniale — zawołał Bennicken gniewnie. I w tej samej chwili wymierzył cios. Ręce w skórzanych rękawicach z całej siły uderzyły w metal i w ciało Lehmgrubera. Rozległ się strzał, i zapachniało spalonym prochem. Cisza, jaka nastąpiła po strzale, trwała niedługo, zagłuszyły ją dźwięki dolatujące z dworca. Lehmgruber i Bennicken zachowali się tak, jakby ich wcale nie było; zdawali się prawie wcale nie oddychać. Czatowali na siebie, opanowani jedną i tą samą myślą: Czy go trafiło?

Po chwili Lehmgruber zdobył się na rozpaczliwy wysiłek i próbował wydostać się z wozu. Ale Bennicken wymierzył mu obiema rękami dwa krótkie szybkie ciosy, obrabiał go jak młot parowy. Lehmgruber zwałił się z nóg i leżał teraz na ziemi jak łachman.

Bennicken wyprostował się. Zasapał się trochę, twarz mu błyszczała od potu, ale się uśmiechał. Wyciągnął przed siebie swe łapska i niemal uroczyście zdjął z nich skórzane rękawice. Potem rozejrzał się na wszystkie strony. Ciągle jeszcze nie było w pobliżu nikogo. Kiedy Lehmgruber poruszył się i zaczął pojękiwać, Bennicken pokiwał z zadowoleniem głową. Wreszcie pochylił się, złapał Lehmgrubera za ubranie i zaciągnął go na drugą stronę ulicy, pod płot. Oparty o ten płot Lehmgruber wyglądał jak wiązka chrustu.

— Słuchaj no, ty świńska mordo! — warknął Bennicken.  
— Nadstaw dobrze uszu!

Lehmgruber nie próbował już wrywać się z łap Bennickena. Ciężkie ciosy, jakie otrzymał, pouczyły go, że sprowokowanie nowego ataku tego oszalałego goryla byłoby równoznaczne z samobójstwem. Zapytał więc żałośnie:

— Czego pan chce ode mnie?

— Zawlokłeś mnie tutaj — powiedział Bennicken tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Napadłeś na mnie. Strzelałeś do mnie. Bronilem własnej skóry. Kapujesz?

— Ale dlaczego pan to robi?! — zawołał Lehmgruber w skrajnej rozpacz. — Jaki to ma sens?

— Stul pysk! — poradził mu Bennicken. — Strzelałeś do mnie. Doszło do bójki, i ty potem zwiąłeś.

— Co takiego?

— Nawiałeś — stwierdził Bennicken z całym spokojem. — Mordowanie taksówkarzy i potem nawiewanie to twoja specjalność!

Bennicken odsunął się od stojącego pod płótem Lehmgrubera i wyciągnął rękę tak, jakby zamierzał wziąć miarę. Potem zupełnie niespodzianie uderzył jeszcze raz, prawą ręką. Lehmgruber zachwiał się i poleciał na płót. Bennicken dzielił go swoją lewą rękawicą. Po tym ciosie Lehmgruber zwałił się bokiem na ziemię.

Bennicken nawet się nie obejrzał, żeby sprawdzić działanie swoich ciosów — znał je. Podszedł do swojej taksówki z taką miną, jak gdyby wracał z wesołej zabawy. Zapalił światło i ujrzał na dnie taksówki pistolet — typ Walter, kaliber 7,65 mm. Obok niego leżała teczka z papierami. Bennicken kiwnął z zadowoleniem głową, zgasił światło i udał się do swojej ofiary. Kiedy Lehmgruber go zobaczył, zrobił ruch, jakby chciał popełznąć do tyłu, ale na przeszkodzie stał płót z desek. W każdym ruchu Lehmgrubera widać było przerażenie.

Bennicken stanął w rozkroku przed Lehmgruberem i uśmiechnąwszy się niemal tkliwie, powiedział:

— Słuchaj teraz dobrze. A więc nawiałeś. Jadę teraz na policję. Zamelduję, żeś na mnie napadł. Dowód: ślady strzałów w taksówce. A więc zwiewaj! Możliwie jak najdalej. Za pół godziny będzie tu policja. Jeżeli cię znajdzie, będziesz biedny. Jasne?

Bennicken odsapnął z ulgą. Jeszcze się tak nigdy nie namęczył, i to przez gadanie. Trzeba przyznać, że się dzielnie spisał. Była to pierwszorzędna robota! Jego przyjaciel i kamrat Gisenius może być z niego dumny.

#### **RAPORT NR 4**

*STENOGRAM PRZESŁUCHANIA POLICYJNEGO KARLA SCHULZA, przeprowadzonego przez inspektora policji kryminalnej Sanda dnia 1 maja 1961 r. w związku z wypadkami w dniu 20 kwietnia 1945 r.*

Na wezwanie stawia się Karl Schulz. Zaznajomiony z przedmiotem przesłuchania i ostrzeżony, że musi mówić tylko prawdę, zeznaje, co następuje:

#### **Personalalia:**

*Nazywam się Karl Schulz, mam lat czterdzieści jeden, jestem z zawodu mechanikiem, pracuję jako kierownik stacji benzynowej.*

#### **Odnosnie do sprawy:**

*Byłem dowódcą drugiej drużyny trzeciego plutonu. Wówczas, dnia dziewiętnastego kwietnia, drużyna składała się z jednego podoficera i sześciu szeregowych. Pięciu z nich służyło w wojsku już od dawna. Jeden przydzielony został do drużyny trzy tygodnie temu. Nazywał się Me-iners.*

*Drużyna była dobrze wyszkolona. Zastępcą moim był starszy szeregowy Bennicken, za jego zastępcę zaś można było uważać starszego szeregowego Giseniusa. Karabin maszynowy drużyny obsługiwany był przez najmłodszego z nas, to znaczy przez Meinersa. Odpowiadało to prawu zwyczajowemu. Starszy szeregowy Frammler przeszedł kurs sanitarny, starszy szeregowy Hirsch był, że tak*

*powiem, zaopatrzeniowcem, starszy szeregowy Kerze miał pieczę nad amunicją.*

*Dnia dziewiętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku około godziny osiemnastej piętnaście drużyna w ramach kompanii dotarła do miejscowości Steinwiesen. Przydzielono jej na kwaterę zagrodę na skraju wsi. Zakwaterowaliśmy się tam, oczyściliśmy broń i doprowadziliśmy do porządku odzież. Około godziny dziewiętnastej zrobiłem coś w rodzaju apelu. O dwudziestej odbyła się narada dowódców drużyn u pana porucznika Kronshagena, dowódcy kompanii. Towarzyszył mi starszy szeregowy Gisenius. Porucznik Kronshagen podkreślił powagę sytuacji. Ustalono, że kompania pomaszeruje dalej następnego dnia o szóstej rano.*

*W jakieś pół godziny po wydaniu tego rozkazu znalazłem się z powrotem na mojej kwaterze. Tutaj Hirsch zameldował mi, że jest do rozdziału alkohol. Nie pytałem, ile tego przyszło, bo dobrze wiedziałem, że normalna racja alkoholu nie przekraczała wówczas ćwierć litra ma głowę. Zaakceptowałem projekt kolegów, by urządzić małą, skromną uroczystość z udziałem tych, u których byliśmy na kwaterze, i ich gości. Kierowałem się przy tym zasadą, że wskazana jest pewna harmonia między żołnierzami a cywilami.*

*Zalutwiwszy swoje sprawy, odwiedziłem kolegę, kaprała, który kwaterował w sąsiedniej zagrodzie. Spędziłem u niego niecałą godzinę. Kiedy wróciłem na swoją kwaterę, owa zapowiedziana mała uroczystość była już w pełnym biegu. Nie było żadnego powodu, abym nie wziął w niej udziału, toteż przyłączyłem się do kolegów. Około godziny dwudziestej trzeciej zachciało mi się spać. Powiedziałem kolegom, że życzę im wesołej zabawy, i oddaliłem się.*

**Pytanie:** *Co pan rozumie przez wesołą zabawę?*

**Odpowiedź:** *To, co się przez to pojęcie rozumie w kołach żołnierskich: umiarkowana wesołość bez zakłócających spokój wrzasków.*

**Pytanie:** *Coś, w czym pewnie udział brały również osoby płci żeńskiej?*

**Odpowiedź:** *Wypraszam sobie wszelkie podchwytliwe pytania! Czuję odrazę do tego, co piszą w pewnych powieściach.*

**Pytanie:** *Gdy pan opuszczał około godziny dwudziestej trzeciej pomieszczenie, w którym odbywała się ta cała zabawa, kto tam był wtedy prócz pana obecny?*

**Odpowiedź:** *O ile sobie przypominam, wszyscy moi koledzy. Siedzieli razem z cywilami, pomni rozkazu dowództwa, w którego myśl ludność, obojętnie jakiego rodzaju, męskiego czy żeńskiego, winna się znajdować pod opieką wojska.*

**Pytanie:** *Kto siedział między panią Bogdański a jej córką?*

**Odpowiedź:** *Hirsch.*

**Pytanie:** *A kto siedział obok córki?*

**Odpowiedź:** *Meiners. Obok matki zajmował miejsce Frammler. Naprzeciw nich siedzieli Bennicken i Kerze. Ale to całkiem przypadkowe rozlokowanie się ludzi przy stole nie miało żadnego znaczenia.*

*Spędziłem noc sam, w jednej z izb tego domu. Następnego dnia, dwudziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego, obudził mnie, jak było uzgodnione, punktualnie o piątej żołnierz, który stał na warcie. Wkrótce potem — moi ludzie jeszcze spali — zjawił się porucznik Kronshagen, dowódca kompanii. Wydał mi rozkaz, żebym wraz z moją drużyną zajął stanowisko na skraju lasu trzysta siedem. Zadanie: zamknięcie szosy, dokładny punkt: odległy o sto metrów od lasu most bez przęsła nad strumieniem.*

*O godzinie piątej dziesięć obudziłem moich ludzi. O godzinie piątej piętnaście przeprowadziłem pierwszy rekonesans terenu. O piątej czterdzieści pięć drużyna była gotowa do akcji. Czas odmarszu został ustalony na godzinę szóstą. Jak należało się spodziewać, odmarsz zaczął się dokładnie o tej porze.*

**Pytanie:** *Gdzie znalazł pan ludzi ze swojej drużyny?*

**Odpowiedź:** *Tam, gdzie ich zostawiłem, w wielkiej izbie owej wiejskiej zagrody. Izbę tę przydzielono im na kwatery. Zostałem tam całą szóstkę, akurat w momencie gdy się budzili.*

**Pytanie:** *Me zauważył pan nic niezwykłego? Wszystko w tym budzeniu się drużyny było dla pana normalne?*

**Odpowiedź:** *Me wiem, do czego pan zmierza. Żołnierz ma pewne prawa, których nie wolno nikomu kwestionować, w każdym razie dopóki pełni swą służbę, zgodnie z wymogami przełożonych. Poza tym w dniach tych obowiązywały owe piękne sławetne słowa z czasów Fryderyka Wielkiego: „Mech się bawią, niechaj piją, kto wie, czy jutra dożyją”. To na marginesie. A teraz, żeby dokładnie odpowiedzieć na pytanie: zachowanie drużyny podczas budzenia się było normalne.*

**Pytanie:** *Czy to ma znaczyć, że wszyscy byli równomiernie oszołomieni alkoholem?*

**Odpowiedź:** *Jedni znoszą więcej, inni mniej. Bennicken potrafił wyłopać wiadro i nie stracić równowagi. Małemu Meinersowi wystarczyła odrobina, żeby dostać zawrotu głowy. Gisenius prawie nie pił, ale Hirsch i Frammler nie wylewali za kołnierz. Jeżeli o mnie chodzi, to w tej dziedzinie niewiele mogę dokazać. W tych sprawach nie można wszystkich podciągać pod jeden strychulec, każdy ma swoją normę.*

**Pytanie:** *A kiedy dowiedział się pan od pani Bogdański, że znaleziono w szopie trupa jej córki?*

**Odpowiedź:** *Okolo godziny szóstej.*

**Pytanie:** *Jak pan na to zareagował?*

**Odpowiedź:** *Z początku nie chciałem w to wierzyć. Potem przekonałem się, że matka mówi prawdę. Po namyśle i krótkiej naradzie z moimi podwładnymi kazałem zająć się tą sprawą Frammlerowi, który miał pewne doświadczenie*

w obchodzeniu się z trupami. Reszta musiała zająć się wykonaniem rozkazu.

**Pytanie:** *Twierdzi pan, że nie przyszło panu w ogóle na myśl, iż sprawcą mógłby być ktoś z pańskiej drużyny?*

**Odpowiedź:** *Tak twierdzę! Kiedy Frammler zgodnie z rozkazem próbował wyjaśnić sprawę, ja zgodnie z instrukcjami rozmieszczałem w terenie moją drużynę. Naprzód udaliśmy się zwartym szeregiem na nasze właściwe stanowisko. Potem ustawiliśmy na stanowisku nasz kaem.*

**Pytanie:** *Kto znajdował się przy tym kaemie?*

**Odpowiedź:** *Z początku Bennicken i Meiners. Frammler miał dołączyć się do nich później.*

**Pytanie:** *A reszta?*

**Odpowiedź:** *Reszta miała za zadanie zbudować prawie tuż na skraju lasu zaporę przeciwpancerną w poprzek szosy. Do tej grupy należeli Hirsch, Gisenius i Kerze.*

**Pytanie:** *A pan?*

**Odpowiedź:** *Ja krążyłem między jedną grupą a drugą, gdzie pomoc była akurat potrzebna.*

**Pytanie:** *Jak wielka była odległość od jednej grupy do drugiej?*

**Odpowiedź:** *Co najmniej sto metrów, najwyżej dwieście. Przez cały ranek dochodził z oddali huk czołgów, który zbliżał się do nas coraz bardziej. Dość prędko przyzwyczailiśmy się do niego. Próbowałem jeszcze prędko zorganizować parę pancerfaustów, to znaczy wyprosić je u operującej również samodzielnie drużyny sąsiedniej. Na próżno. Nasze uzbrojenie było, w przeciwieństwie do gotowości bojowej, niewystarczające.*

*Prawie zaraz po siódmej zjawił się Frammler. Zameldował mi, że pani Bogdański w dalszym ciągu szaleje z powodu śmierci swojej córki. Podejrzanie paść może na Me-inersa — on był ostatni, którego widziano z panną Bogdański. Powiedziałem, że mógł to być czysty przypadek.*

Frammler przyłączył się do tego zdania. Oświadczył, że pani Bogdański jest historyczką.

Po przyjęciu tego meldunku — złożony mi został w obecności tej grupy, która budowała zaporę przeciwpancerną — wysłałem Frammlera na stanowisko kaemu. Jeżeli o mnie chodzi, to wróciłem do swej poprzedniej roboty, to znaczy do pilowania drzew. Była to wówczas najcięższa praca fizyczna; rzecz oczywista, że jako kapral i dowódca drużyny nie mogłem się od niej uchylić. I właśnie wtedy, gdy pilowałem te drzewa, nastąpiła pierwsza potężna nawala ogniowa.

**Pytanie:** Jak to wyglądało w szczegółach?

**Odpowiedź:** Ogień przeciwnika był koncentryczny i pochodził z wielu luf; w ostrzale tym brały udział nie tylko działa czołgowe, ale i moździerze oraz działa piechoty. Kierowany był on wyłącznie — jak dzięki precyzyjnej obserwacji stwierdzono — na skraj lasu, akurat w to miejsce, gdzie stał kaem. Równocześnie wzięty został pod ostrzał punkt, w którym zaczęliśmy budować zaporę.

**Pytanie:** Czy uważał pan ten ostrzał za niebezpieczny?

**Odpowiedź:** Był niszczycielski. Eksplozje na skraju lasu wyglądały tak, jak to pokazują w magazynach ilustrowanych: grzyby z ognia i żelaza! Usłyszałem straszliwy wrzask. Frammler biegł przez las i wołał: „Kaem — zniszczony, Meiners nie żyje!”

Za Frammlerem biegł Bennicken. Niemal w tym samym momencie pociski zaczęły padać bliżej nas. Ani się nie obejrzelśmy, a już lasek trzysta siedem, w którym przebywaliśmy, zamienił się w piekielny kocioł.

Dokładnie w tym samym momencie, tak mi się dziś przynajmniej wydaje, podbiegł do mnie Cisenius. Ten niewątpliwie dobry żołnierz i kolega natknął się na gońca wysłanego do mnie przez dowódcę kompanii, porucznika Kronshagena. Wedle słów Ciseniusa goniec ten został przysłany z rozkazem „Odwrót!”

„Odwrót w kierunku Steinwiesen!”, krzyknąłem kolegom. „Punkt zborny — zagroda!” Miałem na myśli zagro-



dę, w której nocowaliśmy. Ale miazdzący ogień wroga był szybszy od nas. Rzuciliśmy się na ziemię; trudno określić, jak długo tak leżeliśmy. Dopiero po pewnym czasie udało nam się przystąpić do nakazanego odwrotu, przy czym każdy był zdany tylko na samego siebie.

**Pytanie:** *Kiedy i gdzie zakończył się ten nakazany odwrot?*

**Odpowiedź:** *Powiedziałbym, że między dziewiątą a dziesiątą. Dokładnego czasu podać nie potrafię. W następnej, do pewnego stopnia dość wyraźnej fazie walki siedzieliśmy w każdym razie w ukryciu. Czolgi rosyjskie i towarzysząca im piechota przemknęły obok nas. Dopiero potem wyszliśmy z ukrycia. I wówczas stwierdziłem, że drużyna nasza została rozproszona. Więcej: praktycznie nie istniała. Przewaga przeciwnika była zbyt wielka.*

**Pytanie:** *Czy nikogo już nie było w pobliżu pana?*

**Odpowiedź:** *Owszem. Był Hirsch. Leżał tuż obok mnie.*

**Pytanie:** *A reszta ludzi z pańskiej drużyny?*

**Odpowiedź:** *Uważałem ich za straconych. Widok roztaczający się przed naszymi oczyma przypominał miejscami krajobraz z księżycy. Przechodziłem później razem z Hirschem koło tej zagrody, w której spędziliśmy noc. Była kupą gruzów. Dalej szliśmy przez pola i łąki, potem skrajem jakiegoś grzędzawiska, i tak dotarliśmy do najbliższej wsi. Tam natknęliśmy się na resztki naszej kompanii. Był tam także porucznik Kronshagen i była również pani Bogdański.*

*Dowódca kompanii zapytał mnie, co się stało z moją drużyną. Meldunek mój przyjął stojąc przykładnie na baczność. Nie tę jedną grupę ludzi stracił owego ranka. Potem pan porucznik Kronshagen zapytał mnie, co myślę o śmierci młodej Bogdańskiej. Powiedziałem mu, zresztą zgodnie z prawdą, że nic o tym nie wiem, prócz tego, że na ostatku widziano ją z Meinersem. Ale Meiners podobno zginął.*

**Pytanie:** *Był pan pewien, że Meinersa już nie ma między żyjącymi?*

**Odpowiedź:** *Jak najbardziej!*

**Pytanie:** *Dlaczego?*

**Odpowiedź:** *Okoliczności! Dalej wiarygodne oświadczenie Frammlera. No i milczące potwierdzenie tego faktu przez Hirscha. Zresztą atak przeciwnika był wprost straszny. Nie zdziwiłbym się, gdyby cała drużyna została wybita do nogi.*

*To właściwie już koniec. Praktycznie drużyna Schulza przestała istnieć. Rozpadła się również kompania Krons-hagena. Tym samym wojna była dla nas skończona. Wydaje mi się, że prowadziliśmy ją wzorowo do ostatniego tchnienia.*

## 9. *I śmierć może nadać życiu sens*

**D**ziękuję ci — rzekł Gisenius po wysłuchaniu Bennickena, który mu zameldował, że sprawa została załatwiona. — Dopiero teraz uświadomiłem sobie, w jakim stopniu mogę na tobie polegać.

— W każdej chwili! — zawołał Bennicken, ujmując rękę przyjaciela. — A jeżeli zajdzie potrzeba: aż do końca.

— Aż do końca! — zapewnił go również ze swej strony Gisenius. Wyglądał na wzruszonego; nawet wtedy jeszcze, kiedy dodał: — Jeżeli zajdzie potrzeba.

Szukam pana od wczoraj — rzekł Gisenius, nie ukrywając niezadowolenia. — Gdzie się pan właściwie włóczy?

— Wszędzie — odparł Tantau spokojnie. — Już taki ze mnie włóczęga.

Gisenius zorientował się, że popełnił błąd. Z tym większą uprzejmością podsunął swemu gościowi krzesło.

— Panie Tantau — powiedział po chwili uprzejmie. — Wymienił pan wczoraj zajazd „Am Alten Postamt”. Ale Michel Meiners tam nie mieszka.

— Nie? Czy czasem się pan nie myli? Bo przecież rozmawiałem z Michелеm Meinersem, i to wczoraj przed południem w zajezdzie „Am Alten Postamt”.

— Ale bezpośrednio potem Meiners się wyprowadził. Dlaczego?

— Może łóżko było za twarde, cena pokoju za wysoka, widok z okna zbyt brzydki. Czy ja wiem! Wyprowadził się czy opuścił miasto?

— Mnie pan o to pyta? Czyż wyśledzenie tego nie jest pańskim zadaniem?

— Czy to oznacza, że pan przedłuży swoją umowę ze mną?

— Oczywiście. Moje zlecenie jest ciągle jeszcze aktualne: niech mi się pan postara o obecny adres Michela Meinersa. Jest pan w stanie mi go dostarczyć?

— Bardzo możliwe — odparł Tantau lakonicznie.

— Doskonale. A o czym to pan z Michelem Meinersem rozmawiał?\*

— O klimacie, o zapachach hotelowych, o formularzach meldunkowych, nie pamiętam o czym jeszcze.

— Może o przeszłości?

— Niewykluczone. A zaniepokoiłoby to pana?

Gisenius podniósł się, podszedł do okna i powiedział:

— Jest pan bardzo ciekawy, panie Tantau, nie uważa pan?

— Powiedzmy, lubię być dobrze poinformowany.

— Tylko w pierwszej chwili pozwoliłem sobie nie doceniać pana. — Gisenius odwrócił się i spojrzał Tantauowi w oczy. — Zdaję sobie sprawę, że nie jest pan człowiekiem, z którym można by się bawić w ciuciubabkę.

— Bardzo mnie to cieszy — powiedział Tantau.

— Nie zadowala się pan samym wypełnieniem polecenia. Chce pan znać jeszcze kulisy sprawy. A więc wiadomo panu prawdopodobnie, dlaczego tak mi zależy na obecnym adresie Michela Meinersa.

— Może.

— Chciałbym z nim porozmawiać. Nie w moim własnym interesie. W interesie moich przyjaciół. Trzeba wyjaśnić pewien fragment przeszłości i uporać się z nim. Musi to być zrobione z całą szczerością. Michel Meiners powinien wiedzieć, że jesteśmy do tego gotowi, że sobie tego życzymy.

— A więc dobrze — powiedział Tantau. — Spróbuję odszukać go i skłonić, aby z panem porozmawiał. Ale niech pan sobie nie robi zbyt wielkich nadziei, bo o ile jestem

dobrze poinformowany, Meiners nie przykłada najmniejszej wagi do tego, aby porozmawiać z panem i z pańskimi przyjaciółmi.

— Niech pan mimo to spróbuje. I proszę, niech się pan spieszy. Mam wrażenie, że czasu mamy niewiele.

— Ja również mam takie wrażenie — rzekł Tantau z nikłym uśmiechem.

**K**im pan jest? — zapytał Saffranski z niechęcią w głosie. — Jakim prawem się pan tu wdiera? Nawet pan nie zaczekał, aż zawołam „proszę!” — Dlaczego miałem czekać, skoro wcale nie pukałem? — Tantau przyglądał się Saffranskiemu niemal łagodnie. — Żeby jednak nie przyszło panu do głowy wyrzucić mnie za drzwi, pozwolę sobie panu powiedzieć, że obaj mamy jednak coś wspólnego ze sobą... i chyba jest to jedyna rzecz, która nas łączy. Mianowicie obaj pracujemy dla dyrektora Kerzego.

— Dlaczego nie powiedział pan tego od razu! Jeżeli tak jest, to proszę zająć miejsce. Zastał mnie pan akurat przy gimnastyce porannej.

— Pięknie. — Tantau usiadł na krześle stojącym w kącie pokoju i zaczął przyglądać się pomieszczeniu. Było jasne i czyste, dominowały kolory wapiennobiały i szklistozielony. Sam pokój miał w sobie coś z pruskiej surowości, lecz to, co się w nim znajdowało, było pstre, niegustowne, porozrzucane w nieładzie. Wszędzie części bielizny, porozkładane książki, na ścianach tandetne druki, niechlujnie poprzyklepiane. Na drukach tych widniała blada, jasna, gipsowobiała Grecja, taka, jaką widział dzielnny Winkelmann i jego zachwyceni uczniowie — kraina marzeń o czystych, pięknych, szlachetnych konturach.

— Pan też się tym interesuje? — zapytał Saffranski z wyraźną sympatią.

— Niewiele jest chyba rzeczy, którymi bym się nie interesował — odparł Tantau.

— To jest prawdziwa sztuka — rzekł Saffranski, który stał przed Tantauem w skąpym, obcisłym kostiumie gimnastycznym. — Nasza epoka zniszczyła i zatarła idealny obraz człowieka. Nigdzie już nie spotyka się wielkości.

Tantau przyglądał się Saffranskiemu przez chwilę. Potem rzucił zniechęcony:

— Ma pan na ramieniu zadrapania.

— To zapewne pozostałość po ostatniej wyprawie do lasu — powiedział Saffranski. Potem sięgnął po ręcznik i owinał sobie nim szyję. — Powiedział pan przed chwilą, że pracuje pan dla dyrektora Kerzego, ale do personelu jego zakładów pan nie należy.

— Zgadza się. Pracuję dla niego prywatnie, i może należałoby jeszcze dodać: tajnie.

Saffranski, zaniepokojony uwagą o zadraśnięciach, przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Tantaua. Nie ukrywając swojej nieufności, powiedział prowokacyjnie:

— Tajne zlecenia od dyrektora Kerzego? Czy mógłby pan to udowodnić? Ostatecznie każdy może tak powiedzieć.

— Nie każdy. Może się pan lepiej co do mnie zorientować, jeżeli powiem, nad czym pan pracuje dla dyrektora Kerzego. Nad aktami dotyczącymi hotelu „Unter Drei Kro-nen”. Cel: przejęcie udziałów w spółce z ograniczoną odpowiedzialnością Hotele Europa.

Saffranski był zdumiony.

— Widzę, że jest pan zorientowany. Co jeszcze pan wie?

— To i owo — podjął Tantau skwapliwie. — Wiem na przykład, że doskonały z pana rachmistrz.

— Bo też jestem nim — powiedział Saffranski. — Przeszkadza to panu?

— Wprost przeciwnie — zapewnił go Tantau i zamrugawszy popatrzył na niego. — Ta pańska ostatnia wyprawa do lasu musiała być niełatwa. Zadraśnięcia na ramieniu są niebagatelne.

— Musiała mnie drasnąć jakaś gałąź — rzekł Saffranski.

— A może to była taka gałąź, która miała paznokcie — powiedział Tantau przeciągle.

Saffranski pochylił się gwałtownie do przodu, ale tylko o kilka centymetrów. W chwilę potem był już znowu całkowicie opanowany. Gwałtowne wybuchy zdarzały mu się rzadko. Uległ im tylko jeden jedyny raz.

Uśmiechając się, Saffranski powiedział:

— Zapewne ma pan na myśli paznokcie jakiejś kobiety. Bawi pana taka gra fantazji? Nie ma nic bardziej zdegenerate-rowanego od fantazji mieszczaucha. — Saffranski uśmiechnął się gorzko. — Pamiętam dokładnie następujące wydarzenie: Wychowałem się u mojej ciotki. Kiedy skończyłem lat szesnaście, pozwolono mi jeden wieczór w tygodniu spędzać w kółku gimnastycznym. Pewnego wieczoru doszło tam do bójki. Kiedy wróciłem do domu później niż zwykle, miałem na ciele sińce. Ciotka powiedziała: To od obszcypywania, byłeś u kobiety.

— Zapewne ciotka pańska miała odpowiednie doświadczenie — rzekł oschle Tantau. — Czy sińce pochodzą od obszcypywania, czy od bicia, to później trudno ustalić. Z zadraśnięciami jednak jest całkiem inaczej. Ślady ich bowiem ma na swym ciele nie tylko ten, kto został podrapany, ale i ten, który drapał.

— Bzdura! — zawołał Saffranski. Wyrzucił to z siebie zdławionym głosem, i oczy zabłyśły mu przy tym gorączkowo.

— Niech pan tak nie mówi — powiedział z denerwującą łagodnością Tantau. — Ten bowiem, kto zadraśnięcia powoduje (nie muszą one nawet być tak głębokie, jak pańskie), zdziera przy tym kawałki lub kawałeczki skóry i te kawałeczki zostają mu pod paznokciami. I jeżeli nawet są one całkiem malusieńkie, dadzą się bez trudu zidentyfikować. Choćby nawet zwłoki leżały już parę tygodni w ziemi albo parę dni w wodzie.

Saffranski czuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę. Stracił zupełnie poczucie czasu i miejsca.

— Ale te szczegóły to jeszcze nie powód do niepokoju — powiedział Tantau cicho. — Istnieją inne dowody, które wreszcie pana przekonają. Na przykład ślady pańskich stóp nad stawem. Ale to ni« jest jeszcze takie tragiczne, bo mogą one pochodzić sprzed trzech, czterech dni. Następn

dowód to odciski pańskich palców w pokoju małego Konstantina. Ale o czym one świadczą? Chyba tylko o tym, że był pan w tym pokoju.

— Do czego pan zmierza?! — zawołał Saffranski głosem tonącego. — Czego pan chce ode mnie?

— Chcę jedynie zwrócić panu uwagę na kilka błędów. — Tantau wyglądał tak, jakby dostał nagle bólów, a mimo to się uśmiechał. — Na błędy niebezpieczne dla życia. I tak na przykład nie zauważył pan świadka, którym była służąca dyrektora Kerzego.

Tantau kłamał jak najęty, ale wszystko brzmiało przekonująco.

— Może rozglądając się na wszystkie strony nie dostrzegł pan tej małej. Ale dlaczego właściwie? Była pewnie w toalecie. W każdym razie dziewczyna zobaczyła pana w chwilę potem. Pana i Konstantina, jakescie szli w stronę stawu.

— Byłem na uroczystości w fabryce! — zawołał Saffranski wzburzony. — Mogę nawet dostarczyć świadków, którzy mnie na tej uroczystości widzieli.

Tantau machnął ręką i powiedział:

— Niech pan sobie nie robi żadnych złudzeń. Moment śmierci Konstantina da się ściśle ustalić. Dopiero w pół godziny potem zjawił się pan w zakładach; na drogę z willi dyrektora Kerzego do bramy zakładów trzeba najwyżej dwunastu minut. Dopiero jak już było po wszystkim, przy szedł pan do hali, w której odbywała się uroczystość. Mam na to dwóch świadków. Jeszcze jakieś pytanie?

Saffranski chciał koniecznie wiedzieć, czy Tantau jest funkcjonariuszem policji.

— Nie — powiedział Tantau. — Gdybym był z policji, rozmowa nasza miałaby zupełnie inny przebieg. Ale nie będzie pan musiał wcale długo czekać na zjawienie się policji. Policja jest już na tropie tego, co ja wytropiłem. A co potem z panem będzie, to pan chyba wie.

— Nie pozwolę się dręczyć — wyjąkał Saffranski przerażony.

— Dręczyć? Dawniej torturowano ludzi; nie znam niczego, co by dobitniej świadczyło o niedorozwoju ludzkiej



inteligencji. Była to metoda ludzi prymitywnych, brutali. Dziś wygląda to zupełnie inaczej. Teraz mamy przesłuchania dzienne i nocne, systematyczne badania, obszerne artykuły w prasie... Będą pana wypytywać, rozbiorą pana do naga i nagiego popędzą przez dżunglę tak zwanej opinii publicznej, która, już choćby przez zwykłą ludzką lubieżność, zawsze okazuje żywe zainteresowanie dla morderców popełniających zbrodnie na tle seksualnym.

— Uważa mnie pan za coś takiego? — zapytał Saffranski drżącym głosem. — Jest pan pewien, że wszystko wygląda tak, jak pan mówi?

— Najzupełniej — uciął Tantau zdecydowanie. — I nawet nie ma pan żadnej szansy na to, żeby dostać się z powodu niepoczytalności do zakładu dla obłąkanych.

— I nic nie można na to poradzić? — zapytał Saffranski żałościwie. Wił się jak robak. Twarz jego była bielsza od kredy. — Nie ma na to żadnego środka?

— Jest tylko jeden — powiedział Tantau cicho. — Trucizna na szczury!

Długo na pana czekałem — rzekł Michel Meiners niecierpliwie. — Już wczoraj panu powiedziałem, gdzie można nonie znaleźć.

— Przez ten czas nie siedziałem wcale bezczynnie — powiedział melancholijnie Tantau.

Michel Meiners, jak było umówione, zmienił hotel. Mieszkał teraz w hotelu dworcowym. Tu też było tanio, ale niestety o wiele głośniej. Trudno jednak było znaleźć w Rhei-ne-Bergen hotel mniej rzucający się w oczy; bardziej neutralnego miejsca, jak ten pokój hotelowy, w którym siedzieli, nie można już było sobie wyobrazić.

— Czy mogę pana czymś poczęstować? — zapytał Michel Meiners.

Tantau odparł z uśmiechem: — Stwierdzam z przyjemnością, że odnosi się pan dziś do mnie o wiele cieplej niż podczas mojej ostatniej wizyty.

— Moje nastawienie do tych spraw jest teraz inne, i chyba słuszne. Chciałbym właśnie o nim z panem pomówić.

— Pięknie. I jeżeli pan łaskaw, proszę zamówić dla mnie tabliczkę czekolady. Jeszcze nie jadłem śniadania.

— Ależ z przyjemnością — powiedział Meiners, nieco zdziwiony. — Jaki gatunek lubi pan najbardziej?

— Mokkę i półgorzką. Najlepiej niech przyniosą kilka gatunków do wyboru.

Wszystko zostało załatwione po jego myśli. Tantau po gruntownym obejrzeniu wybrał trzy tabliczki. Ułamawszy z jednej z nich kawałek, zapytał:

— I jak to nowe nastawienie wygląda?

— Właściwie zawsze starałem się zapomnieć o tym wszystkim, co się wtedy zdarzyło — rzekł Meiners, sadowiac się wygodnie na krzesle. — Po prostu nie chciałem o tym pamiętać, bo to było takie okropne. Nie chodzi zresztą tylko o ów dzień, w którym to się stało, ale o te wszystkie lata, które nastąpiły po nim. Krótko mówiąc: chciałem zapomnieć!

— Aż tu nagle dwa tygodnie temu firma wysłała pana do tego miasta.

— Tak — podchwycił natychmiast Meiners. — Spadło to na mnie jak piorun. Nagle wszystko stanęło mi znowu przed oczyma. Naprzód chciałem po prostu powiedzieć, że nie pojedę. Ale potem, w obawie przed utratą posady, powiedziałem sobie: jedź, wypełnij swoje zadanie i niech cię nic poza tym nie obchodzi.

— Czy można chodzić po deszczu i mówić sobie: nic mnie to nie obchodzi? Przecież niezależnie od tego człowiek i tak zmoknie.

— Uważa pan, że wojna jest takim deszczem i wszystko, co się z nią wiąże?

— Coś koło tego. — Tantau zabierał *sią* właśnie do drugiej z rzędu tabliczki czekolady. — Można by także powiedzieć: nikt nie żyje dla siebie. I ponieważ człowiek nie ma innego wyboru jak współżyć z ludźmi, musi próbować przynajmniej uzdrowić klimat tego współzycia. Każdy musi coś robić w tym kierunku, żeby ludzie mogli stać się weselsi, mądrzejsi i czystszy, żeby byli bardziej syci i zdrowsi.

Michel Meiners, który słuchał uważnie, powiedział:

— Ludzie, z którymi byłem wówczas razem, też nie zapomnieli! Jeszcze wciąż o tym myślą, ciągle jeszcze ich to niepokoi. Czy nie jest to dowodem, że mają sumienie? Czy na tej podstawie nie można by skończyć z tym wszystkim raz na zawsze?

— Niech pan nie będzie kąpany w gorącej wodzie — powiedział ostrzegawczo Taitau. — Są ludzie, którzy wszystko rozumieją i wszystko przebaczą. Ci ludzie kochają ludzkość bez zastrzeżeń. Oczywiście nie mam nic przeciwko nim, już choćby dlatego, że nie występują masowo. Mam na myśli coś całkiem innego, a mianowicie: nie należy sądzić, że ludzie są z gruntu dobrzy czy z gruntu źli, trzeba widzieć ich takimi, jakimi są, trzeba próbować ich dokładnie poznać i właściwie oceniać. Nie można ich ani ślepo kochać, ani ślepo nienawidzić.

— Dlaczego mówi pan to do mnie? — zapytał Meiners zdetonowany. — Już się zanosilo na to, że się z tym wszystkim uporam, a teraz znowu wszystko wydaje mi się strasznie skomplikowane.

— Bo to też jest skomplikowane — powiedział Tantau. — Weźmy choćby taką prostą rzecz jak sumienie. Twierdzi pan, że koledzy pańscy z tamtych czasów mają je. No cóż, byłoby dobrze, gdyby to sumienie pańskich przyjaciół odezwało się już wtedy.

— Wtedy była wojna!

— I co z tego? Czy to coś usprawiedliwia? To prawda, że niejedno można tym wytłumaczyć. Ale idźmy dalej: czy nie zachodzi tu czasem taki przypadek, że sumienie to spało przez całe lata kamiennym snem? I obudziło się dopiero teraz? Przy czym pozwalam sobie wątpić w to, że mamy tu do czynienia z czymś takim jak sumienie. To, co się tu obudziło, może być równie dobrze instynktem samozachowawczym.

— Utrudnia mi pan sprawę — powiedział Michel Meiners z goryczą w głosie.

— Nie wolno panu niczego sobie ułatwiać!

— Gdybym wiedział, nigdy w życiu bym tu nie przyjechał.

- Drogi panie Meiners, nie pan jeden jest tego zdania.
- Tantau rozprawiał się już z drugą tabliczką czekolady.
- Ale przyjechał pan, i przyglądał się pan niektórym ludziom przez szybę autobusu. Poznał pan Karla Schulza?
- Nie bardzo. Miałem tylko wrażenie, że *to* mógłby być kapral Schulz.
- A dlaczego poszedł pan na Targi Budowlane? Chciał pan zobaczyć swego dawnego kolegę Kerzego?
- To był przypadek.
- Ale poznał go pan?
- Tak. Prawie wcale się nie zmienił, tylko potwornie się roztył.
- Zauważył pan, że skierował się ku panu, że chciał się z panem zetknąć?
- Owszem. Ale ja nie chciałem mieć nic wspólnego z nim ani z nikim z drużyny. Na samą myśl, że mógłbym się z nimi zetknąć, robiło mi się słabo. Po prostu stchórzyłem wówczas. To chyba będzie najbardziej właściwe określenie.
- Obleciał pana strach, że trzeba będzie wyciągać konsekwencje, skoro nastęcza się jedyna po temu okazja. I to konsekwencje, które w gruncie rzeczy musiałyby być rozrachunkiem.
- Michel Meiners podszedł do okna. Oparłszy się o framugę, przyłożył czoło do zimnej szyby. Przed jego oczyma ciągnęły się szyny kolejowe, z lokomotyw unosiły się kłęby gęstego, czarnego dymu. Ludzie na peronie wyglądali jak lalki.
- Rozważając to wszystko, myślałem dotąd wyłącznie o sobie
- rzekł po długim milczeniu. — Uświadomiłem to sobie po pierwszej rozmowie z panem. Jeżeli powiedziałem panu teraz, że chciałem z tym skończyć, to nie wymieniłem jeszcze wszystkich motywów tej decyzji.
- Znam je teraz. — Tantau zdawał się pięścić wzrokiem następną tabliczkę czekolady. — Uświadomiwszy sobie swoją słabość, był pan gotów sądzić, że inni też są słabi.
- I czyż nie miałem racji? — Meiners znowu się ożywił.
- Czy nie postępuję w myśl pańskich intencji? — Podszedł do Tantaua i usiadł koło niego. — Jeżeli nawet ci koledzy

dopuszcili się czegoś odrażającego, to było to rezultatem ich czysto ludzkiej słabości. Oni też stchórzyli, ich też obleciał strach. Działali w panice, w chaosie... Chodziło o ich życie. Wina ich jest wielka, to prawda, ale czy nie jest do pewnego stopnia zrozumiałe, że ktoś w sytuacji przymusowej robi coś, czego by normalnie nigdy nie uczynił? A cóż było wówczas normalne?

Tantau w zamyśleniu przyglądał się leżącej przed nim trzeciej tabliczce czekolady. Po chwili odsunął ją i powiedział:

— Jeżeli konsekwentnie będzie pan myślał tak dalej, to następna faza będzie wyglądała następująco: tak zwani pańscy koledzy dopuścili się tego, czego się dopuścili, przez czysto ludzką słabość, a ponieważ i pan miał swoje słabości i popełniał błędy, przeto będzie chciał pan wszystko zostawić tak, jak było, choć błędy popełnione przez jedną stronę i drugą stronę są prawdopodobnie, jeśli chodzi o ich wagę, nieporównywalne. Tak czy nie?

— Oczywiście, że popełniałem błędy — przyznał się Me-iners natychmiast — i błędy te niejedno wyjaśniają i może nawet usprawiedliwiają. Byłem na przykład bardzo łatwowierny, pod każdym względem. Poza tym nie odznaczałem się zbytnio koleżeńskością, chodziłem zawsze swoimi drogami. Nie mogłem więc zbytnio liczyć na zrozumienie.

— Krótko mówiąc: samo to, że pan istniał, już było wyzwaniem! I gdyby pan umarł, byłaby to wyłącznie pańska wina. Trzeba tylko dobrze szukać, a zawsze znajdzie się pretekst. Jeden musi umrzeć dlatego, że komuś nie odpowiada kolor jego skóry, drugi dlatego, że się komuś nie podoba jego nos, a trzeci dlatego, że nie jest wystarczająco koleżeński. Zabijcie go, a jakieś wytłumaczenie znajdzie się zawsze!

— Panie Tantau — powiedział Michel Meiners w zamyśleniu — tu chodzi o pewną określoną winę. Być może, że ta wina jest nawet wielka. Ale przecież nie może ona istnieć wiecznie. Wtedy wszystko wyglądało inaczej, trudno to sobie nawet dziś wyobrazić. Jeżeli o mnie chodzi, to wszystko gotów jestem przebaczyć i zapomnieć. Niech pan to powie swoim zleceniodawcom. A raczej moim kolegom.

Tantau wyglądał przez chwilę na niezdecydowanego. Potem sięgnął jednak po trzecią tabliczkę czekolady. Rozrywając opakowanie, powiedział:

— Niech mnie pan teraz posłucha. Pański system rozumowania jest jak domek z kart. Wina bowiem, mój panie, nie jest przedmiotem handlu ani sprawą takiej czy innej słabości. Wina to wartość jednoznaczna, podstawowy element w naszym życiu. Nie można jej ani zatrzeć, ani pomniejszyć, ani zamienić. To absurd chcieć ją wykreślić i zapomnieć o niej. Tak łatwo skończyć z nią nie można. Dla każdego, kto stał się winny, istnieje tylko jedna możliwość, żeby się z winą uporać: człowiek musi w całej rozciągłości uświadomić sobie swą winę, musi ją uznać, żałować, że ją popełnił, i wziąć ją na siebie. Wtedy dopiero wina może zmienić się w dobroć, wielkoduszność. Każda wina musi być odpowiednio okupiona, dopiero wtedy przestaje istnieć. Oto, mój panie, pański problem. I nie ujdzie pan przed nim.

— Co mam wobec tego robić? — zapytał Michel Me-iners.

— To, czego się pan tak boi — powiedział Tantau. — Będzie pan musiał stanąć przed swymi byłymi kolegami, i to po to, aby mogli w pełni uświadomić sobie swoją winę. Wtedy dopiero będzie można skończyć z tym ostatecznie.

Proszę przejrzeć rachunki i rozliczenia z ostatnich dni — powiedziała Gizela Wandel. — Jutro powinno odejść do centrali sprawozdanie miesięczne.

— Niech pani sama to załatwi! — powiedział Martin Hirsch wspaniałomyślnie. — Wyznaje się pani w tej materii przynajmniej równie dobrze, jak ja.

— Panie Hirsch — rzekła Gizela Wandel sztywno — muszę panu szczerze powiedzieć, że mam wrażenie, że w ostatnich czasach zaniedbuje się pan w swoich obowiązkach.

— Wrażenie to nie jest bezpodstawne — powiedział Hirsch wesóło. — Ale dzięki temu ma pani możliwość się

przekonać, ile sympatii dla pani żywią. Daję pani szansę przy każdej sposobności, żeby pani mogła błysnąć talentem. Niechże więc pani pokaże, co potrafi, i przygotuje to sprawozdanie dla centrali. Ja mam ważniejsze rzeczy na głowie.

— Długo pana nie będzie? — zapytała Gizela Wandel, zachowując znowu dystans i rezerwę. — Zgłaszała się policja, w sprawie Lehmgrubera. Wie pan przecież, że Leh-mgrubera nie ma od wczoraj wieczora, przepadł bez wieści.

— A niech sobie przepada! Oszczędzi przez to przynajmniej sobie i nam kłopotu. Tak, czasami człowiek nic lepszego nie może zrobić jak zniknąć. Obojętne gdzie. W jakiejś wiejskiej zagrodzie, w jakiejś gospodzie gdzieś na odludziu, w jakiejś absolutnej pustelni. O tak, ulotnić się. Nie myśleć o sprawozdaniach dla centrali, o trupach, które spotka się na swej drodze, o ludziach, których niepodobna kochać, choć tego chcą, o tych, których kochać nie wolno, choćby się chciało. Jak się policja zjawi w sprawie tego Lehmgrubera, niech jej pani udzieli wszelkich informacji, niech jej pani wszystko rzuci na żer! Ja mam coś lepszego do roboty.

Martin Hirsch opuścił biuro dyrekcji. Najkrótszą drogą udał się do bocznego wyjścia, przed którym stał jego wóz, usiadł przy kierownicy i ruszył z miejsca w szalonym tempie. Miał taki wyraz twarzy, jakby chciało mu się śpiewać. Po paru minutach szybkiej jazdy zatrzymał się przed domem, w którym mieszkał Schulz. Wyskoczył z wozu, wbiegł po schodach na górę i zadzwonił.

Otworzyła mu Ewa Schulz. Martin Hirsch z przyjemnością zauważył, że się na jego widok uśmiechnęła. Otworzyła szeroko drzwi mieszkania i powiedziała: — Karla nie ma w domu. Ale jeżeli mimo to chcesz do nas wstąpić, to proszę bardzo.

Martin Hirsch nie zastanawiał się ani chwili. Zostawił w przedpokoju kapelusz i rękawiczki i wszedł do kuchni, która była urządzona jak pokój mieszkalny.

Kiedy już zamienili kilka słów o pogodzie, o kawie, o prezydencie Ameryki — o tym ostatnim tylko dlatego, że

nazwa kawy przywiodła go im na myśl — Martin Hirsch powiedział:

— Ewo, znam cię od dzieciństwa. I muszę się szczerze przyznać, że cię zawsze bardzo lubiłem.

— Ja ciebie także — odparła Ewa spontanicznie. — Dla mnie byłeś zawsze prawdziwym mężczyzną. Kiedyś nawet powiedziałam Karlowi, że cię strasznie lubię, prawie tak jak jego.

— Mam nadzieję — rzekł Hirsch, który czuł się mile połączony słowami Ewy — że nie zapomniałaś przy tym, iż jestem prawie o dwadzieścia lat starszy od ciebie.

— Jakież to ma znaczenie?!

— Miło mi to słyszeć. Ale nie zapomnij i o tym, że nie jestem już nie zapisaną kartą.

— Ależ wiem, wiem. Musiałeś żyć dosyć frywolnie i beztrosko, bo słyszałam o tym już w szkole.

Hirsch nie wiedział teraz, czy powinien czuć się mile połączony, czy też zakłopotany. — Tak strasznie znowu nie było.

— To nie ma żadnego znaczenia — rzekła Ewa wielkodusznie. — Jak człowiek pozna trochę życia, to zaczyna takie rzeczy rozumieć. I chyba o wiele lepiej jest być mężczyzną.

— Dlaczego? — zapytał Martin Hirsch mocno zaintrygowany. — Czy chcesz przez to powiedzieć: szczęśliwi ci mężczyźni, nie muszą rodzić dzieci?

— Coś koło tego. — Twarz Ewy zalał rumieniec, spuściła oczy.

— Ewa — powiedział Martin Hirsch — dziecko jest zawsze dzieckiem matki. Gdybyś więc miała zostać matką, dziecko należeć będzie wyłącznie do ciebie.

Ewa zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Utkwiwszy wzrok w filizance, zapytała:

— A więc wiesz już o tym?

— Jestem przyjacielem twego brata. I twoim również. Powinnaś o tym wiedzieć.

— Dziękuję ci. — Ewa położyła swoją rękę na jego rękę. — Zawsze mi się zdawało, że tak myślisz.

Hirsch spuścił głowę i głosem ochryplym z zakłopotania powiedział:



— Zrozum mnie dobrze, Ewo. Gdybyś kiedyś potrzebowała ojca dla twego dziecka, zwróć się do mnie.

Pan mi wprost narzuca tę sprawę — rzekł z niezadowoleniem inspektor policji kryminalnej Sand. — Panie inspektorze — powiedział kierownik komisariatu Brahnwogel, wyraźnie rozczarowany — natrafiłiśmy wreszcie na ślad tego gagatka, który dokonuje napadów na taksówki.

— I jest pan naprawdę przekonany, że ten ślad jest rzeczywiście prawdziwy?

— Panie inspektorze — powiedział Brahnwogel, upierając się przy swoim jak osioł dardanelski — wiem dobrze, dokąd pan skierował większość swoich ludzi. Chce pan wyjaśnić śmierć małego Kerzego. Ale czy nie jest to już sprawa marginesowa? Tymczasem ten rabuś taksówek wypełnia całe kolumny gazet. I reporterzy wiercą nam bez przerwy dziurę w brzuchu. Trzeba jakoś temu zaradzić!

Na twarzy Sanda, typowej twarzy przykładowego ucznia w szkole, pojawiła się bezradność i niechęć. Jego słabą stroną, jak zresztą wszystkich funkcjonariuszy policji kryminalnej, którzy zajmowali kierownicze stanowiska, była niewystarczająca ilość personelu. Zawsze musiał się koncentrować tylko na jednej sprawie, nigdy nie mógł załatwiać dwóch czy trzech na raz. A więc i w tym przypadku nie pozostawało mu nic innego jak decyzja: dać pierwszeństwo napadowi na taksówkę.

Inspektor Sand zabrał się do dzieła według wszelkich prawideł logiki. Wycofał wszystkich swoich nielicznych specjalistów — z wyjątkiem jednego — ze sprawy Konstantina Kerzego i przydzielił ich do sprawy napadu na taksówkę. Rezultaty nie tylko nie dały długo na siebie czekać, ale były prócz tego przekonujące.

Rezultat pierwszy: Przesłuchanie właściciela przedsiębiorstwa przewozowego, a zarazem kierowcy taksówki Bennickena seniora potwierdziły zeznania zaprotokołowane dnia

poprzedniego w Komisariacie Śródmieście. Dokładne przeszukanie taksówki dało wynik następujący: Stwierdzono ślad kuli w tylnej części wozu, w siedzeniu i obiciu drzwiczek. Znalaziono pocisk, o całkiem wyraźnym kształcie, kaliber 7,65 mm. Typ prawdopodobnie Walter. Ponadto znaleziono odciski palców na klamce i ramie drzwiczek, pozostawione być może przez sprawcę.

Rezultat drugi: Wywiady u kierowców taksówek, kolegów Bennickena — opis pasażera, który wyszedł z hotelu „Unter Drei Kronen”. Te zeznania również były zgodne z tym, co zeznał Bennicken. Następnie przesłuchania w hotelu „Unter Drei Kronen” — pasażera udało się zidentyfikować jako niejakiego Lehmgrubera.

Rezultat trzeci: Przeszukanie pokoju, w którym mieszkał ów Lehmgruber. Zabezpieczenie śladów. Liczne ślady palców w pokoju hotelowym zostały porównane z odciskami na klamce i ramie drzwiczek w taksówce Bennickena. Były identyczne.

— Musimy teraz puścić cały aparat w ruch — powiedział inspektor policji kryminalnej Sand.

Od tego momentu zaczęła się właściwa koronkowa robota, nieodzowna przy badaniu ciężkich zbrodni. Sand powinien był raz jeszcze zbadać dokładnie punkt po punkcie, ale niestety nie był w stanie zrobić tego tak, aby gwarantować to mogło całkowity sukces. Po pierwsze, z powodu dotkliwego braku personelu, po drugie, ze względu na inną sprawę, której Sand nie chciał w każdym razie stracić z oczu: sprawę śmierci Konstantina Ke-rzego.

Sandowi nie pozostawało na razie nic innego jak w przyspieszonym tempie doprowadzić poszukiwania w sprawie napadu na taksówkę do końca, gdyż policja ogólnopolska zaczynała już się interesować wynikami poszukiwań w tej sprawie, aby móc posługiwać się nimi przy wykrywaniu podobnych wypadków. Mimo to Sand przydzielił swego najlepszego pracownika — nazywał się on Falter-meier — do sprawy Konstantina Kerzego. Dał mu kartkę, na której widniały dwa nazwiska: Brandstadter i Saffranski, i kazał mu działać.

— Niech się pan skoncentruje na tych dwojgu — powiedział do Faltermeiera. — Oboje znajdowali się krytycznego dnia w willi Kerzego. Ta Brandstadter musi być dokładnie poinformowana.

— A Saffranski?

— To buchalter — rzekł znacząco Sand, który wyobraził sobie na chwilę, że jest Tantauem. — Umie liczyć.

Powiedziawszy to, opuścił swego zaufanego współpracownika, wsiadł do czekającego nań wozu służbowego i kazał jechać do hotelu „Unter Drei Kronen”, gdzie czekało na niego dwóch funkcjonariuszy policji.

Jeden z nich przetrząsnął pokój zajmowany przez Lehm-grubera — niestety bez większych rezultatów. Drugi przesłuchał służbę hotelową i kazał sobie przedłożyć wszystkie papiery i dane. Również — jak mu się wydawało — bez większych rezultatów.

Inspektor Sand polecił, aby mu dano cały zebrany materiał, a otrzymawszy go, przejrzał dokładnie każdy papierek. Potem udał się do biura dyrekcji.

— Potrzebne mi są pewne informacje — powiedział do Gizeli Wandel.

— Proszę wejść, panie Sand, właśnie czekamy na pana.

Sand wszedł do biura dyrekcji i przywitał się z Martinem Hirschem dość serdecznie — już skądś się znali; ostatecznie Rheine-Bergen nie było miastem milionowym.

— Nie jest pan zbyt zachwycony moim widokiem, co?

— Ciągle to samo — odparł Martin Hirsch, ale bez irytacji. — Pańscy ludzie znowu zachowali się niezbyt dyskretnie.

— No cóż, wyszkolonymi pracownikami hotelowymi to oni nie są, przyznaję. Ale przejdźmy do rzeczy: z czego żył ten Lehmgruber?

— Jeżeli chce pan wiedzieć, kim był ten Lehmgruber z zawodu, to znaczy: co robił, aby zarobić na życie, to muszę odpowiedzieć: nie wiem.

Sand uśmiechnął się.

— I zechce pan zapewne dodać: to mnie zresztą nic nie obchodzi, był gościem hotelowym jak setki innych. Czy jednak nie interesował się pan tym Lehmgruberem bardziej niż innymi gośćmi?

— Kto to panu powiedział? Czyżby panna Wandel?  
— Zdziwiałające, jak mało zna pan swoich współpracowników  
— rzekł Sand i położył przed Hirschem na stole plik papierów. Uczyniwszy to, stuknął wskazującym palcem w jedną z cyfr widniejących na jakimś zestawieniu.  
— Rozumiem — mruknął Hirsch. — I widzę, że orientuje się pan w liczbach. Istotnie, kilka razy wzywałem tego Lehmgrubera. Był kiepskim płatnikiem.  
Nie można powiedzieć, żeby nie zainteresowało to Sanda.  
— Gdybym był w pańskiej sytuacji, zapytałbym pewnie tego kiepskiego płatnika mniej więcej tak: Jaką mi pan daje gwarancję, że pan zapłaci, jak wyglądają pańskie możliwości płatnicze?  
— Czyli krótko i wężłowato: skąd pan czerpie pieniądze?  
— Trafił pan w samo sedno! Bo widzi pan, z wykazów pańskich wynika, co następuje: człowiek ten nie ma pieniędzy, a gdy go się wzywa do zapłacenia rachunku, nagle ma pieniądze. Ale na poczcie nie ma żadnych śladów. Listów żadnych nie otrzymywał. A więc musiał mieć pieniądze stąd, z Rheine-Bergen. Kto mu je dał? Czyżby rzeczywiście ten Lehmgruber nic nie mówił na ten temat?  
— Nie — odparł Hirsch po krótkim namyśle. — O ile pamiętam.

Sand czekał cierpliwie parę sekund. Potem powiedział:  
— A więc pan nie pamięta, przynajmniej w tej chwili. Ale nie jest wykluczone, że w pewnych okolicznościach pan sobie ten lub ów szczegół przypomni, prawda? Proszę, niech mnie pan wówczas niezwłocznie zawiadomi. Mogło by to mieć duże znaczenie.

**N**o tak — rzekł Frammler zadowolony — to byłoby załatwione. Wypadło pierwszorzędnie, prawda?  
— Bez zarzutu — potwierdził Bennicken.  
— Tak jest — zapewnił Frammlera Karl Schulz. — To była, żeby tak rzec, wielka klasa.

— Chyba pierwsza, nie? — dodał Hirsch. — A może twój cennik przewiduje droższe kategorie?

Mówili o pogrzebie małego Konstantina Kerzego. Uroczystość pogrzebową zaaranżował zakład Frammlera. Było na co patrzeć: cztery kandelabry ze świecami z prawdziwego wosku, trumna wybita jedwabiem i aksamitem — wszelkie inne finezyjne dodatki, jak świeczki, gałązki sośniny, tuje w kubłach i sztuczne lilie w wazonach przypominających stylem greckie, dostarczył Frammler gratis, w pewnej mierze z przyjaźni.

— Było nadzwyczaj uroczyście. — Bennicken wytarł głośno nos.

— Muszę napić się wódki — powiedział Hirsch.

— Później — upomniał go tonem surowego szeryfa Bennicken. — Gisenius powiedział, żebyśmy zaczekali.

Czekali więc. I tak musieli złożyć koledze Kerzemu kondolencje.

Willy Kerze stał między dwiema wielkimi tujami, zastygły w pełnej godności pozie. Otaczali go goście żałobni ze sfer gospodarczych, politycznych i urzędowych. Karen Kerze cała w czerni, w której było jej bardzo do twarzy, stała obok Johanna Bartoscha. Ten prawie-narzeczony korzystał ze sposobności i demonstrował, jak mógł, swój bliski związek z rodziną Kerze. Za nim stał, jak nieodłączny cień Konrad Gisenius.

— Składanie kondolencji trwa już osiemnaście minut — stwierdził Frammler, spoglądając na zegarek. — To prawie rekord. Kerze będzie musiał postawić na to konto do datkową kolejkę.

Wreszcie uczestnicy pogrzebu zaczęli się rozchodzić. Naprzód odeszli zaproszeni goście, potem skierowała się ku drzwiom Karen, której rycersko towarzyszył Bartosch. Oczywiście nie omieszkała spojrzeć z głębokim wyrzutem na Martina Hirscha.

— U tej masz wielkie szanse — rzekł Frammler. — Ta dziewczyna to najlepszy towar, jaki nasz Kerze kiedykolwiek wyprodukował.

— Stul pysk — mruknął Bennicken jowialnie, bo właśnie podchodził do ich grupy Willy Kerze w towarzystwie

Konrada Giseniusa. Przyjaciele po kolei złożyli mu kon-dolencje. Były one serdeczne, choć zostały wyrażone milczeniem.

— Dziękuję, drodzy przyjaciele. — I Kerze wypowiedział teraz wobec swoich kolegów te same słowa, które wypowiedział wobec swoich najdostojniejszych gości: — Dopiero w tak ciężkiej godzinie czuje się ów dobroczynny wpływ prawdziwej przyjaźni.

— Nasz przyjaciel Kerze — powiedział Gisenius, odchrząknąwszy — zaprasza nas na skromne przyjęcie. Drogi Martinie, czy byłoby to możliwe w hotelu?

— Tam izba chłopska jest już zarezerwowana — oświadczył Martin Hirsch.

— No to nie certujmy się — powiedział Gisenius.

Wcale się nie certowali. Kerze, któremu oczywiście towarzyszył Gisenius, wsiadł do swego okazałego wozu. Za nim ruszyła taksówka Bennickena, wioząca Schulza i Hirscha. Kolumnę zamykał wspaniały wóz Frammlera. Frammler odstawił swój zmotoryzowany karawan do domu, a równocześnie jechał nim przez miasto po to, aby zrobić reklamę swojemu zakładowi.

— Koledzy — rzekł Kerze, gdy kieliszki zostały napełnione — raz jeszcze dziękuję! Dalsze słowa są chyba zbyt teczne.

Opróżnili kieliszki, postawili je przed sobą na stole i usiedli.

— Tak to już jest — powiedział Frammler filozoficznie. — Kiedyś wszyscy pójdziemy na tamten świat, jeden wcześniej, drugi później.

— Jedni za wcześnie, drudzy za późno — uzupełnił Martin Hirsch. — I niemało jest takich, którym się mocno do tego dopomaga. I niejedni nieźle na tym zarabiają.

Frammler spojrział nań z oburzeniem.

— Kerze! — zawołał. — Czy policzyłem ci za wiele? Czy ceny moje nie są umiarkowane? Czy nie dałem ci nawet rabatu?

— Ależ tak — przyznał Kerze. — Czy jednak akurat teraz musimy mówić o sprawach handlowych?

— Bardzo słusznie! — zawołał Schulz zdecydowanie.

Śmierć ta bardzo nim wstrząsnęła. — Proszę zachowywać się odpowiednio — powiedział twardo, i w głosie jego zabrzmiał dawny kaprański ton.

— Przyjaciele — rzekł łagodnie Gisenius. — Choć żaloba naszego przyjaciela Kerzego zasmuca nas głęboko, nie możemy jednak tak całkiem zapominać o innych naszych problemach. Mam na myśli Michela Meinersa.

Obecni spojrzeli na Giseniusa. We wzroku Martina Hirscha była lekka ironia, Karl Schulz czekał cierpliwie jak potulne jagnię, Frammler zdradzał pewien niepokój, Kerze kiwał znacząco głową, Bennicknen, który siedział z kamienną twarzą, wyglądał jak staroegipski kapłan.

— Musimy rzeczywistości spojrzeć w oczy — ciągnął dalej Gisenius. — Albowiem Michel Meiners nie tylko istnieje, ale przebywa na dobitkę w naszym mieście. Każdej chwili możemy go spotkać. I co wtedy, przyjaciele?

— To całkowicie zależy od tego — odezwał się Hirsch pod wpływem prowokujących spojrzeń Giseniusa — czego Michel Meiners od nas oczekuje. Może będzie chciał tylko pogawędzić z nami, na przykład o tym, jak i dlaczego musiał wtedy umrzeć.

— To nie jest temat do dyskusji — zareplikował z miejsca Willy Kerze. — Nie wolno nam w ogóle do tego dopuścić. Poza tym niech kolega Hirsch nie uderza w taki ton, jakby go to wszystko nic nie obchodziło.

— Koledzy! — zawołał Schulz. — Tak nie można! O czym właściwie mówicie? Moim zdaniem, o ile istnieje w ogóle odpowiedzialność i powinniśmy ją ponosić, to nie będziemy się od niej uchylać.

— Odpowiedzialność? — zapytał Frammler, sięgając po butelkę. — Byłem tylko starszym szeregowym. Ale mieliśmy podoficera, dowódcę drużyny, prawda, Schulz?

— To by ci się podobało! — zawołał Hirsch wściekły, bo widział, jak Schulz zbladł jak prześcieradło.

Z kolei wtrącił się Gisenius.

— Ze stanowiska prawnego sprawa nie jest niestety prosta. Mamy więc przede wszystkim tę okropną śmierć tej dziewczyny. Zeznaliśmy wtedy, że Michel Meiners nie jest taki całkiem wolny od podejrzeń.

— Było to najwygodniejsze wyjście — rzekł Frammler.

— Do stu diabłów! — zawołał Hirsch wzburzony. — Co to znaczy: myśmy powiedzieli, myśmy zeznali. To ty, Gise-nius, tak zeznałeś, ty skłaniałeś do tego innych.

— Na to wcale sobie nie zasłużyłem — rzekł ze smutkiem Gisenius. I spojrział smętnie na Willego Kerze.

— To świństwo twierdzić coś podobnego! — wrzasnął Kerze.

— Tak jest, świństwo! — zawtórował mu głucho Ben-nicken.

Willy Kerze aż sapnął z oburzenia.

— I to w stosunku do człowieka, który tak nieskończenie wiele zrobił dla nas wszystkich. Jeżeli ktoś w ogóle się dla nas poświęcał, to tym kimś był właśnie Gisenius. Ileż razy mówiłem mu: Konrad, załatw to dla nas, ja zapłacę! I Gisenius załatwiał. A jakie teraz ma podziękowanie? Wstyd mi za was! Nie chcę już mieć z wami nic do czynienia.

— Tylko bez takich przedwczesnych obietnic! — zawołał Martin Hirsch.

A Frammler dodał:

— Zobaczę was znowu na waszych pogrzebach! Konrad Gisenius pochylił głowę. I chyba po policzku sto czyła mu się łza, może nawet niejedna.

Nagle podniósł się z miejsca Karl Schulz. Bładość, która przed, chwilą wystąpiła mu na twarzy, dosięgła już uszu i rozlała się po karku.

— Koledzy! — powiedział uroczyście. — Jestem zmartwiony. Prosty ze mnie człowiek, ale wiem, co jest moim obowiązkiem i powinnością. I jestem gotów ponieść wszystkie konsekwencje.

— Dajże spokój, Karl! — zawołał Hirsch przerażony.

Ale Bennicken położył swe łapsko na ramieniu Hirscha i mruknął:

— Pozwól mu mówić!

— A więc koledzy — rzekł Schulz zdławionym głosem. — Nie ulega wątpliwości, że ja byłem waszym podoficernym, ja dowodziłem drużyną i do mnie należało prawo wydawania rozkazów. A więc tylko ja jestem odpowiedzialny.



— Co za nonsens! — jęknął Martin Hirsch.

Frammler zaś zawołał:

— Kto by się tego po tobie spodziewał! Jesteś jednak facet wielkiej klasy!

A Konrad Gisenius podniósł się, wyciągnął rękę, uściśnął prawicę Schulza i powiedział:

— Dałeś nam przykład najszlachetniejszego koleżeństwa, drogi kolego Schulz. My wszyscy potrafimy to docenić. Jest to gwarancja dla nas wszystkich, ale nie możemy się oczywiście tym zadowolić.

— Czy nie byłoby to najlepsze rozwiązanie? — zapytał Frammler z bezwstydną szczerością.

— Może i najlepsze — odparł Gisenius z uśmiechem wyższości — ale z pewnością nie jedyne. Mam wrażenie, że nasz przyjaciel naprowadził mnie na doskonały pomysł: jako nasz podoficer i dowódca drużyny uważa, że winien ponosić za nas odpowiedzialność. Ale, pytam, kto ponosi odpowiedzialność za niego, a tym samym za nas wszystkich? Kto? Jego przełożony!

— Niegłupia myśl — powiedział Frammler z uznaniem.

— To Kronshagen — ciągnął dalej Gisenius — wydał ów decydujący rozkaz o stawianiu oporu. Można więc powiedzieć, że to on ma na sumieniu wszystko, co się stało z Me-inersem. Jemu też składane były wszystkie meldunki o śmierci tej dziewczyny w stodole. Wskutek tego, drogi kolego Schulz, jesteś na razie wolny od odpowiedzialności.

— Podniósł w górę kieliszek. — Sądzę, przyjaciele, że ma my pełne prawo wypić za nasze tak wspaniale funkcjonujące koleżeństwo. A ja piję jeszcze osobno za zdrowie na szego przyjaciela Schulza i jego wzorowe poczucie obowiązku.

Wypili. Gisenius pełen nadziei, Kerze z ulgą, Schulz z oddaniem i gotowością do ponoszenia ofiar, Frammler nie bez zadowolenia, Hirsch z najwyższą odrazą, Bennicken machinalnie. I ledwo zdążyli wychylić kieliszki do dna, gdy pojawia się Gizela Wandel.

— Jakiś pan chciałby z panami mówić — oświadczyła.

— Nazywa się Michel Meiners.

Czasami pytam samego siebie, co też się może dziać w mózgach tych starych byków — rzekł Klaus i bez respektu stuknął się w czoło.

— Są zaledwie o dziesięć czy piętnaście lat starsi od ciebie — powiedziała spokojnie Ewa Schulz. Klaus wzruszył ramionami.

— I wszyscy są moralnie nadgnili, ten ich Hitler złamał im kręgosłup, i to na zawsze.

Stali w korytarzu mieszkania Schulza. Przez otwarte drzwi kuchenne padało na nich łagodne światło. Ewa prosiła Klause, żeby wszedł do pokoju, ale on nie chciał. Potem on ją poprosił, żeby poszła z nim na spacer, ale tym razem ona nie chciała. Ścisłe rzecz biorąc, oboje mieli ten sam powód. Tak więc stali na razie w korytarzu. Czułościom, którymi się wzajemnie obdarzali, brak było błogiej bez troski.

— Tak oczywiście dalej być nie może — powiedział Klaus, oswobadzając się z objęć Ewy. — Musimy tym starym przykom, zapatrzonym w ten swój ramolowaty świeatek, wyklarować, że ziemia dalej się obraca. Kto im dał prawo, żeby rzucać się na nas zjednoczonymi siłami? Wystarczy już, że robił to twój brat. A może czuje się dopiero wtedy pewny i bezpieczny, kiedy go osłania ten Hirsch?

— Martin Hirsch jest przyjacielem mego brata — powiedziała Ewa. A po chwili wahania dodała: — I mogę chyba powiedzieć, że jest także moim przyjacielem.

— Co takiego? Czy mnie słuch nie myli? Ten stary przyk?

— Klaus — powiedziała Ewa spokojnie — znam Martina Hirscha trochę dłużej niż ciebie. Znam go właściwie od urodzenia.

— Właśnie! Mógłby być twoim ojcem! Zdaje się, że zgrywa się tu na pocziwego wujaszka. Ale co to wszystko znaczy? Kochasz mnie czy nie?

— Głupie pytanie — odpowiedziała Ewa z hamowaną czułością. — Ale jak tak sobie wszystko dokładnie rozważę, to kocham również Martina Hirscha, oczywiście w zupełnie inny sposób.

— Dziękuję ci. To mi dopiero pociecha!

— Popatrz — powiedziała Ewa, dotykając jego ramienia, które on natychmiast cofnął — czy można nie kochać czo-

wieka, o którym się wie, że gotów jest zrobić wszystko, aby na tę miłość zasłużyć?

— Co to ma znowu znaczyć? Czy chcesz przez to powiedzieć, że ten stary przyk gotów byłby nawet się z tobą ożenić?

— Ożeniłby się ze mną nawet bez względu na okoliczności.

Klaus spojrział na nią zmieszany.

— Bez względu na okoliczności? :\*

— Tak. Na przykład nawet wtedy, gdybym miała już dziecko.

— Tym masz dziecko?

— Może — powiedziała Ewa cicho. Potem nagle tak się zmieszała, że zrobiła się cała czerwona. I ochryplym głosem dodała: — Ale proszę cię, nie pytaj teraz, z kim mogłabym mieć to dziecko.

— To niepojęte — powiedział Klaus Gisenius. — To nie może być prawdą!

— Jeżeli nie chcesz tego uznać, drzwi znajdują się tuż za tobą.

— Co takiego?! — zawołał Klaus, trzęsąc się jak w febrze. — Tyś chyba postradała zmysły! Wskazujesz drzwi ojcu swego dziecka?

Trochę bezradnie rozpostarł ramiona. Ewa przytuliła się do niego. Otoczył ją ramieniem. Złączeni uściskiem długo stali tak bez słowa, nieruchomo, poddając się falom tkliwości i czułości.

— Nie możesz tu tak stać — powiedział nagle Klaus z przejęciem. — Musisz usiąść, trzeba się teraz szanować.

— Ach, Klaus! — zawołała Ewa uszczęśliwiona. — Obawiam się, że matka twego dziecka jest bardzo głupiutką dziewczyną.

— Za to ze mnie człowiek niezwykle mądry — powiedział śmiejąc się Klaus. — Zawsze wszystko potrafię przewidzieć, od samego początku.

— I co teraz będzie, Klaus?

— To, co być musi.

— Nie będzie to proste.

— Ale będzie zabawne — powiedział Klaus bez troski. — Choćbyśmy nawet przy tej okazji mieli wysadzić w powietrze cały ten klub weteranów!

Tantau odwiedził kawiarnię Liedtkego nie bez powodu: pan Liedtke pochodził z Królewca i miał doskonały przepis na oryginalne królewskie marcepany.

— Dobrze, że pan przyszedł! — zawołał Liedtke. — Po trzeba mi jest pański sąd. Jak panu wiadomo, bardzo trudno jest uzupełniać marcepan czekoladą. Otóż mam wrażenie, że udało mi się nareszcie sporządzić zupełnie nie zwykłą mieszankę.

Po tych słowach wybiegł. Po chwili wrócił z tacą, na której leżały okrągłe kawałki marcepana oblewanego czekoladą.

Tantau zaczął kosztować ten przysmak — na twarzy jego pojawił się wyraz takiego napięcia, jakby był uczonym i przeprowadzał bardzo ważne badania naukowe. Po drugiej próbie powiedział:

— Coś cudownego! Znalazł pan właściwe rozwiązanie. Wydaje mi się, że cała tajemnica polega na tym, aby nie oblewać marcepana czystą czekoladą, lecz poddać czekoladę specjalnemu procesowi, dzięki któremu smak jej upodabnia się do smaku marcepana.

— Powinien był pan zostać cukiernikiem! — zawołał Liedtke zachwycony.

— Być może. Na pewno niejedno zostałyby mi wówczas oszczędzone. Na przykład to!

Tantau wskazał drzwi wejściowe. Stał tam inspektor policji kryminalnej Sand i rozglądał się po lokalu. Kiedy zauważył Tantaua, podniósł na powitanie rękę i podszedł do niego.

— Proszę nas teraz zostawić samych — powiedział Tantau do cukiernika. — Ale żeby mi się pan nie ważył zabierać tych marcepanów.

Inspektor Sand miał zatroskaną twarz.

— Udało się panu ustalić, kto ma na sumieniu małego Konstantina Kerzego? — zapytał Tantau.

— Tak — odparł Sand z goryczą. — Przed jakąś godziną. Udałoby mi się to o wiele wcześniej, gdyby nie weszła mi w parady inna sprawa.

— Ale chyba nawet wtedy byłoby to nie dość wcześnie.

— Chyba tak — powiedział Sand. — Pan wyprzedziłby nas prawdopodobnie w każdym wypadku. Mimo to rad bym wiedzieć, od kiedy był pan pewien, że sprawcą jest Saffranski.

— Drogi Sand, wywietrzyłem to już po kilku godzinach. Nie mam jednak do dyspozycji aparatu policji kryminalnej i tak całkowicie bezspornie nigdy nie mógłbym tego udowodnić.

— Ale pan sprytny! — zawołał Sand z uznaniem, aczkolwiek nie było mu to w smak. — Nigdy pan się nie przyzna, że, ściśle biorąc, działał pan przeciw policji.

— Skądże znowu, mój drogi — powiedział Tantau polubownie. — Byłem tylko trochę szybszy. Proszę pamiętać o tym, że zacząłem kilka godzin wcześniej, to była moja szansa. Praktycznie rzecz biorąc, wywietrzył pan to w tym samym czasie. To była dobra robota.

— Może i dobra — rzekł Sand — ale na pewno nie bez zarzutu.

— Nie? — zapytał Tantau przeciągle.

— Dziś rano ktoś odwiedził Saffranskiego. Rysopis tego człowieka jest identyczny z pańskim, panie Tantau. Ma pan jakieś zastrzeżenia?

— Ależ nie! — powiedział Tantau ugodowo. — No tak, trochę sobie z tym dziwnym typem pogadałem.

— I o czym to, jeśli można wiedzieć?

Tantau wyszukał sobie najpierw smakowity kawałek marmelady i dopiero potem rzekł:

— Mam dla pana taką propozycję: pan mi powie, co mówił o tej rozmowie Saffranski, a ja dodam do tego komentarz.

— Jeszcze i to! — powiedział Sand. — A więc tak jest pan pewien swego! Ale powinienem był wiedzieć o tym.

— No właśnie — pozwolił sobie zauważyć Tantau. — Bo nie trzeba było w ogóle bawić się ze mną w kotka

i myszkę. Znam się na tego rodzaju chwytach. Jeżeli więc pana dobrze zrozumiałem, to chciał mi pan teraz zakomunikować, że żadne zeznanie Saffranskiego na temat mojej rozmowy z nim nie istnieje... z tego prostego powodu, że nie mógł go już złożyć.

— Tak — odparł Sand, przyjmując swą porażkę z godnością.

— Saffranski nie żyje. Otruł się.

— To było też najlepsze rozwiązanie — powiedział Tan-tau cicho.

— Ale rozwiązanie bez sprawiedliwości.

— Niech pan nie myli sprawiedliwości z wymiarem sprawiedliwości. Sąd może się nie tylko mylić, ale i wydać wyrok wręcz niesprawiedliwy. Znamy przecież sprawiedliwość, która służyła państwu-zbrodniarzowi, znamy wykonawców tej sprawiedliwości, którzy mimo to do dziś pełnią swoje funkcje. I skoro dziś policja kryminalna z nimi współpracuje, to może jej się zdarzyć, że w tym czy innym przypadku zaaprobuje dawne zbrodnie i byłych zbrodniarzy.

— W wypadku takiego morderstwa jak to nie grozi nam niebezpieczeństwo, o którym pan mówi.

— Mój drogi Sand — powiedział Tantau — wie pan dobrze, że jestem i zawsze byłem przeciwnikiem kary śmierci. Bo zawsze, gdy jurysdykcja może uśmiercać, uśmierca ona również niewinnych, nieuleczalnych chorych, niepoprawnych idealistów i wreszcie każdego, kto rzekomo zagraża danemu ustrojowi. Nienawidzę kary śmierci... Ale co zrobić z mordercą, który morduje na tle seksualnym, który morduje dzieci, bo inaczej nie może? Nie, nie uważam, żeby jurysdykcja miała prawo go uśmiercić. Moim zdaniem nawet takich przestępców nie wolno uśmiercać. Mordercy, którzy mordują na tle seksualnym, to są ludzie chorzy, pomyleni. Jeżeli chce się zabezpieczyć przed nimi społeczeństwo, należy ich izolować w specjalnych zakładach; kat tego problemu nie rozwiąże. Uważam, że taki morderca powinien mieć możliwość sam skończyć ze swoim okropnym życiem, obojętne, czy z przerażenia przed samym sobą, czy po prostu ze strachu.

— Iw odpowiedni sposób przedstawił mu pan tę możliwość? — W głosie Sanda zabrzmiało rozgoryczenie.

— Ta sprawa jest już załatwiona — uciał Tantau.

**D**zień dobry — powiedział Michel Meiners. Stał przy drzwiach, niepewny, zakłopotany, jakby miał uczucie, że się narzuca. Twarz jego przypominała kolorem biały owczy ser i poorana była bliznami — grubymi, czerwonymi krechami, podobnymi do owych krech, jakimi zdobią sobie twarze Indianie spo-sobiący się do wypraw wojennych.

Michel Meiners spoglądał na stojących przed nim przyjaciół — bo wszyscy stali, ani jeden nie siedział. Sześć par oczu spoglądało na Meinersa. Patrzyli na niego zatroskani, zdenerwowani, zaskoczeni, zdumieni i nieufni.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — rzekł Michel Meiners, zdławionym głosem. — Ale niejaki pan Tantau uważał, że powinienem tu przyjść.

— Witamy! — rozległ się teraz z grupy sześciu jakiś głos. — Serdecznie witamy!

Słowa te wypowiedział Konrad Gisenius, który zawsze pierwszy się decydował, kiedy trzeba było powziąć jakąś decyzję. Śmiałym krokiem podszedł do Meinersa i stanął przed nim. Próbował się przy tym z pewną serdecznością uśmiechnąć. I zapytał:

— No cóż, poznajesz mnie?

Oczy Michela Meinersa prześliznęły się po wszystkich sześciu twarzach, po masywnej drewnianej boazerii, jaką wyłożone były ściany tej tak zwanej chłopskiej izby, po zasłonach w orły, trzymany w pastelowych barwach, i spoczęły na stojącym przed nim człowieku.

— Gisenius — powiedział Meiners bezdźwięcznym głosem.

— To pięknie, że mnie jeszcze pamiętasz.

— Czemu nie miałbym pamiętać? — Meiners uśmiechnął się trochę sztucznie, ale zbyt długo się nie wahał i ucisną wyciągniętą do niego rękę.

Ten wyraźnie pojednawczy gest sprawił Giseniusowi niemalą ulgę. Odetchnęła również część jego przyjaciół. Wyglądało na to, że lody zostały przełamane.

— Tak — powiedział Gisenius i potrząsnął ręką Michela Meinersa z demonstracyjną serdecznością. — Jestem

Gisenius. Zostałem tym, czym już wtedy chciałem być: adwokatem z własną kancelarią.

— Widać to było po nim już wtedy — powiedział Martin Hirsch. — Zawsze sprawiał wrażenie, jak gdyby prowadził właśnie jakiś proces. Z nas wszystkich on najmniej się zmienił.

— Hirsch, prawda? — Meiners uśmiechnął się teraz po raz pierwszy. Nie był to wprawdzie uśmiech promienny, ale było w nim coś, co świadczyło o tym, że Hirsch był dla Meinersa miłym wspomnieniem. Meiners też pierwszy wyciągnął do Hirscha rękę. Hirsch uściskał ją serdecznie i powiedział:

— Chyba pamiętasz, że lubiłem wielki świat i wygodne życie. No więc na swój sposób próbowałem urzeczywistnić te swoje marzenia. Zaczepiłem się w branży hotelarskiej. Zresztą z takim rezultatem, że czasami chce mi się od niej odczepić.

Z kolei podszedł do Michela Meinersa Karl Schulz. Kroczył miarowo, poważnie, niemal uroczyście. I patrząc Meinersowi prosto w oczy, powiedział:

— I ja cię serdecznie witam, Meiners. Cieszę się, że żyjesz. Zawsze starałem się być ci dobrym kolegą... i niech tak już pozostanie.

— Dziękuję ci, Schulz. — Michel Meiners poczuł się wzruszony. Tyle na raz tak nieoczekiwanie szczerze brzmiące przychylności. Nie spodziewał się czegoś takiego.

— Nasz Karl Schulz — poinformował go Hirsch — awansował tymczasem na kierownika stacji benzynowej. Ma tam wprawdzie trzy razy większą pensję niż dawniej, kiedy był kapralem, ale za to trzy razy mniej ludzi, których może poganiać. Jedyne na urządzanych od czasu do czasu spotkaniach koleżeńskich jest znowu w swoim żywiole.

— Bzdury — mruknął dobrodusznie Schulz.

— A ja jestem Kerze! — Willy Kerze wysunął się do przodu z grupki pozostałych i usiłował okazać radość, ale nie zanadto, ostatecznie był w żalobie.

— No, ty się bardzo zmieniłeś — rzekł Michel Meiners.

— Tylko zewnętrznie — obruszył się Kerze. — W ciągu lat przybyło mi jakieś sto kilo, to jest ta cała przyczyna.



— Kopie sobie zawczasu grób nożem i widelcem  
— wtrącił Hirsch. — Wybrał tym samym najpiękniejszy  
wprawdzie rodzaj śmierci, ale nie umie się tym delek  
tować.

Gisenius chrząknął ostrzegawczo. Zdaniem jego Hirsch  
przebrał miarę wypowiadając lekkomyślnie takie słowa jak „grób  
i „śmierć”. Nie było to w tym momencie wskazane. Żeby więc  
odwrócić od tych przykrych rzeczy uwagę, Gisenius powiedział:

— Naszemu przyjacielowi Kerzemu powiodło się z nas  
wszystkich najlepiej!

— I to także tylko tak z zewnątrz wygląda! — zaprotestował  
Kerze.

— Nasz Kerze — ciągnął dalej Gisenius — stworzył niemal z  
niczego całkiem nową gałąź przemysłu.

— Z gówna, że tak powiem — wtrącił Hirsch. — Albo raczej z  
gliny, co prawie na jedno wychodzi.

Rzuciwszy Hirschowi karcące spojrzenie, Gisenius zajął się  
znowu Meinersem.

— Ale ty przecież, o ile mnie dobrze poinformowano,  
sam na własne oczy widziałeś na Targach stoisko naszego  
przyjaciela Kerzego.

Michel Meiners nic na to nie powiedział. Poczł nagle, że robi  
mu się słabo. Już od lat tak z nim było: nagle ni stąd, ni zowąd  
uczucie całkowitej utraty sił, uderzenia krwi do głowy i takie  
uczucie, jakby kości miał wydrążone, a ciało jak gąbka. Miał  
wrażenie, że jacyś rozwścieczeni bokserzy walą w niego  
pięściami jak w worek z piaskiem.

— Gdybyś kiedyś potrzebował mojej pomocy — rzekł  
wielkodusznie Kerze — to się nie krępuj.

— Nasz Willy Kerze już niejednemu z nas pomógł  
— oświadczył Gisenius. — Na niego można liczyć.

— Pod tym względem czasami można — rzekł Hirsch.

— Dziękuję — powiedział Michel Meiners słabym głosem i  
podał również Kerzemu rękę.

— Teraz na mnie kolej, brachu! Poznajesz mnie? Przyjrzyj mi  
się dobrze. Czy ta twarz nie jest jedyna w swoim rodzaju?  
Absolutnie bezkonkurencyjna! Niektórzy twierdzą, że patrzę  
czasami jak mała. Uważam to za komplement, któż

bowiem potrafi patrzeć smętniej od małpoluda? Nawet sobie nie wyobrażasz, jak pierwszorzędnie prosperuje mój interes.

— Frammler! — powiedział Michel Meiners.

— Tak jest! — zawołał Frammler zadowolony. — W tamtych czasach służąca do wszystkiego: krawiec, kucharz, fryzjer, a dziś tylko specjalista od pogrzebów. Dziwisz się, co? Zakład pogrzebowy Frammlera! Zakład bezwzględnie pierwszej klasy. Przyjaciele otrzymują rabat lub jak wolisz, prowizję.

Michel Meiners podał i jemu rękę. A potem zwrócił się twarzą do ostatniego z obecnych.

— Bennicken — powiedział tamten szorstko, nie ruszając się z miejsca.

— Poznaję — powiedział Michel Meiners ponuro i nie wyciągnął do niego ręki.

— Dlaczego my właściwie nie siadamy?! — zawołał Gisenius, żeby rozładować kłopotliwą sytuację. — Zajmijcie miejsca, drodzy przyjaciele, i niech Michel Meiners usiądzie między nami. Jako gość, że tak powiem, honorowy.

Usiedli. Michela Meinersa posadzono między Karlem Schulzem a Martinem Hirschem.

Frammler postawił przed nim ogromną szklanicę od piwa i zaczął napelniać ją nalewką z malin.

Karl Schulz zwrócił się do Michela Meinersa z nieostrożnym pytaniem:

— Kiedy już teraz wiesz, jakie były nasze losy, to może byś powiedział coś niecoś o sobie. Co się z tobą działo przez te lata?

— A może byśmy tak naprzód wypili — zaproponował w samą porę Gisenius.

Wszyscy z miejsca gotowi byli się temu wezwaniu podporządkować, wszyscy z wyjątkiem Meinersa. Ten popatrzył na Karla Schulza i powoli powiedział:

— Kiedy zostałem wtedy na skraju lasu, sam, dostałem się w skoncentrowany ogień... Strzelano ze wszystkich stron, miałem wrażenie... tam, gdzie leżałem, ziemia była zryta na głębokość jakichś dwóch metrów. Krwawiłem jak zarzynany prosiak. Zdawało mi się, że mnie rozdzierają na

strzępy. Potem straciłem przytomność... Kiedy po wielu tygodniach odzyskałem świadomość, leżałem w jakimś nędznym szpitalu polowym.

— Okropne! — zawołał Gisenius. Trudno było oczywiście zgadnąć, co miał przy tym na myśli. Pozostali milczeli. Po chwili Gisenius westchnął cicho: — Tak, wojna... Ale po co to wszystko na nowo rozgrzebywać. Nikomu to niepotrzebne, jestem o tym przekonany. I tobie chyba też nie, prawda, Meiners? A może się mylę?

— Nie — odparł Meiners dosyć stanowczo. — Dajmy spokój tym starym historiom.

— Brawo! — zawołał Gisenius. — Święte słowa. Za to powinniśmy wypić, koledzy. Czy ktoś jest temu przeciwny?

Nikt z obecnych nie był temu przeciwny. Wypili więc. Tylko Meiners nie pił. Niektórym wydało się to podejrzane.

— Czy masz coś przeciwko nam? — zapytał niezdarnie Kerze.

— Dlaczegoż by miał mieć coś przeciwko nam? — zawołał szybko Gisenius. — Prawda, Meiners? Co było, to było!

— Jestem tego samego zdania — powiedział Meiners z trudem.

— I masz świętą rację — zapewnił go Gisenius. I zaraz dodał: — Tylko takie rozumowanie jest słuszne! O jednym bowiem nie wolno nam zapominać: wojna to nie zabawa. Najważniejsze, żeby wyjść z niej jako tako przyzwoicie. W tym wypadku tak właśnie było! Zgadza się Meiners?

— Ależ tak! — powiedział Meiners słabym głosem.

Na twarzy Giseniusa pojawił się wyraz tryumfu. Rzadko kiedy zdradzał się ze swymi uczuciami, ale tym razem nie potrafił ich ukryć. Mądrość jego zdała egzamin na piątkę, wytrwałość została nagrodzona: wielkie niebezpieczeństwo minęło.

— Nie sprawiłeś nam zawodu, drogi Meiners. — Gisenius podniósł w górę kieliszek. — Tak samo jak my do szedłeś widać do wniosku, że trzeba żyć terazniejszością, że nie wolno utrudniać sobie życia wspomnieniami o przeszłości. — Zrobił małą pauzę. A ponieważ Meiners nie

odezwał się ani słowem, dodał: — Koledzy! Dzień dzisiejszy jest dla nas bardzo ważny. Winniśmy to uczcić.

I Gisenius ujrzał same zadowolone twarze; zdawało mu się, że może zaliczyć do nich również twarz Meinersa. Wszyscy jego koledzy podnieśli w górę kieliszki, otoczyli Meinersa kołem i gotowi już byli przerzucić się w radosny nastrój. Gisenius był pewien, że odnieśli całkowite zwycięstwo. Pozostawało *jeszcze tylko* do załatwienia parę drobiazgów, i dlatego Gisenius opuścił na chwilę swych kamratów, aby przeprowadzić kilka ważnych rozmów telefonicznych.

— To było najlepsze i najmądrzejsze, co mogłeś zrobić — rzekł Frammler do Meinersa. — Mam wrażenie, że w ciągu tych lat bardzo zmieniłeś się na korzyść.

— Lubię takich ludzi jak ty — rzekł Schulz wzruszony i opróżnił kieliszek.

Karl Schulz był przeświadczony, że wszystko jest na tym świecie w jak najlepszym porządku.

— Niesłuchanie wygodny człowiek. — Martin Hirsch uśmiechnął się przekornie. — To oczywiście bardzo sprawę ułatwia.

— Postawa, jaką zajął, to jedyne możliwe wyjście z sytuacji — powiedział Willy Kerze z naciskiem. — Bo dokąd byśmy zaszli, gdyby każdy chciał mierzyć całokształt sprawy swymi prywatnymi, osobistymi doświadczeniami? Rzecz nie do pomyślenia!

— Tak, nie do pomyślenia — powiedział Frammler, przełykając potężną porcję wysokoprocentowej malinowej nalewki.

Bennicken siedział nieruchomo jak wykuty w granicie wartownik. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Głównym ośrodkiem zainteresowania był Michel Meiners. Nawet braku Giseniusa nikt nie odczuwał — ostatecznie wszystko było już jasne.

— Każdy z nas — powiedział w pewnej chwili Kerze — ma swoje troski, udręki i cierpienia. Zwłaszcza ja mógłbym na ten temat wiele powiedzieć! A czyż skręcam się z bólu, czy płaczę, czy jestem zrozpaczony? Nie, staram się przejść nad tym do porządku dziennego. Mówiąc krótko i wężłowato: człowiek spełnia swój psi obowiązek.

— A cóż robić innego? — zapytał Frammler. — Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą! Gdzie chodzi o wielkie sprawy, padają trupy! To zrozumiałe samo przez się.

.— Los — rzekł Karl Schulz z głębokim westchnieniem.

— Wygodna wymówka — zauważył Martin Hirsch.

Ale Kerze ciągnął dalej grzmiącym głosem: — Wszyscy ponieśliśmy ofiary! Oczywiście i Michel Meiners! Ale nie on jeden! O tym powinieneś zawsze pamiętać, Meiners, a wtedy na pewno łatwiej ci będzie znosić różne rzeczy.

— Nie bardzo rozumiem — wyjąkał Michel Meiners. — Czyżby wymagano ode mnie jeszcze tego, żebym prosił o przebaczenie?

— Nikt tu nie wysuwa żadnego żądania — powiedział Kerze z naciskiem. — Nikt! I ty chyba również nie, co? Bo przecież prawdziwy kolega nigdy nie będzie próbował obciążać drugiego kolegi, byłoby to kalaniem własnego gniazda.

— Co takiego?! — zawołał Meiners. — Czy na dobitkę chcecie jeszcze zwalić winę na mnie za to, coście sami zrobili?

— Człowieku — wmieszał się Frammler — może mamy paść tu na kolana i błagać o przebaczenie za to, że ktoś kiedyś w nieodpowiednim momencie wychylił się z okopu? *Nie*, pęknąć można ze śmiechu!

— Zachowujcie się przyzwoicie, koledzy! — krzyknął Karl Schulz ostrzegawczo.

— Tak być nie może! — zawołał Michel Meiners. — Ten problem nie da się rozwiązać w ten sposób.

— To milcz! — warknął groźnie Bennicken.

— Ani mi się śni wobec tego rodzaju pretensji! — zawołał Meiners, trzęsąc się z gniewu. — Przyszedłem tu po to, aby się pojednać. I to z całą szczerością. Ale nie przyszedłem po to, żeby mnie tu znieważano.

— Nikt przecież nie zamierza tego robić — zapewnił go Kerze. — Wmawiasz to sobie. I zapewne nie tylko to.

— To już jest bezczelność! — Michel Meiners wstał. Dygotał cały z oburzenia. Był straszliwie rozczarowany. — Byłem na wszystko gotów, byłem gotów całą tę sprawę przemilczeć. Byłbym przyjął każde przeprosiny i każde uspra-

wiedliwienie, obojętnie, mniej czy bardziej wiarygodne. Ale że mam być nie tylko głupcem, ale jeszcze i winowajcą, to tego już za wiele! To po prostu bezgraniczna podłość!

— Koledzy! — zawołał błagalnie Karl Schulz. — Apeluję do waszego poczucia solidarności koleżeńskiej!

— Ale tak idiotycznie nie można ze mną rozmawiać! — zawołał Meiners. — Jeżeli to ma być koleżeństwo, to ja sram na takie koleżeństwo!

Karl Schulz aż zamarł ze zgrozy. Jakoś nie dotarło do niego, że słowa Meinersa dotyczą nie jego, lecz jego kolegów. Dla niego było jasne tylko jedno: że jego koleżeński apel został w brutalny sposób zlekceważony i odrzucony.

— A więc tak wygląda dla Meinersa pojednanie! — zawołał prowokacyjnie Frammler.

— Co to w ogóle za ton?! — ryknął Kerze, tracąc panowanie nad sobą. — Tak z nami rozmawiać nie można! Żądam z całą stanowczością, aby Meiners nas przeprosił. I to zaraz.

— Ja, przepraszać?

— Oczywiście! — Kerze wyglądał jak lew, który szykuje się do skoku. — Na nas nikt nie będzie srać bezkarnie!

— Meiners zaraz poprosi o przebaczenie — wmieszał się Schulz, starając się doprowadzić do zgody. — Zrobisz to, Meiners, prawda?

— Nie! — zawołał Michel Meiners. — Nie chcę mieć z wami nic wspólnego. Myślałem, że wasz ówczesny postępek był wynikiem czysto ludzkiej słabości, że wasze dzisiejsze ociąganie się wypływa z poczucia wstydu. Byłem gotów wszystko przekreślić, raz na zawsze, ale przekreślić wspólnie razem z wami. I jeżeliście do tej pory byli przekonani, że zostałem wówczas zabity, to teraz wiem, że to wy przestaliście wtedy dla mnie istnieć. Słyszycie mnie? W moich oczach to wyście wtedy umarli!

Karl Schulz, wstrząśnięty do głębi, pochylił głowę. Martin Hirsch spoglądał na Meinersa ze zdumieniem. Frammler zaczął bez żadnego powodu chichotać. Kerze ryknął jak lew:

— Tfu, do diabła!

— Rzygać się chce! — mruknął gniewnie Bennicken.

— A tak, rzygać! — powtórzył Meiners, trupioblady, dygocący ze zdenerwowania. A potem nagle się odwrócił i jakby gnany jakąś potężną siłą pobiegł do drzwi. Tu zderzył się z Giseniusem.

Nic nie przeczuwający Gisenius wracał właśnie od telefonu. Był absolutnie pewny, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. To miłe uczucie dodawało mu skrzydeł. Zderzywszy się z Meinersem, zawołał rozpromieniony:

— Ależ, kolego, nie tak gwałtownie!

— Ja mam dosyć tego rodzaju koleżeństwa! — zawołał Meiners drżącym głosem. I wybiegł z sali, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Wszyscy zbaranieli i spoglądali na Giseniusa błędnym wzrokiem. Przełknąwszy parę razy ślinę, Gisenius zapytał zbolalym głosem:

— Co to było?

— Spotkanie koleżeńskie — odparł z ironią Martin Hirsch.

**C**o mam robić? — zapytała Karen Kerze. — Człowiek, którego kocham, nie chce mnie, a człowiek, który chce się ze mną ożenić, nie podoba mi się. — Jest to jeden z najpospolitszych problemów — rzekł pobłaźliwie Tantau. — I gdybym miał odpowiedzieć bez namysłu, rzekłbym; niech pani puści kantem jednego i drugiego! Ale byłoby to jedynie zgodne z prawem pięści. Aby powiedzieć coś więcej, musiałbym znać bliższe okoliczności. Ale nie chcę żądać ich od pani.

— Dlaczegoż to?! — zawołała Karen. — Byłby to z mej strony dowód zaufania.

Spacerowali po jednym ze skwerów w samym sercu miasta. Spacerowali w promieniach łagodnego wiosennego słońca: mały, stary, podobny do jamnika człowieczek o twarzy porytej zmarszczkami, marnie, choć czysto ubrany, i filigranowa dziewczyna z lalkowatą, słodką buzią.

— A więc — rzekł Tantau, mrużąc oczy — pierwszym na pani liście jest Martin Hirsch, prawda? Niech pani tak na mnie nie patrzy, nie jestem czarnoksiężnikiem i nie umiem czarować, ale mam dosyć dobry słuch i potrafię powiązać sobie pewne rzeczy.

— Fantastyczne! — powiedziała Karen. — Powoli zaczynam się przyzwyczajać do tego, że wie pani literalnie wszystko.

— Czy Hirsch robił pani jakieś nadzieje?

— Z początku wszystko na to wyglądało — powiedziała Karen ucziwie. — Ale potem, gdy zaczynała się już z tego robić poważna sprawa, wycofał się nagle, czmychnął, że tak powiem, jak spłoszony koń.

— Mogę sobie wyobrazić — rzekł Tantau, uśmiechając się. — Bo przecież Martin Hirsch, mimo tej całej legendy, jaka wokół niego krąży, wcale nie jest rozpustnikiem i dzi-wkarzem.

— Ma jednak swoje słabostki, ale niestety nie w stosunku do mnie. Mam wrażenie, że boi się mego ojca.

— Możliwe, ale niekoniecznie prawdopodobne — powiedział Tantau. — Skłonny jestem raczej przypuszczać, że Hirsch należy do tych rzadkich typów, które nie dążą za wszelką cenę do wygody i którym nie zależy na regularnych zyskach. Hirsch, gdyby chciał, potrafiłby w każdej chwili zacząć zupełnie od nowa.

— Dlaczego nie chce zrobić tego ze mną?

— Może Hirsch wie o pani prawdziwych uczuciach więcej niż pani sama. Zna pani rodzinę i orientuje się w waszych stosunkach. Prawdopodobnie czuje instynktownie, że nie szuka pani kochanka, lecz ojca!

Karen przystanęła. Jej smukła sylwetka obramowana była teraz wspaniałymi kiściami liliowego bzu, bo akurat w tym miejscu rósł bez. Na jej dziecinnej twarzyczce pojawił się wyraz najwyższego zdumienia.

— O tym — powiedziała wreszcie — nigdy jakoś dotąd nie pomyślałam. A może warto by było. Nie sądzi pani, że byłoby dobrze, gdybym spróbowała wybać, co właściwie sam Martin Hirsch o tym myśli?

— Przecież próbowała pani tego już niejednokrotnie?



— Ale teraz widzę wszystko jaśniej.

Tantau roześmiał się i delikatnie uderzył Karen po ramieniu.

— Nie powstrzymuję pani od tego, bo wiem, że się pani powstrzymać nie da, jako że jest pani zdecydowana zrobić z tą sprawą gruntowny porządek.

— Tak. I ja chcę zacząć od nowa.

— Wierzę, że pani to potrafi. Ale co będzie z Bartoschem?

— Jemu kobieta jest w ogóle niepotrzebna!

**T**o wprost katastrofa! — zawołał Gisenius po odejściu Michela Meinersa i opadł na krzesło. Skóra na jego twarzy przypominała szarą bibułę. — Parszywy typ! — mruknął pogardliwie Ben-nicken.

A Frammler, pocierając ręce, jakby mu było zimno, zauważył:

— Chciał nas wykołować! Kiedyśmy go jednak przyparli do muru, maska zaczęła spadać.

— Jesteście osły kwadratowe! — warknął Gisenius.

— Cóż mogliśmy zrobić więcej? — zapytał Karl Schulz.

— Szczerze i serdecznie wyciągnęliśmy do niego koleżeńską dłoń.

— Tak, to właśnie zrobiliśmy! — Frammler wycofał się i przezornie zajął pozycję obronną. Gdy Gisenius zaczynał szaleć, człowiek rozsądny wycofywał się na bezpieczną linię.

— Zresztą wszystko wyszłoby zupełnie inaczej — odezwał się z kolei Kerze — gdyby Hirschowi nie zachciało się błysnąć dowcipuszkami. To właśnie tak Meinersa rozjuszyło.

— Gówno! — wymamrotał Bennicken.

— Bennicken ma całkowicie rację — wmieszał się Hirsch — jeżeli rozumie przez to ową śmieszoną paplaninę Kerzego. To on cały czas drażnił i irytował Meinersa.

— Spokój! — wrzasnęła Konrad Gisenius. Ponieważ nigdy jeszcze nie zwracał się do nich takim tonem, więc nabrali

wody w usta. — Każda próba tłumaczenia się jest zbyteczną stratą czasu. Nie to jest teraz ważne, kto ponosi winę za tę katastrofę.

— W każdym razie nie ja! — zawołał natychmiast Kerze.

— Ja też nie — zgromił go Gisenius. — Chociaż nie mogę nie robić sobie wyrzutów, że na te dziesięć minut zostawiłem was samych. Ale nie przyszło mi nawet do głowy, że w tak krótkim czasie zburzycie mi to wszystko, co z takim trudem zbudowałem.

— A przy tym miałem wrażenie — powiedział Hirsch — że Michel Meiners rzeczywiście szczerze pragnął pogrzebać tę całą przeszłość.

— Ale nie mniej szczerzy był też ten jego atak szału! — zawołał Kerze.

— Ja rozumiem Meinersa — powiedział z całym spokojem Martin Hirsch. I powiem wam tylko jedno: gdybyście ze mną coś podobnego próbowali zrobić, to skopałbym was wszystkich po kolei.

— Mnie także? — zapytał groźnie Bennicken.

— Na ciebie napuściłbym jeszcze dwóch lub trzech specjalnie wynajętych siepaczy — odparł Hirsch.

Frammler zrobił łagodzący ruch ręką i uśmiechając się powiedział:

— W stosunku do ciebie na pewno byśmy czegoś takiego nie ryzykowali, ale ten szczył po prostu sam to wszystko sprowokował. Tak, ten Meiners nic się nie zmienił. Bęwał zawsze bęwałem!

— Skończcie już z tą pustą gadaniną — upomniał ich surowo Gisenius. — Skoncentrujmy się teraz na faktach. A te wyglądają następująco: kilka dni temu Meiners przybył do tego miasta i zaczął nas obserwować. Napuściliśmy na niego Tantaua, ale Meiners wymknął się nam i przeprowadził gdzie indziej. Mogło to oznaczać tylko jedno: że chce się wymigać od bezpośredniej rozmowy z nami. To już było alarmujące. Ale Tantau wytropił go powtórnie i przysłał go tutaj. Pewnie Meiners nie miał innego wyjścia; a może uznał, że nadszedł już czas. Tak więc Meiners zjawia się tutaj i udaje, że pragnie pojednania; przy czym nie wykluczamy możliwości, że z początku miał szczerzy zamiar się

z nami pogodzić. Ale potem zmienia swą decyzję, sprowokowany czyimiś nieopatrznymi i lekkomyślnymi słowami. Ale jakkolwiek było, Meiners sprowokował całkowite zerwanie stosunków.

— No i dobra! — wybuchnął Kerze wściekły. — Niech idzie do wszystkich diabłów!

— I chyba zrobi też coś podobnego, bo na pewno coś przedsięwzięmie. Może to być kampania prasowa, jakaś akcja polityczna lub proces. Albo wszystko razem. Ale to właśnie byłaby katastrofa!

— Dla nas wszystkich? — zapytał Kerze.

— Przede wszystkim chyba dla tego, kto ponosił wówczas odpowiedzialność, a więc dla naszego kochanego Schulza — powiedział bezwstydnie Frammler.

— Jeżeli zamierzacie w to zrobić tego poczciwego Schulza — powiedział Hirsch — to poparzycie sobie przy tym nie tylko te swoje brudne łapy!

Gisenius zaczął pukać pięścią w blat stołu, i pukał tak długo, dopóki nie zapanowała całkowita cisza.

— Przyjaciele — powiedział — nie zapomnijcie o tym, że wprawdzie wszyscy podlegaliśmy wówczas Schulzowi, ale Schulz przecież działał na rozkaz dowódcy kompanii. Musimy się więc wziąć za Kronshagena! On musi odciążyć Schulza, a tym samym i nas, w przeciwnym razie będziemy ugotowani.

— I zrobi to — powiedział Kerze — jeżeli jest w nim choć isierka poczucia koleżeństwa.

Tylko pana mi jeszcze brakowało! — zawołał Schulz, wróciwszy do domu. — Że też ma pan odwagę pokazywać mi się na oczy!

— Czekałem na pana wręcz z utęsknieniem — odpowiedział Klaus.

— Zejdź mi z oczu, młodzieńcze, jestem piekielnie zmęczony i całkowicie ugotowany. Może to dla pana jedyna szansa, żeby wyjść stąd bez szwanku.

— Karl, on ma ci rzeczywiście do zakomunikowania coś ważnego — powiedziała Ewa z rozbijającym uśmiechem.

— Zaparz mi kawy — rzekł Schulz z trudem. — I otwórz drzwi, żeby ten młodzieniec mógł się stąd ulotnić.

— Komiczna z pana figura — powiedział bez żenady Klaus Gisenius. — Chce pan gwałtem wyrzucić za drzwi swego szwagra? Czy to jest rzeczywiście nieodzowne?

— Czego ja chcę? — zapytał Karl Schulz zdumiony. — Mojego szwagra? A któż to taki?

— Ja — odparł Klaus Gisenius bez zająknięcia.

Karl Schulz potrząsnął gwałtownie głową, parsknął i zawołał: — Co to za głupie dowcipy?! Wypraszam to sobie! Ewa uśmiechnęła się do brata i powiedziała rozpromieniona:

— Klaus mówi zupełnie poważnie.

— Poważnie? Więc to prawda? — zapytał Schulz, całkowicie zbity z tropu.

— Oczywiście! — zawołał Klaus. — Ewa i ja zamierzamy się pobrać. To już rzecz postanowiona. Ale jeżeli pan przywiązuje wagę do tego, żebym prosił pana o rękę pańskiej siostry, to gotów jestem pójść na to błżeństwo.

Karl Schulz dyszał ciężko, jakby dopiero co zwałił olbrzymią jodłę. I dopiero po chwili powiedział szorstko:

— Posłuchaj mnie, młodzieńcze! Choć moja siostra ma zostać matką, to nie jest to jeszcze powód, żebym ją siłą wydawał za mąż. Zrozumiano? Dziecko to jedna sprawa, miłość druga, a małżeństwo to jeszcze coś innego.

— Być może — powiedział Klaus z niewzruszonym spokojem. — Ale u nas wszystko to się razem połączyło.

— My się kochamy! — zawołała Ewa.

— No, jeżeli sprawa tak wygląda — powiedział Schulz, przybierając uroczysty wyraz twarzy i podnosząc się z krzesła — to oczywiście nie mam nic przeciwko temu. — Iz ciężkim sercem zrobił krok w kierunku Klause, który również się podniósł.

Potem Karl Schulz mocno klepnął Klause po lewym ramieniu. Klaus o mało co nie stracił przy tym równowagi.

I w oczach Schulza zabłyśły łzy wzruszenia. Potem wyciągnął ręce do siostry i przytulił ją do swej szerokiej piersi.

— Wy niecnoty! — mruknął. — Żeby mnie tak wyprowadzić z równowagi! Ale macie moje błogosławieństwo. Co u licha, z moją kawą? Ale zanim ją podasz, daj mi świeżą chustkę do nosa. Jest mi gwałtownie potrzebna.

**W**ezwał mnie pan, a więc jestem — powiedział Tantau. — Jakie ma pan życzenia? — Naprzód — rzekł Gisenius uprzejmie — muszę panu podziękować. Robota pańska była pierwszorzędna.

— Płacił pan za nią odpowiednio — odparł równie uprzejmie Tantau.

Znajdowali się obaj w tak zwanej izbie chłopskiej w Hotelu „Unter Drei Kronen”. Tantau usiadł skromnie naprzeciw Giseniusa. Bennicken stanął na posterunku pod drzwiami i stał tam z groźną i wyczekującą miną.

— Zgodnie z otrzymanym ode mnie poleceniem wytropił pan Meinersa i przysłał go pan do nas — powiedział Gisenius. — Niestety rozmowa z panem Meinersem nie dała spodziewanych rezultatów. W związku z tym mam kilka zasadniczych pytań. Pierwsze: czy wie pan, gdzie się Michel Meiners obecnie znajduje?

— Wiem.

— Doskonale. Pytanie drugie: czy zdążyliście się już panowie tak zaprzyjaźnić, że mógłby mieć pan pewien wpływ na jego decyzje?

— A gdyby tak było, panie Gisenius, to jakie miałyby pan w związku z tym życzenia?

— No więc proponowałbym zawieszenie broni, choćby na dwadzieścia cztery godziny. Sądzi pan, że dałoby się to osiągnąć?

— Możliwe. Ale co chce pan przez to zyskać?

— Nowe zlecenie dla pana. Niech się pan postara o to, aby pan Meiners dobrze się zastanowił nad swym następnym

krokiem i żeby na razie nic nie przedsięwbrał, przynajmniej do jutra. To nam powinno wystarczyć. Mógłby pan przez ten czas przeprowadzić parę wywiadów. I cóż pan na to?

— Będę mógł odpowiedzieć dopiero wtedy, gdy będę wiedział, jakie są pańskie zamiary.

— Jest pan bardzo uparty. No cóż, jeżeli chodzi o moje zamiary, to mogę powiedzieć tylko jedno: nie chcę nikomu szkodzić!

— Michelowi Meinersowi też nie?

— Ależ, panie Tantau! Los Michela Meinersa jest godny pożałowania, któż mógłby temu człowiekowi nie współczuć? Jeżeli nawet stracił panowanie nad sobą i dał folgę swojemu rozgoryczeniu, któż by nie potrafił się zdobyć na wyrozumiałość?

— Czy to znaczy, że między Michelem Meinersem a panem i pańskimi przyjaciółmi doszło do ostrego starcia?

— Było to raczej obustronne nieporozumienie. Zaznaczam przy tym, że doszło do tego podczas mojej nieobecności, bo akurat musiałem w tym czasie przeprowadzić kilka pilnych rozmów telefonicznych.

— A to pech — powiedział Tantau sucho. — Taki już jest los ludzi rozsądnych, że im nawet na myśl nie przyjdzie, co się może urodzić w głowach głupców.

— Bo widzi pan, są ludzie, którzy jak magnes ściągają na siebie wszelakie ciężki losu. Cokolwiek robią, zawsze zostają wciągnięci w gwałtowne wiry życia. Są jak przekłęci i nic ich nie może od tego uchronić.

— Chyba tylko śmierć.

Mały, niepozorny Tantau odchylił się do tyłu i oparł się o poręcz masywnego krzesła, na którym siedział. Gisenius podniósł swe delikatne ręce jakby w geście samoobrony. Bennicken stał przy drzwiach jak kawał skały na bezludnej wyspie, jak fragment kamiennego grobu jakiegoś starożytnego Huna.

— Michel Meiners — powiedział Gisenius — to ofiara owego demonizmu, który rodzi się podczas każdej wojny. Jest, że tak powiem, niewinny jak kwiatek i dlatego bezbronny wobec tych dzikich świń, które wdzierają się do ogrodów życia.

— Ile poezji w tym wszystkim, a przecież sprawa jest zgoła prozaiczna — zauważył Tantau. — Jakie praktyczne konsekwencje mam z tego wyciągnąć?

— Nie wiem, czy zawsze dobrze pana rozumiem — powiedział Gisenius ostrożnie. — Wydaje mi się jednak, drogi panie Tantau, że ma pan słabość do Michela Meinersa.

— Jest pan dobrym obserwatorem — rzekł Tantau, nie ukrywając swego zdziwienia. — Ponadto realizuje pan swe plany z wielką konsekwencją. Ale to jeszcze nie wszystkie pańskie zalety. Nie tylko że umie pan czytać w ludzkich myślach, ale jeszcze potrafi pan odgadywać cudze stany psychiczne. Między innymi i to stanowi o tym, że jest pan człowiekiem wyjątkowym... i wiele wyjaśnia.

Gisenius spuścił skromnie oczy. Po chwili powiedział:

— Znam ludzkie słabości, dostrzegam też i swoje własne. Każdy popełnia mnóstwo błędów, ale nie ma chyba człowieka, który by nie miał cech pozytywnych. Chodzi tylko o to, by umieć je dojrzeć i rozwinąć.

— A więc dobrze — powiedział Tantau, składając ręce jak do modlitwy. — Ma pan rację: nie zrobię nic, co mogłoby Michelowi Meinersowi zaszkodzić. Wie pan o tym doskonale, dlaczego więc miałbym to przed panem ukrywać?

Gisenius uśmiechnął się. Zdawało mu się, że nareszcie przejrzał tego Tantaua.

— W takim razie pod tym względem zgadzamy się ze sobą — powiedział. — Ale nie byłoby też słuszne, gdyby stała się krzywda moim przyjaciołom i mnie. Niech pan spróbuje udowodnić Meinersowi, a równocześnie sobie i nam, że główną winę ponosi tu nie jakaś określona osoba, lecz wina ta powstała wskutek nieszczęśliwego zbiegu oko liczności. I tu, w tym punkcie, rozpoczyna się pańskie następne zadanie, panie Tantau.

— Niech pan spróbuje mi to dokładniej wytłumaczyć.

Gisenius spojrział badawczo na Bennickena, ale ten stał nieruchomo; nic nie wskazywało na to, żeby w jakiś sposób brał udział w tej rozmowie.

— Dążymy — rzekł Gisenius przekonywająco — do całkowitego wyjaśnienia tej sprawy. W gruncie rzeczy więc

nie chodzi o nic innego jak o przewyciężenie naszej pożałowania godnej przeszłości.

— No więc czekam na to zlecenie — powiedział Tantau. Nie udało mu się przy tym ukryć swej ciekawości.

— Nakazem chwili jest całkowite wyjaśnienie sprawy — ciągnął dalej Gisenius. — Ale uda nam się ją do końca wyjaśnić jedynie wówczas, jeżeli prześledzimy wszystko szczegółowo od początku do końca. Aby Michel Meiners mógł znaleźć spokój i ukojenie, którego gwałtownie potrzebuje, musimy, że tak powiem, wymacać łańcuch odpowiedzialności. Oznacza to, że potrzebny nam jest teraz człowiek, który wydał wówczas ów decydujący rozkaz, nie mogąc oczywiście przewidzieć jego skutków. To jest bardzo ważny punkt, niech pan zwróci na to uwagę. Człowiek ów nazywa się Kronshagen; był wtedy, jako porucznik, odpowiedzialnym dowódcą kompanii. Zeznanie jego będzie decydujące.

— A gdzie mógłbym, pańskim zdaniem, znaleźć tego człowieka?

— Chyba we Frankfurcie. Wiemy o nim niewiele; tylko tyle, że studia skończył dopiero po wojnie, że jest prawnikiem, może adwokatem, a może urzędnikiem gdzieś w sądzie. Podobno mieszka we Frankfurcie. Otóż ma pan go wy badać, czy byłby gotów stanąć do naszej dyspozycji. Szczegóły później. Nie musi mu pan przy tym wcale sugerować, co ma konkretnie zeznać. Nie interesują nas takie szczegóły, jak na przykład stwierdzenie, że owego dwudziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego sytuacja była strasznie zagmatwana i dziś już niemożliwa do zrekonstruowania, a co za tym idzie, że nie można już dziś nikogo czynić za to odpowiedzialnym. Wystarczy nam całkowicie już samo to, że Kronshagen gotów będzie, jak dobry kolega, przyjść nam z pomocą. Sądzi pan, że dałoby się to osiągnąć?

— Pomówię z nim. Oczywiście za rezultat ręczyć nie mogę.

— W porządku. A więc przede wszystkim skłoni pan Me-inersa do tego, aby dreptał w miejscu. Potem uda się pan, jeszcze dziś w nocy, do Frankfurtu. Koszty nie grają roli. Zaznajomi pan Kronshagena z sytuacją ogólną i będzie się



pan starał uzyskać jego zgodę generalną. Resztę proszę zostawić mnie. Czy jesteśmy co do tych wszystkich rzeczy ze sobą zgodni?  
— Tak by się zdawało — rzekł Tantau ostrożnie.

Wieczorem tego dnia — a był to gdzieś dwudziesty kwietnia — Karl Schulz stał w tym pokoju, który odnajmował do tej pory niejakiej Marlenie

Sonnenberg. Schulz spoglądał z melancholią na poprzestawiane meble. Wszędzie, nawet na podłodze, leżały części garderoby i bielizny. Widok ten sprawiał lubiącemu porządek Schulzowi wielką przykrość. W pokoju unosił się słodkawy, duszący zapach.

— Nie powinieneś brać sobie tego zbyt do serca — powiedziała stojąca w drzwiach Ewa.

— Śmieję się z tego — powiedział Schulz, odwracając się twarzą do siostry. — No bo czym jest miłość bez wzajemności? Zwykłą pomyłką, niczym więcej.

— Wiem, że ją szczerze kochałeś — powiedziała Ewa miękko.

— Bzdury! — zaprzeczył Schulz gwałtownie. — Czym w ogóle jest miłość? To pole do popisu dla ludzi młodych. Kiedy miałem tyle lat, co ty i Klaus, była wojna. A na wojnie jest w miłości za dużo strachu, przypadkowości i wyrachowania. Straciłem najlepsze lata, uczucia moje zjadła wojna. Muszę się z tym pogodzić.

— A jeżeli zechce do ciebie wrócić?

— To dam jej kopniaka!

— Zasłużyła na to — powiedziała Ewa z przekonaniem. — Ale już nie wróci.

Karl Schulz kiwnął smętnie głową.

— Tak, nic nie wraca. Trzeba starać się utrzymać przy sobie to, co piękne. Postępuj tak ze swoim Klausem.

— Dam mu całkowitą swobodę — powiedziała Ewa. — Nic tak nie wiąże jak swoboda.

**O**wego wieczoru Konrad Gisenius siedział przy swoim biurku.

— Bennicken — powiedział — jak to miło wiedzieć, że jest ktoś, na kim można polegać.

— Pod każdym względem — zapewnił go Bennicken. — Co mam zrobić?

— Zrobiłeś dla nas już bardzo dużo. Ale niestety jesteś rzadkim wyjątkiem.

— Czuję się tym wzruszony — powiedział Bennicken, rzeczywiście bliski wzruszenia.

— Ty mnie rozumiesz — ciągnął dalej Gisenius. — Masz jeszcze zdrowy instynkt natur pierwotnych. Reszta ludzi to kreatury, produkty przerafinowanej cywilizacji.

— Jeżeli ty tak mówisz — powiedział Bennicken — to chyba tak jest.

— Właśnie dlatego, że tak jest — wywodził dalej Gisenius z wielce zasmuconą twarzą — wiesz też, i chyba ty jeden jedyny, jak bardzo mnie martwi taki, a nie inny rozwój wypadków. Znasz moje nastawienie do Michela Meine-rsa. Ubolewam głęboko nad tym, że wówczas twardy los nie pozostawił nam innego wyboru. Ale jeszcze bardziej ubolewam nad tym, że los ten grozi nam teraz runięciem w przepaść.

— Świństwo, jakiego świat nie widział! — zawołał Bennicken.

— Tak — powiedział Gisenius. — Stworzyliśmy sobie z wielkim nakładem energii i wytrwałości jaką taką egzystencję, w pocie czoła wywalczyliśmy sobie znowu miejsce pod słońcem, i nagle co się dzieje? Jeden głupi przypadek i zaczyna nam grozić niebezpieczeństwo, że możemy wylecieć za burtę. Czy możemy do tego dopuścić?

— Nigdy!

— No więc co mamy robić? Czy istotnie nie pozostaje nam nic prócz rezygnacji? Mówiąc teraz całkiem poważnie, Bennicken, muszę się przyznać, że nasuwa mi się w tej chwili pytanie: kto spośród nas ma w sobie tę wielkość i siłę, by doprowadzić do jedynie w danym wypadku słusznego rozstrzygnięcia?

Owego wieczoru Willy Kerze siedział w domu przy kominku. Patrzył przez jakiś czas rozmarzonym wzrokiem na wydobywające się z trudem z niezupełnie suchych polan płomienie, a potem wzrok jego powędrował ku Marlenie Sonnenberg.

Marlena, spoglądając na płonące polana, zawołała:

— Jak tu u ciebie pięknie, Will!

Powiedziała do niego: „Will”, jak nikt jeszcze dotąd do niego nie mówił; było to nie tylko miłe dla ucha, ale brzmiało jeszcze internacjonalnie.

— Ty będziesz dla mnie zadośćuczynieniem za wiele rzeczy — zapewnił ją.

— Byłabym szczęśliwa, gdyby mi się to udało, Will! Ale będziemy musieli przezwyciężyć wiele przeszkód. Na przykład: twoja gospodyni.

— Nawet mojej żałoby nie respektuje.

— A mnie nienawidzi!

— Mnie również. W każdym razie tak mi się czasami wydaje. Jak się zaważmie, to potrafi całymi dniami się nie odzywać. Ale to jej wcale nie przeszkadza utrzymywać mój dom we wzorowej czystości. Potrzebuje zawsze trochę czasu, żeby się z pewnymi rzeczami pogodzić, ale później wraca znowu do normy.

— Wierz mi — powiedziała Marlena — że jej nienawiść ma o wiele głębsze przyczyny, niż ci się zdaje. To nie przelewki!

Kerze sięgnął po pogrzebacz i poprawił płonące w kominku polana. Po chwili powiedział:

— Proszę cię, nie wydawaj przedwcześnie sądów. Poczekajmy spokojnie. Powiem ci zupełnie szczerze: w tej sytuacji, w jakiej teraz jestem, nie mogę sobie pozwolić na żadne nowe komplikacje.

— Wyrzuć ją! — zawołała Marlena. — Zanim zdąży narobić nam kłopotów. Czuję przez skórę, że jest zdolna do wszystkiego!

— Co to ma znaczyć?! — wrzasnął Kerze z dziką furją. — Potrzebuję teraz spokoju i jeszcze raz spokoju! I nie dam go sobie zakłócić jakąś tam gadaniną. Nawet gdybym miał wszystkie otaczające mnie kobiety posłać do diabła!

— Wszystkie? — Marlena spojrzała nań zdetonowana. — Czyżbyś miał również i mnie na myśli?

— Mam na myśli każdego, kto w sposób radykalny chce się wtrącać w moje życie. Ja jestem ja! Razem z moją fabryką! Dla niej żyję! A ten, kto mi nie chce pozwolić tak żyć, jest moim wrogiem. Trzeba o tym pamiętać, jeżeli mi się staje na drodze.

**O**wego wieczoru Tantau odwiedził Meinersa. Meiners siedział w hotelu i opracowywał właśnie swój raport dzienny dla firmy, który miał być jego ostatnim raportem podczas tej podróży służbowej. Rezultaty były niezadowolające; oczywiście dlatego, że nie mógł się skoncentrować wyłącznie na swej pracy zawodowej.

— No co — powiedział Tantau, podając Meinersowi rękę — spotkanie ze starymi kamratami było pouczające?

— Było nonsensem. — Meiners powiedział to bez odrobiny gorczy.

Tantau pokiwał głową.

— Dzięką was nie tylko lata, ale i różne światy. Pan jest jaskrawym przykładem samotnika, a tamci to typy, które muszą chadzać kupą.

— Decyzja moja jest w każdym razie nieodwołalna!

— Meiners odsunął papiery, nad którymi pracował. — Wy jeżdżam. I to miasto nigdy więcej mnie już nie zobaczy. Wszystko to napawa mnie odrazą.

— Zrozumiałe — rzekł Tantau, po czym skrzyżował ręce, rozsiadł się wygodnie na krześle i zapatrzył w próżnię. — Kilka lat temu — powiedział po chwili — poszedłem nieopatrnie na pewien eksperyment. Po pewnym morderstwie, którego sprawcę wykryłem bardzo szybko, skoncentrowałem się z pewnych względów na kimś, kto był całkowiec niewinny. I tak długo go urabiałem, wszelkimi dopuszczalnymi sposobami i metodami, aż mu się zaczęło zdawać, że nie jest tak zupełnie niewinny, że jest być może nawet współwinny. I powoli zaczynał w to wierzyć.

— Mam wrażenie, że rozumiem tę aluzję — rzekł Meiners z uśmiechem rezygnacji na twarzy. — Chce pan wiedzieć, czy czasem i moje spojrzenie na to, co się wówczas stało, nie uległo zmianie. No więc nie. Wiem, co przeżyłem.

— No dobrze — powiedział Tantau — i mimo to był pan gotów się z nimi pojednać? Dlaczego właściwie?

— Powiedzmy: przez zwykły ludzki humanizm. Wiem, że brzmi to banalnie, że jest to określenie wytarte, ale tu jakoś pasuje. Chciałem dać moim kolegom z tamtych czasów szansę, żeby mogli przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego w możliwie przyzwoity sposób. Ale pan jednak miał rację: zanim coś się komuś przebaczy i zapomni, ten ktoś musi najpierw uświadomić sobie swoją winę. Taka była pańska teoria, prawda?

— To tylko część mojej teorii o winie i karze. Ale gotów jestem wyjaśnić panu jej dalszą część. Widzi pan, mój drogi młody przyjacielu, tak jak można zasugerować niewinnemu, że nie jest on tak całkiem bez winy, tak też możliwe jest coś wręcz odwrotnego. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć? Winni bądź współwinni z owych czasów nie mają dziś świadomości, że byli kiedyś winni lub współwinni.

— Nie chcą o tym pamiętać!

— Jeszcze prościej: naprawdę nie pamiętają! To, co wtedy się działo, jest dla nich odległą przeszłością. Od tej pory tyle rzeczy się już zdarzyło. Próbowano już tylokrotnie zrehabilitować minioną wojnę, z jej orderami włącznie. Te nieliczne i mało ważne cnoty, które mają okazję ujawnić się podczas wojny, uważa się znowu, i to już od lat, za ważniejsze od owych straszliwych zbrodni, które musiała za sobą pociągnąć i też pociągnęła ta wojna. Sugeruje się im wszystkim: „Spełniałeś tylko swój obowiązek wobec ojczyzny i wobec swych rodaków”. I ci wieczni kamraci uwierzyli w to. Któż bowiem ma odwagę przyznać się jawnie do swych błędów, słabostek, nikczemności, a nawet zbrodni popełnionych w przeszłości?

Michel Meiners spuścił głowę i powiedział cicho:

— Toteż apelowałem do sumienia nieczułego jak betono wy bunkier.

— I zakłócił pan tym tak zwanym kolegom zdobyty przez nich w pocie czoła spokój. Zmusił ich pan do myślenia, a więc zrobił pan wszystko, żeby poczuli się niepewni. Przypomniał im pan, że są obciążeni paskudną winą, im, którzy są uważani za wzór cnót obywatelskich. Już przez to samo stał się pan dla nich groźny i niebezpieczny. Niech pan wyjeżdża, Meiners. To najlepsze, co pan może zrobić.

— A co pan zrobi, panie Tantau?

— Jeszcze trochę tych koleżków pomęcę, nie dam im spokoju, bo ciągle jeszcze mam nadzieję, że może ten lub ów odkryje w sobie sumienie. No cóż, nie ma na to rady, takie rzeczy sprawiają mi przyjemność.

— Pan wie więcej, niż pan mówi. — W oczach Meinersa zamigotał strach. — Ale ja panu nic nie powiedziałem. Nic.

— Życie jest często jak rachunek, drogi przyjacielu. Przesłstwo pociąga za sobą przestępstwo, wina winę. Co to dzisiaj ma za znaczenie, że paręnaście lat temu próbowano pana zgładzić ze świata? Kogo to dzisiaj wzrusza? Czy to w ogóle da się jeszcze podciągnąć pod literę prawa? Coś, co teraz mogłoby mieć niebezpieczne następstwa. Zaczyna mi się nawet powoli wydawać, że wiem, co. Ale samo przypuszczenie już mi nie wystarczy. Chcę znać całą prawdę. I dojdę do niej, niezależnie od tego, czy pan tego chce, czy nie.

Owego wieczoru Bennicken odwiedził swego przyjaciela Frammlera. Jak się tego spodziewał, znalazł go w gabinecie zabiegowym jego zakładu pogrzebowego. Frammler czytał właśnie czasopismo fachowe „Boden und Feuer” i od czasu do czasu popijał swoją ulubioną nalewkę malinową.

— Muszę z tobą pogadać. — Nie czekając, aż przyjaciel wskaże mu miejsce, Bennicken rozsiadł się na jednej ze skrzyń.

— Nie przeszkadzasz mi — rzekł Frammler i postawił na stole drugi kieliszek. — Zwłaszcza jeżeli przyszedłeś po to,

by mi zakomunikować, że założysz mi tu te szyny, o których mówiliśmy.

— Zrobi się — powiedział Bennicken.

— Doskonale! — Frammler napełnił po brzegi oba kielichy. — Wiesz przecież, że to moje marzenie. Bo czasami wieczorem albo w nocy, kiedy kończę robotę i mam już trupa spreparowanego, chciałbym podziwiać go zaraz w sali pokazowej i wypróbować tam efekty świetlne. Ale samemu trudno mi dźwigać takie spreparowane zwłoki. Kiedy będę miał szyny, pójdzie mi to śpiewająco.

— Zabieram się do tego pojutrze.

— A ile mnie to będzie kosztować?

Bennicken machnął niedbale ręką. Ale za to zapytał:

— Sprawa z tym Siegertem załatwiona?

— Aha! — zawołał Frammler, ogromnie tym pytaniem rozbawiony. — Tu cię boli! Możesz być spokojny. Żadna sprawa nie mogła już być załatwiona lepiej.

— Oby tak było. Bo wcale nie mam ochoty podpaść policji.

— Śmieszysz mnie! No bo co ci się może stać? Policja zawiesi ci jeszcze na szyi wieniec laurowy za to, żeś tak pięknie zrobił tego rabusia taksówek.

— Daj temu spokój! — warknął Bennicken.

— Jak chcesz, mój łabędziu! A z tym Siegertem sprawa nie była wcale taka trudna. Po prostu odwiedziłem go i pogawędziłem sobie z nim trochę.

— O czym?

— O subtelnościach mojego zawodu — odparł Frammler, pękając ze śmiechu. — Wprowadziłem go w tajniki produkowania trupów; opowiedziałem mu, ile tu jest możliwości. Zacząłem od ran zadawanych w głowę, których większość jest absolutnie śmiertelna. Na przykład: strzał w usta wycelowany w tylne podniebienie. Albo strzał w skroń, który aby był skuteczny, musi być wycelowany w skroń przeciwną. Natomiast ów efektowny strzał, jaki widzi się w kinie — to znaczy między oczy — jest mniej pewny. Takie coś na ogół się nie udaje, zwłaszcza gdy do rzeczy biorą się niepowołani laicy.

Bennicken mruknął coś niezrozumiale.

Fachowiec Frammler potrząsnął głową i ciągnął dalej:

— Zasadniczo jestem temu rodzajowi śmierci przeciwny, przede wszystkim ze względów estetycznych. Takie zwłoki są po prostu nieładne. Jak mogą się tak barbarzyńsko spreparowane obiekty godnie prezentować. Ja tam wolą piękną śmierć.

— To znaczy?

— Najpiękniejszy jest ciągle jeszcze solidny strzał prosto w serce albo atak serca. Wierz mi, mój drogi, najpewniejsza i równocześnie najpiękniejsza jest ta śmierć, która następuje na skutek ustania pracy serca.

— Po trochu zaczynam rozumieć! — powiedział Ben-nicken.

Frammler zadowolony zacierał ręce.

— Wszystko to powiedziałem również temu Siegertowi, tylko nieco bardziej szczegółowo i obrazowo. Skutek? Chłopaczyna poleciał prosto na policję, jakby mu się paliło. W komisariacie błagał niemal na kolanach, aby mu pozwolili wycofać doniesienie.

— Od ciebie można się wiele nauczyć — powiedział Ben-nicken z uznaniem.

Owego wieczora Konrad Gisenius odwiedził — po raz drugi już — dziewczę imieniem Brygitta, nad którym objął „wielkodusznie” opiekę. — Gdybym wiedziała, czym się odwdzięczyć — wyszeptwała Brygitta.

— Już samo to, że mogę być u pani, znaczy dla mnie немало — powiedział Gisenius.

Rozejrzał się badawczo po mieszkaniu. Jej pokój na mansardzie zmienił się od ostatniej jego wizyty na korzyść: łóżko było przykryte kudłatą niebieską kapą, dookoła stały modne, gładkie meble, w kącie stał kanarkowożółty miękki taboret, stół z blatem w kształcie nerki, ściana między kredensem a domowym barkiem wylepiona była różnokolorową tapetą. Do tego szaroniebieski aparat radiowy z adapterem.



— Pan dla mnie tyle zrobił — powiedziała z pokorą Brygitta.

Gisenius zajął miejsce. Ominąwszy z daleka puf z gąbki, usiadł ku radości Brygitty na jej łóżku. I z tego miejsca zaczął mówić:

— Mam nadzieję, że mnie pani źle nie zrozumie. Życie moje to praca i wyrzeczenie. Robię mnóstwo rzeczy, które służą, chyba wolno mi to przy całej mej skromności powiedzieć, społeczności ludzkiej. Popieram partie polityczne, organizacje, związki... Ale wszystko to jest pomyślane na wielką skalę, nastawione na przyszłość, przeznaczone dla ogółu; nic więc dziwnego, że zrodziło się przy tym we mnie pragnienie, żeby zrobić choć raz jakiś dobry uczynek, taki zwykły, skromny, czysto ludzki uczynek.

— Bardzo tu gorąco — przerwała Brygitta ten potok słów. — Jeżeli pan chce, może pan spokojnie zdjąć marynarkę. A ja, gdyby pan nie miał nic przeciwko temu, chętnie zdjęłabym swój pulower.

— Może pani to spokojnie zrobić. Jestem człowiekiem, który wie, jaki szacunek należy się kobiecie. Bo ściśle rzecz biorąc, jest pani przecież kobietą, prawda?

— Może. — Brygitta powiedziała to z wiele obiecującym uśmiechem i przeciągnęła się dyskretnie na swoim foteliku.

— Moje drogie dziecko — rzekł Gisenius nie bez godności — żeby nie było między nami nieporozumień: to ja jestem tu po to, żeby ponosić ofiary, od pani nie żądam żadnej.

— Może mi pan całkowicie zaufać — zapewniła go Brygitta nieco ochrypłym głosem. — Jestem dyskretna. Może pan na mnie polegać.

— Nie przykładam żadnej wagi do dyskrecji — powiedział niedbale Gisenius. — O wiele ważniejsza jest dla mnie uczciwość. Przyszedłem tutaj po to, aby sobie z panią pogawędzić, nic innego zdarzyć się nie może. Powiedziałbym nawet, że w razie konieczności będzie pani mogła na to przysiąc. Przyszedłem zaraz po ósmej, prawda? I opuszczę panią zapewne około jedenastej. Może pani spokojnie spojrzeć na zegarek. Naprawdę chodzi mi tylko

o pani rozwój duchowy, Brygitto. Pani wdzięki cielesne mnie nie interesują. — Szkoda — powiedziała melancholijnie.

Owego wieczoru inspektor policji kryminalnej Sand był czegoś dziwnie niespokojny. Udał się do swego mieszkania, potem znowu do swego biura, a stamtąd do Komisariatu Śródmieście, i to jedynie dlatego, że chciało mu się z kimś porozmawiać. Tym „kims” był jego kolega po fachu, kierownik Komisariatu Śródmieście, Brahmvogel.

— Nie może pan spać? — zapytał Brahmvogel nie bez współczucia.

— Jestem śmiertelnie zmęczony. Ale to właśnie trzyma mnie na nogach. Doszedłem już do tego punktu, w którym zmęczenie jest jak gorączka.

— Może zagramy w szachy? — zaproponował delikatnie Brahmvogel.

Sand kiwnął głową na znak zgody. Brahmvogel otworzył pulpit i wyciągnął z niego szachownicę z już ustawionymi figurami. Potem wziął jednego lauffra do jednej i drugiego do drugiej ręki i pozostawił Sandowi wolny wybór. Sand wybrał kolor czarny.

Po upływie kilku minut Sand, zastanawiając się nad następnym ruchem swojej wieży, zapytał:

— Pracował już pan kiedy pod okiem przełożonego, który wszystko wie lepiej od pana?

— To musi być koszmarnie — odparł Brahmvogel. — Ale czy takie rzeczy w praktyce się zdarzają?

— Owszem, zdarzają się — odparł Sand z goryczą. — Wśród setek przełożonych trafia się czasem jeden, który jest czymś w rodzaju geniusza. Nie można przed nim udawać, nie można go wyprowadzić w pole, nie można go przed niczym powstrzymać, można nań tylko patrzeć jak kot na żyrafę.

— Coś okropnego! Chyba najlepiej w takim wypadku zasnąć i zapomnieć.

— Ale zapomnieć nie można, a poza tym człowiek ma uczucie, że mu spać nie wolno. — Powiedziawszy to, Sand sięgnął z miną męczennika po swoją królową. — Bo istnieją pewne związki przyczynowe, które człowiekowi nie dają spokoju. Czuje się, że one istnieją, ale nie można ich rozszyfrować. Tymczasem on umie je wskazywać.

— O czym pan mówi?

— O prawie serii, o tej niezbadanej periodycznej chorobie rodzaju ludzkiego. Bywają czasy jednostajne, jakby wlokące się krok za krokiem. Nic się właściwie wtedy nie dzieje. A potem przychodzą nagle czasy, które są jak zżerająca wszystko i zarażająca wszystkich gorączka. Diabli wiedzą, od czego to zależy. Może od pogody, od faz księżyca, od plam na słońcu, od zaburzeń w kosmosie, od pewnego rodzaju magnetyzmu... Istnieje wiele wyjaśnień i interpretacji, ale żadna nie potrafi mnie oświecić.

— Niepotrzebnie naraża pan na niebezpieczeństwo swoją królową — powiedział Brahnvogel.

— Jakie to ma znaczenie? — zawołał Sand. — Zawsze jeden wygrywa, a drugi przegrywa. To też jest jakieś prawo. Ale mnie niepokoi ta nieokreślona nieregularność, to nagłe czasami piętrzenie przestępstw kryminalnych. Dlaczego tak jest?

— A skąd ja mam to wiedzieć? — powiedział Brahnvogel. — W tej chwili wiem na pewno tylko jedno: że dostał pan mata i przegrał pan partię.

**W**krótce potem do Komisariatu Śródmieście, w którym znajdowali się Sand i Brahmvogel, dotarł następujący meldunek:

W pobliżu obozu dla uchodźców, między Bun-desstrasse a hałdami żwiru, znaleziono trupa mężczyzny. Śmierć nastąpiła wskutek strzału w serce z bardzo niewielkiej odległości. Stwierdzono, że są to zwłoki niejakiego Michela Meinersa.

## 10. *Nie wszyscy, którzy pod kimś dołki kopią, sami w nie wpadają*

**S**prawa dość jasna i wyraźna — powiedział jeden z dwóch asystentów policji, mianowicie niejaki Brasch, osobnik o twarzy paskarza. — Na pewno jeden z owych siedmiu standardowych wypadków. Tym razem prawdopodobnie morderstwo z zazdrości.

— Nie podzielał tego zdania — powiedział drugi, nazwiskiem Ramsauer, wyglądający na zawodowego gracza w kręgle. — Gdyby mnie zapytano, nie znalazłbym punktów zaczepienia, które by w tym wypadku mogły przyczynić się do zadowalającego wyjaśnienia sprawy.

— Ale nikt wam nie pyta — powiedział inspektor Sand. — Nie chcę słyszeć, co przypuszczacie, jestem jedynie ciekaw tego, co wiecie. Zrozumiano?

Obaj asystenci kiwnęli posłusznie głowami. Od czasu do czasu należało im dawać regularną reprimendę. Byli wprawdzie obaj wytrwałymi psami gończymi, do których można było mieć zaufanie, ale brak im było doświadczenia, ponieważ pracowali w policji dopiero od niedawna. Oprócz doświadczenia brak im było rozsądku i skromności. A do skromności Sand przywiązywał szczególną wagę.

— Do tej pory — powiedział Sand, przerzucając kartki raportów — każdy z nas miał swoje określone zadania i tylko ko nimi się zajmował. Zastanówmy się teraz nad tym, czy w tej całej mozaice nie zarysowuje się przypadkiem jakiś jeden obraz o wyraźnych konturach.

Ramsauer i Brasch spojrzeli na Sanda. Zdawali sobie sprawę z tego, że spełniają tu, żeby tak rzecz, rolę Murzynów, laury zaś zbierać będzie Sand.

Siedzieli z wyczekującymi minami przed biurkiem inspektora. Sand był pochłonięty aktami, oni zaś po raz setny już chyba przyglądali się urzędzeniu pokoju, czyli tym wszystkim żalonym, postrzępionym, rozlatującym się już ze starości utensyliom, jakie są charakterystyczne dla każdego biura policji, a więc planom miast, mapom i listom gończym, wiszącym na zielonych ścianach. Wśród tych listów znajdował się list następujący:

Poszukiwany jest niejaki  
Lehmgruber  
Który dokonał napadu rabunkowego  
Uwaga — ma przy sobie broń palną!  
Nagroda — 1000 marek.

— Przejdźmy do szczegółów — powiedział Sand, odchrząknawszy. — Brasch, ma pan głos. Proszę mi opisać sytuację wyjściową.

— Wczoraj wieczorem — zaczął człowiek o twarzy pas-karza — znaleziono zwłoki niejakiego Meinersa.

— Źle — przerwał mu Sand. — Określenie „wczoraj wieczorem” jest nieścisłe, jutro się będzie już mówiło: „przedwczoraj wieczorem”. W takich wypadkach wymienia się datę, godzinę i miejsce. A to, że były to zwłoki niejakiego Meinersa, zostało stwierdzone dopiero w trakcie dalszych dochodzeń.

— Tak jest. — Brasch żył i postępował w myśl zasady, że przełożony ma zawsze rację. Cierpliwie więc zaczął jeszcze raz od początku.

Według jego raportu „sytuacja wyjściowa” wyglądała następująco: Data: dwudziesty kwietnia 1961 roku. Czwartek. Godzina: 23.30. Miejsce: rzeźnia na rogu Tirpitzstrasse i Birkenweg. Jeden z przechodniów wracających akurat z kina — personalia dołączone do akt — potknął się o leżącego pod murem trupa płci męskiej. Zawiadomił najbliższy komisariat policji. Komisariat dał znać prezydium. I tak dalej.

— A teraz poproszę o orzeczenie lekarskie. Na pana kolej, Ramsauer.

Ramsauer, nie wchodząc w szczegóły medyczne, wyrecytował co następuje:

— Orzeczenie wezwanego lekarza urzędowego brzmiało: Strzał w serce i natychmiastowa śmierć. Śmiertelny strzał oddany został z odległości jednego do dwóch metrów. Zgon nastąpił prawdopodobnie o godzinie dwudziestej drugiej.

— Lekarz urzędowy — obwieścił swym asystentom Sand — uzupełnił dziś rano swoje orzeczenie. Kula została znaleziona. Kaliber przypuszczalnie siedem-sześćdziesiąt pięć. Możliwe, że w grę wchodzi tu pistolet typu Walter. Czy to wam coś mówi, moi panowie?

Szczegóły te nic tym panom nie mówiły. Sand zdawał się też nie oczekiwać innej reakcji. Mimo to milczał cierpliwie.

— Jedyne, co mnie w tym wszystkim uderzyło — rzekł wreszcie Brasch — to to, że jakieś pięćdziesiąt metrów od miejsca zbrodni znaleziono stary pistolet typu Walter. Stąd prosty wniosek, że tą bronią posłużył się morderca.

— Rzeczywiście — zauważył Sand sarkastycznie — bardzo prosty wniosek! Dlaczegoż jednak sprawca nie zabrał ze sobą morderczej broni? Dlaczego zaledwie w odległości pięćdziesięciu metrów od miejsca zbrodni rzucił ją w zarośla? Ramsauer, jak pan myśli?

— Nie jestem mordercą — odparł zapytany. — Czyż doświadczenie nie uczy, że całkowite wczucie się w psychikę kryminalisty jest niemożliwe? Któż więc może zgadnąć, czy ten człowiek zrobił to w panice, z wyrachowania lub też zupełnie przypadkowo.

— Proszę dalej, Ramsauer! Wyniki wywiadów!

Ramsauer zaczął zdawać relację:

— Michel Meiners mieszkał w hotelu dworcowym. Znaleziono przy nim druczek reklamowy tego hotelu, na którym wypisany był numer jego pokoju i cena za ten pokój. Poprzednio Meiners mieszkał w zajeździe „Am Alten Po-stamt”. Przeszukano jego bagaż i stwierdzono, że był agentem firmy „Inkaso”. W hotelu przyjął kogoś tylko raz czy dwa razy.

— Udało wam się stwierdzić, kogo?

— Właściwie nie. Wiem tylko tyle, że był to jakiś zmęczony życiem, przyjemny staruch, którego na pewno nie można podejrzewać o żaden gwałt.

— Mój ty aniołku — powiedział Sand — jeszcze się nie nauczył, że w naszej specjalności nie ma żadnych norm? Widziałem już ludzi, którzy wydawali się potulni jak baranki, a potrafili zamordować siekierą własną matkę. Jeżeli ten Meiners przyjął w hotelu nawet jednego jedynego człowieka, to muszę za wszelką cenę znać jego nazwisko. Skoncentruj się pan na tym.

Załatwiwszy w ten sposób Ramsauera, Sand zwrócił się do Brascha:

— Czy broń, która została znaleziona w pobliżu miejsca zbrodni, oddano do laboratorium?

— Tak jest — odparł skwapliwie asystent o twarzy pas-karza. — Niektóre odciski palców są całkiem wyraźne.

— Kazał je pan porównać z innymi odciskami?

Brasch, lekko zbity z tropu, zapytał:

— Porównać? Co pan ma na myśli?

— Mam to na myśli — powiedział Sand — że trzeba być kwadratowym osłem, żeby nie zwrócić na pewne rzeczy uwagi. Przypominam, pistolet kalibru siedem-sześćdziesiąt pięć. Czy to naprawdę tak trudno zrozumieć?

— O nie — odparł Brasch, zdumiony własnym sprytem. — Mieliśmy niedawno napad na taksówkę. I w tym wypadku też posłużono się pistoletem typu Walter.

— Nareszcie! — zawołał Sand z ulgą. — A teraz, Brasch, niech pan zarządzi z miejsca analizę porównawczą. Kombinacja ta może być oczywiście fałszywa, ale wprost sama się narzuca.

Kiedy Brasch przeprowadzał odpowiednią rozmowę telefoniczną, Sand, przerzucając akta, zwrócił się do Ramsauera:

— Mam tu przed sobą dane z federalnego urzędu śledczego. Wedle tego, co tu piszą, Lehmgruber, alias Schiche-Iberger, pracuje od lat dla różnych państw.

— Aha! — zawołał Ramsauer znacząco. Mocne ogólniki zawsze trafiały mu do przekonania.

— Wszystko to wygląda podejrzanie. Tym bardziej że ów Meiners, komunikuję wam teraz rezultaty śledztwa, któ-

re ja przeprowadziłem, siedział długie lata w niewoli rosyjskiej, a potem w strefie wschodniej, w tak zwanej NRD. Dopiero niedawno wypłynął w NRF. Cóż, moi panowie, czy nie nasuwa wam się automatycznie wniosek, że między tym wszystkim istnieje jakiś związek?

Brasch, który przeprowadził już rozmowę telefoniczną i otrzymał na swe pytania odpowiedź, zawołał tryumfalnie:

— Nie mylił się pan, panie inspektorze! Odciski palców osobnika, który dokonał napadu na taksówkarza, są identyczne z odciskami na pistolecie. Co pan na to powie?

— To piękne — powiedział Sand. — Prawie za piękne, żeby było prawdziwe!

**N**ie ma już naszego kolegi Meinersa — powiedział ponuro Konrad Gisenius. — Oto co muszę wam zakomunikować. Dlatego poprosiłem was do siebie.

— Co to znaczy? — zapytał Martin Hirsch. — Czyżby to miało oznaczać, że Meinersa nie ma już w mieście?

— Nie żyje.

Powiedziawszy to, Gisenius pochylił głowę, jakby był pogrążony w głębokim smutku. Ale być może też nie chciał w tym momencie spojrzeć kolegom w oczy. Również i ci, którzy przed nim siedzieli, starali się nie patrzeć jeden na drugiego. Tylko Martin Hirsch, do żywego poruszony, szukał oczyma wzroku kolegów.

— Skąd o tym wiesz?

— Dziś rano próbowałem się połączyć telefonicznie z Meinersem, dzwoniłem do hotelu, aby go poprosić o rozmowę w cztery oczy. Odpowiedziano mi, że to niemożliwe, gdyż Meiners nie żyje.

— Był dobrym kolegą — powiedział Schulz wzruszony i wyłowił z kieszeni śnieżnobiałą chusteczkę.

— Martwi koledzy — rzekł Frammler — są z zasady dobrymi kolegami. Tak już jest.



— A jacy są ci, którzy pozostali przy życiu? — zapytał zjadliwie Hirsch.

Frammler wzruszył ramionami — od dawna już nie brał Hirscha poważnie. Zwracając się do Giseniusa, zapytał z zainteresowaniem:

— Gdzie są właściwie zwłoki?

— Możesz poczekać jeszcze trochę ze swoimi interesami — mruknął Kerze. — Najpierw chciałbym zobaczyć, na co Meiners umarł. Przypadek, atak serca?

— Jak mnie poinformowano — odparł Gisenius — wczoraj około jedenastej wieczorem znaleziono Michela Meinersa zastrzelonego, i to w pobliżu rzeźni.

— Jakże to znamienne! — zawołał Hirsch z gorzkim szyderstwem.

— To jest straszne — rzekł Kerze.

— Ale bądź co bądź to jest jakieś rozwiązanie — powiedział bez żenady Frammler.

Karl Schulz podniósł głowę i swymi dobrotliwymi oczyma spojrzął z przerażeniem na kolegów.

— Kto mógł coś takiego zrobić?

— Co cię to właściwie obchodzi? — zapytał Frammler z irytującym spokojem.

— Był przecież naszym kolegą — powiedział z uporem Karl Schulz.

— Ja też jestem tego zdania co ty, Schulz! — zawołał zaczepnie Martin Hirsch. — To nas wszystkich obchodzi.

— Jest w tym trochę racji — przyznał Kerze i spojrzął na Schulza w nadziei, że zyska jego aprobatę. Ale Schulz zachowywał się tak, jak gdyby Kerzego w ogóle nie było. Mimo to Kerze w dalszym ciągu usiłował nastroić Schulza pojednawczo, ostatecznie stara żelazna zasada mówiła, że żadna kobieta — choćby tą kobietą była nawet Marlena Sonnenberg — nie jest w stanie zachwiać koleżeństwa i przyjaźni między mężczyznami. Toteż dorzucił jeszcze:

— W zasadzie zgadzam się z kolegami Schulzem i Hirschem.

— Co za wspaniałomyślność — zauważył Hirsch sarkastycznie.

— Nie zasłużyłem sobie na tę twoją parszywą ironię! — zawołał Kerze.

— Spróbujmy nad sobą panować — zażądał Gisenius. — Nie czas teraz na spory osobiste w naszych szeregach. A więc pytam was: czy jesteśmy w stanie odwrócić to, co się stało, jeżeli zaczniemy mieszać się do spraw, które obchodzą tylko policję?

— I grabarza! — zawołał Frammler. — Ale ponieważ jestem waszym kolegą, zgadzam się z Giseniusem i oświadczam zdecydowanie: ręce precz od spraw, które nas guzik obchodzą!

— Drodzy przyjaciele — rzekł znowu Gisenius — myślmj trzeźwo i rzeczowo i zrekapitulujmy sprawę. Co się właściwie stało? Kilka dni temu pojawił się w tym mieście nasz stary kolega Michel Meiners. Ponieważ uważaliśmy go już za umarłego, nic dziwnego, że nas to z początku zdziwiło i wprawiło w zakłopotanie, do tego stopnia nawet, że zaczęliśmy wątpić w to, czy to naprawdę on. Ale potem, kiedy się okazało, że to istotnie Meiners, wszyscyśmy się bardzo ucieszyli, prawda? Choć od tamtych wydarzeń minęło wiele lat, nie przeszkodziło nam to wcale wyciągnąć do Meinersa ręki.

— Tak jest — potwierdził Schulz — wyciągnęliśmy do niego rękę.

— Co go niesłychanie wzruszyło — rzekł Hirsch. — Czy rzucając się nam na pierś nie zalał się nawet łzami?

— Oczywiście aż tak nie było — powiedział Gisenius po-  
błażliwym tonem. — Meiners stał się już nam nieco obcy, my  
jemu również. Mimo to w zasadzie zapanowała między nami  
harmonia.

— W zasadzie tak — przyznał Kerze — tylko że harmonia ta  
nie była zbyt widoczna.

Gisenius kiwnął głową.

— Fakt w każdym razie pozostaje faktem, że widzieliśmy go  
tylko raz i rozmawialiśmy z nim niecałą godzinę. To wszystko.  
Tego powinniśmy się trzymać, gdyby nas o to pytano.

— A będą nas o to pytali — powiedział Martin Hirsch. —  
Jestem tego pewien. Bo popełniłeś jeden błąd, Gisenius. Błędem  
tym był twój telefon do hotelu, w którym mieszkał Meiners.  
Wcześniej czy później policja kryminalna zacznie się  
dowiadywać, czy ktoś próbował dzwonić do Meinersa. Wówczas  
padnie twoje nazwisko. I co wtedy?

Twarz siedzącego sztywno przy biurku Giseniusa zrobiła się blada jak pergamin.

— Gdyby już miano kogoś wypytywać — powiedział Gisenius po chwili — to któż się do tego bardziej nadaje niż ja? A ja już wiem, co mam mówić.

— Najważniejsze jest to — powiedział Kerze — żebyś nas z tej historii wyciągnął. Sądziś, że będzie to możliwe?

— Spróbuję. Ale jeżeli się nie uda, też nie będzie wielkiego nieszczęścia. Na wszelki wypadek będziemy musieli uzgodnić jednak pewne szczegóły. Ale decydująca jest nasza jedność. Czy mogą na niej polegać?

— Jeszcze jak! — mruknął Bennicken.

— Dla mnie koleżeństwo to wszystko! — zawołał Schulz. — I dlatego oczywiście chciałbym wziąć udział w pogrzebie Michela Meinersa.

— Jeżeli o mnie chodzi — oświadczył Frammler — to byłbym skłonny urządzić naszemu koledze Meinersowi pogrzeb, ale pod warunkiem, że otrzymam zwrot kosztów.

Kerze kiwnął na znak zgody głową.

— Rzecz oczywista, że część tych kosztów biorę na siebie.

— Wszystko w swoim czasie — powiedział Gisenius. — Czy są jeszcze jakieś pytania?

— Owszem — powiedział Hirsch. — Jest jeszcze pytanie, które nam może postawić policja, a mianowicie: gdzie pan był owej krytycznej nocy między godziną dziewiątą a jedenastą?

— Na to pytanie — przyznał mu rację Gisenius — winniśmy być istotnie przygotowani.

Hirsch prześliznął się badawczym wzrokiem po obecnych.

— Co byś na przykład ty odpowiedział na takie pytanie, Schulz?

— No cóż — odparł zapytany — byłem w domu.

— Masz na to świadków?

— Moją siostrę — odparł Schulz. I nie bez pewnego wysiłku dodał: — No i mego przyszełego szwagra.

— W porządku — powiedział szybko Hirsch. — A ty co być powiedział, Kerze?

— Pracowałem o tej porze, może to potwierdzić moja gospodyni. I chyba jeszcze ktoś.

— Wcale nieźle — powiedział Hirsch. — A jak jest z tobą, Bennicken?

— Byłem u Frammlera — burknął Bennicken.

Frammler obrzucił go szybkim spojrzeniem i powiedział:

— Zgadza się. Przenieśliśmy nawet razem jednego umrzyka do sali okazowej. Przy tej okazji rozmawialiśmy o szynach, które by mi ułatwiły transportowanie zwłok z gabinetu zabiegowego do sali pokazowej i które Bennicken ma mi właśnie założyć. Prawda, Bennicken?

— Zgadza się — odparł Bennicken.

Hirsch spojrzał na Giseniusa. — A ty?

— Ja też jestem człowiekiem — odparł Gisenius — i mam swoje słabotki. Otóż, ale tak całkiem między nami, w owym krytycznym czasie znajdowałem się w towarzystwie pewnej młodej damy.

— Fantastyczne! — zawołał Frammler.

— Moje gratulacje! — odpowiedział Kerze. Karl

Schulz zaś wykrzyknął:

— Nie do wiary!

— W każdym razie — powiedział sucho Martin Hirsch — jest to jedno z najbardziej przekonujących alibi, jakie tylko można sobie wyobrazić.

— A ty, Hirsch? — zapytał Gisenius agresywnie.

— Gdzie ty byłeś o tej krytycznej porze?

— Na spacerze — odparł Hirsch niechętnie.

— Chyba nie w okolicy rzeźni? — zawołał wesoło Frammler.

— Byłby to najlepszy kawał, jaki w tym parszywym dniu usłyszałem!

— Nie, nie w okolicy rzeźni. Spacerowałem tam, gdzie mieszka Schulz.

— Masz świadków? — zapytał Frammler wesoło.

— Do stu diabłów! — zawołał Hirsch. — Przecież mnie nie można chyba o nic podejrzewać!

— Nie mów tego! — Frammler skręcał się po prostu ze śmiechu. — Tak jak sytuacja wygląda, jesteś jedynym spośród nas, który mógłby tu wchodzić w rachubę.

— Nie wyolbrzymiajmy tego — powiedział Gisenius z wyraźnym zadowoleniem. — Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby się wzajemnie podejrzewać. Pozostajmy przy

faktach. Śmierć Michela Meinersa, z której powodu wszyscy szczerze ubolewamy, jest jednak w gruncie rzeczy jakimś rozwiązaniem.

— To prawie szczęśliwe zrządzenie losu! — zawołał Kerze. — I oszczędzi nam całą masę nieprzyjemności.

— Tym samym bowiem — uzupełnił Gisenius — rozdział pod tytułem Michel Meiners zamyka się dla nas na zawsze.

— A ten pies gończy, ten Tantau — zapytał Hirsch — któregośmy poszczuli na Kronshangena?

— Nie pozostaje nam już nic innego — odparł Gisenius — jak całą tę sprawę odrząbić. Jedno słowo wystarczy.

— W stosunku do takiego człowieka jak Tantau?

— Nie ma chyba bardziej ostatecznego zakończenia niż śmierć.

— Proponuję uczcić w jakiś sposób naszego zmarłego kolegę Meinersa — odezwał się znowu Karl Schulz.

— Sądzę — poparł go bez namysłu Gisenius — że powinniśmy zrealizować tę propozycję. Również i dlatego, że musimy jeszcze uzgodnić szczegóły na wypadek ewentualnych dochodzeń urzędowych.

— Proponuję — powiedział Karl Schulz — abyśmy jak zwykle spotkali się dziś wieczorem w hotelu „Unter Drei Kronen”.

Wobec tego, że nikt nie wyraził sprzeciwu, Gisenius zapowiedział:

— A więc dziś wieczorem! Żeby już definitywnie pogrzebać tę całą przeszłość.

Przychodzę z polecenia pana Giseniusa — zaczął Tantau uprzejmie.

— Giseniusa? Nie znam. — Powiedział to człowiek nazwiskiem Kronshagen.

— Pan doktor Gisenius — wyjaśnił Tantau — jest adwokatem w Rheine-Bergen.

— Takich jak ten pan jest tam pewnie więcej.

— Pan doktor Gisenius — ciągnął cierpliwie Tantau — jest nie tylko poważnym prawnikiem, ale również miarodajną osobistością w kołach politycznych. Ma niemałe wpływy w swoim landzie.

— I czegoż to on chce ode mnie? — zapytał Kronshagen opryskliwie.

Tantau nie miał trudności z wytropieniem Kronshagena. Kronshagen był w tym landzie znanym ujeżdżaczem paragrafów o nieposkromionej woli odnoszenia zwycięstw, czyli krótko mówiąc: Kronshagen był prokuratorem i ustawicznie uganiał się za materiałem dla młynów sprawiedliwości. Najwyższym jego celem było osiągnięcie stanowiska prokuratora generalnego.

— W ostatnich tygodniach wojny powierzono panu dowództwo kompanii, prawda?

— Prawda — odparł z miejsca Kronshagen. Widocznie był na to pytanie przygotowany.

— Pamięta pan jeszcze niejakiego kaprała Karla Schulza?

— Dzielny chłop — powiedział bez namysłu Kronshagen — o ile byłem w stanie to wówczas osądzić. Ale był moim podwładnym za krótko, żebym mógł wydać jakąś bardziej wiążącą opinię. Co on ma wspólnego z tym Gise-niusem?

— Gisenius był wówczas w drużynie Schulza. Oczywiście nie mógł pan znać osobiście każdego żołnierza ze swojej kompanii.

— Jasne, że nie mogłem — odparł Kronshagen z wyraźną ostrożnością.

— Pamięta pan jeszcze, co zaszło dwudziestego kwietnia czterdziestego piątego roku?

Kronshagen zaczął bębnić palcami po stole. Na jego gładkim, wysokim, kształtnym czole pojawiła się poprzeczna zmarszczka. Po chwili powiedział:

— Zanim się na ten temat wypowiem, muszę wiedzieć, w jakim celu stawia mi pan to pytanie, panie Tantau.

— Działam na zlecenie — odparł Tantau wymijająco. — Mam tu jedynie zasięgnąć informacji.

— Tylko proszę bez żadnych wykrętów! — powiedział oschle Kronshagen.

— Jak pan chce — rzekł Tantau z lekkim westchnieniem.  
— A więc owego dwudziestego kwietnia drużyn Schulza miała za zadanie blokować ze skrajów lasu trzysta siedem biegnącą tamtędy szosę.

Kronshagen kiwnął głową, co mogło oznaczać, że potwierdza słowa Tantaua.

— Tyle stan faktyczny — ciągnął Tantau. — Chodzi teraz o to, aby pan jako dowódca kompanii, w której skład wchodziła drużyna Schulza, poświadczył, że zadanie to zostało powierzone owej drużynie w formie rozkazu, i żeby jeszcze może pan do tego dodał, że właśnie w owych dniach wytworzył się na froncie chaos.

— Po co? Czy ktoś ma zamiar pisać coś w rodzaju historii wojny?

— Niezupełnie. Chodzi o wystawienie czegoś w rodzaju deklaracji na użytek wewnętrzny. Byłby pan skłonny pójść na coś takiego?

— Co należy rozumieć przez „użytek wewnętrzny”?

— No więc dajmy na to, że ktoś próbuje oskarżać byłych żołnierzy z drużyny Schulza, że owego dwudziestego kwietnia zachowali się niezgodnie z żołnierskim honorem. Oświadczenie ówczesnego dowódcy tej kompanii, że działali na rozkaz, obaliłoby wszelkie zarzuty.

Kronshagen znowu zabębnił w blat stołu, tym razem palcami obu rąk. Na twarzy jego malowało się takie napięcie, jakby był co najmniej inżynierem i czekał właśnie na próbny start wymyślonej przez siebie rakiety międzyplanetarnej.

— O jaki rodzaj zarzutów tu chodzi? — zapytał wreszcie.

Tantau spuścił oczy — był już prawie u celu. Jeszcze jedno zdanie, i Kronshagen wyda na siebie wyrok. I Tantau wypowiedział to zdanie:

— O nie wyjaśniony dotąd gwałt, który miał miejsce ostatniej nocy przed rozproszeniem oddziału i który skończył się śmiercią zgwałconej, oraz o śmierć kolegi, która nastąpiła albo na skutek przedwczesnej ucieczki, a więc z przyczyny pośredniej, albo też... — W tym miejscu Tantau zrobił małą pauzę i dopiero po chwili dokończył:

— ...albo też z przyczyny pozornie tylko pośredniej.

Kronshagen wyprostował się na całą swoją wysokość i spojrzął na Tantaua z lodowatą pogardą. A potem na Tan-taua spadła cała lawina słów.

— Nigdy w życiu jeszcze mi się coś takiego nie zdarzyło! — zawołał Kronshagen z jadowitym szyderstwem. — Przychodzi do mnie pierwszy lepszy człowiek z ulicy i myśli, że wpadnę w dołki, które zostały wykopane dla kogoś innego. O nie, ze mną to się wam nie uda!

— Nie? — Tantau odczuwał wprost bezwstydną satysfakcję.

Irytujące przebłyki tej satysfakcji w oczach Tantaua nie uszły uwagi Kronshagena. Usiłował więc odzyskać panowanie nad sobą i skrzyżował ręce na piersiach.

— Panie Tantau — powiedział po chwili tonem urzędnika otwierającego licytację — nie wiem, jak dalece jest pan w tę sprawę wplątany, i w gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodzi. W każdym razie jedno nie ulega wątpliwości: że w owym czasie nie był pan w mojej kampanii. Mam znakomitą pamięć i jestem tego całkowicie pewny.

— W tym momencie panu wierzę — rzekł Tantau dwuznacznie.

— Przypominam sobie teraz pana Giseniusa, ale dość mgliście. Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że byłem zapobiegliwym dowódcą kompanii, i to dowódcą z dużym poczuciem odpowiedzialności. Kiedy trzeba było, zawsze stawałem w obronie moich ludzi. Ale z czynami, które mogłyby się okazać przestępstwami kryminalnymi, nie chcę mieć nic wspólnego!

— Czasami nie jest rzeczą prostą uchwycić różnicę między czynem kryminalnym a czynem wojennym.

— Świadomie wysłać człowieka w ogień, a potem samemu nawiać, to jest czyn kryminalny. Inna sprawa, czy da się to udowodnić. A jeszcze sugerował pan inne rzeczy, prawda? Zresztą już samo to zgwałcenie w wiejskiej stodole, które skończyło się śmiecia, jest przestępstwem bezspornym.

— Niesamowite wprost — powiedział Tantau niemal z nabożeństwem. — Co za cudowna pamięć!



Kronshagen zrobił się nagle cały czerwony na twarzy, zarówno ze wstydu, jak i z oburzenia.

— Szczegółów oczywiście sobie nie przypominam, ale słysząc słyszałem, że coś podobnego się zdarzyło. Lecz jakichś namacalnych dowodów na to nie miałem, nie zdążono mi ich po prostu dostarczyć, nasza jednostka bowiem bardzo prędko poszła w rozsypkę.

— Jaki pomyślny zbieg okoliczności!

— Proszę mi łaskawie oszczędzić tych swoich prowokacyjnych uwag! Nie do twarzy panu z nimi, poza tym wcale nie trafiają w sedno sprawy. W każdym razie nie mam ochoty kryć jakiegos ewentualnego przestępstwa ani też osłaniać przypuszczalnych sprawców.

— Rozumiem — rzekł Tantau uprzejmie. — Bo gdyby to wyszło na jaw, byłby to koniec pańskiej kariery prawniczej .

— Prawo przede wszystkim, bez względu na jakiegokolwiek następstwa.

— Wręcz wzruszające — pozwolił sobie zauważyć Tantau. — Ale czy będzie pan obstawał przy tych swoich wzniosłych poglądach również i wówczas, gdy panu zdradzę, że doktor Gisenius, z którego polecenia tu jestem, uchodzi za kandydata na podsekretarza stanu w ministerstwie sprawiedliwości?

— To w niczym nie zmienia mojej postawy — powiedział Kronshagen wyniośle.

— W takim razie należy pan do tego gatunku prawników, przed którym z szacunkiem uchylam kapelusza! — zawołał Tantau. Ale zaraz potem dodał: — Chyba że ma pan inną legitymację partyjną niż Gisenius. W tym wypadku poczekałbym trochę z tym uchyleciem kapelusza.

— Zgadza się — przyznał się szczerze Kronshagen — rzeczywiście należę do innej partii. Ale jaką to gra rolę, gdy chodzi o prawo!

— Zdumiewa mnie pan coraz bardziej! — zawołał Tantau niemal uszczęśliwiony. — Nie tylko że rozporządza pan wspaniałą pamięcią, ale jeszcze ma pan wyraźne dane na jasnowidza. Przed chwilą bowiem utrzymywał pan, że nie ma pan pojęcia, kto to taki ten Gisenius, a teraz wie pan już

nawet to, jaką legitymację partyjną ma ten pan. Jestem dla pana z całym respektem.

— Jak pan w ogóle śmie rozmawiać ze mną w ten sposób? — powiedział Kronshagen. — Niech pan natychmiast opuści ten pokój!

— Z przyjemnością — rzekł Tantau i podniósł się z krzesła.

— I niech pan powie swoim kompanom, że nie myślę nastawiać za nich karku. Wręcz przeciwnie, wydam natychmiast zarządzenie, żeby wszczęto przeciwko nim dochodzenie.

No, jest pan nareszcie! — zawołał Sand na widok Tantaua, po czym wciągnął go do swego biura. Ta jego kwatera główna nie wyglądała zbyt imponująco: grube, gołe ściany, prymitywne, niezgrabne meble, kołysząca się lampa elektryczna bez klosza. Sand posadził Tantaua na jedynym w tym pomieszczeniu krześle i popatrzył nań z wyrzutem i troską.

— Stwierdziłiśmy — powiedział, opierając się o ścianę — że niejaki Michel Meiners niejednokrotnie przyjmował kogoś u siebie. Tym kimś, kto go odwiedzał, był oczywiście cie pan, prawda?

— Mógł pan się tego domyślić już wtedy, gdy otrzymał pan telefon od prokuratora Kronshagena — odparł Tantau.

— A ten Kronshagen to człowiek, który wie, czego chce, i nie da sobie w kaszę dmuchać. Należy mieć to na uwadze.

Sand popatrzył na Tantaua jak na wariata i powieiedział:

— Nie rozumiem pana, panie Tantau.

— Przecież z tym Kronshagenem wszystko jest zupełnie jasne. On się nie da wrobić w żadną podejrzaną historię. I za najlepszą obronę uważa, zgodnie z tradycją, atak.

— Coś się tutaj nie zgadza. — Sand potrząsnął zrozpaczony głową.

— Jak to? — zapytał Tantau zdziwiony. — Ja co do motywów Kronshagena nie mam żadnych wątpliwości. Odsuwa

po prostu od siebie haczyk, na który niektórzy usiłują go złapać.

— Nie, nie! — Sand zaczął biegać po pokoju jak tygrys w klatce. — Przecież wcale nie o to chodzi!

Tantau spojrział na niego uważnie. — Mam wrażenie — powiedział — że mówimy różnymi językami. Musi być coś, czego nie wiem, a pan jest święcie przekonany, że wiem.

Sand nagle przystanął, jak gdyby natrafił na mur.

— Otóż to! — zawołał. — Zapewne nie wie pan o najważniejszym! Kiedy pan wyjechał do Frankfurtu?

— Wczoraj wieczorem, tuż po dziewiątej.

Sand oparł się znowu o grubą, pobieloną wapnem ścianę.

— Wczoraj wieczorem (jeśli wierzyć orzeczeniu lekarskiemu, to około dziesiątej), Michel Meiners zamordowany został w pobliżu rzeźni. Strzał w serce.

Tantau zamknął oczy. Twarz jego zrobiła się biała jak ściana. Upłynęła długa chwila, zanim cicho zapytał:

— Znalazł pan sprawcę?

— Jest ktoś, kto w wyniku naszych dotychczasowych poszukiwań może wychodzić w rachubę — rzekł Sand ostrożnie.

— Czy znam jego nazwisko?

— Chyba nie.

— W takim razie ten ktoś nie może być sprawcą — powiedział Tantau głosem nie znoszącym sprzeciwu. — Ale właściwego sprawcę znajdziemy, Sand! Na pewno znajdziemy! \*; J

**W**illy Kerze, zmęczony pracą w fabryce i rozmowami z przyjaciółmi, miał właśnie zamiar uciąć sobie drzemkę, gdy zjawiła się pokojówka. Wyglądała tak samo, jak dziesiątki jej poprzedniczek. Podała Kerzemu list ze słowami: — Dla pana dyrektora.

Na kopercie nie było żadnego adresu. Kerze wziął ten list z najwyższą nieufnością, jak gdyby dotykał parzącego

chwastu. Miał bowiem wrażenie, że zna ten papier listowy, że go nawet sam подарował na Boże Narodzenie.

— Od kogo jest ten list?

— Od panienki — odpowiedziała pokojówka grzecznie. — Panienska mi go dała.

— Kiedy?

— Dzisiaj przed południem.

— Dlaczego dostaję go w takim razie dopiero teraz?

— Panienska powiedziała wyraźnie: proszę oddać dopiero o drugiej.

— Moje dziecko, jeżeli chcesz w tym domu doczekać się sędziwego wieku — powiedział Kerze z niechęcią — to zapamiętaj sobie, że tylko ja tu jestem od tego, żeby wydawać polecenia!

Zalękniona pokojówka kiwnęła posłusznie głową i spojrzała z respektem na swego chlebodawcę. Podziwiała w nim wszystko, od jego energicznego głosu poczawszy, a na mocnych rękach, którymi właśnie rozdarł kopertę, skończywszy.

Kerze rozłożył list i ujrzał nerwowe, bezładne pismo swojej córki Karen; nie znosił tego pisma za brak w nim ładu i dyscypliny, denerwowały go te przesadnie wielkie litery. Czytał ten list ze zmarszczonym czołem.

Zastanawiałam się długo, co ze sobą zrobić. Wiem tylko jedno: dłużej już tak żyć nie mogę i nie chcę. Chcę spróbować zacząć zupełnie od nowa. Proszę Cię, nie kłopotz się o mnie. Znalazłam człowieka, który mi pomoże i do którego mam zaufanie jak do nikogo na świecie. Nie bój się, nie kocham tego człowieka tak jak kobiety zwykły kochać mężczyzn. Jest dla mnie prawie jak ojciec. Zawsze tego pragnęłam, a więc nie jestem nieszczęśliwa. Może Cię to nawet ucieszy. Kiedyś tam się znowu zgłoszę, ale chyba nie tak prędko.

Karen

PS. Powiedz Bartoschowi, żeby się ożenił, z kim mu się żywnie podoba.

Kerze przeczytał ten list dwa razy. I twarz jego z każdą sekundą purpurowiała z gniewu coraz bardziej. Bezwiednie przycisnął do piersi lewą rękę, tam gdzie mu głucho biło serce. Potem z wściekłością zmiął papier, który trzymał w ręku.

— Czy wielmożny pan sobie czegoś życzy? — zapytała zalężniona pokojówka, pełna zarazem podziwu dla tak krewkiego temperamentu.

— Precz! — zawołał Kerze. Zrobił przy tym tak gwałtowny ruch lewą ręką, że poczuł nagle silny ból. Ale nie zwrócił na to uwagi.

Po odejściu pokojówki zaczął rozmyślać nad niewdzięcznością świata. Przeszkodziła mu jednak w tej zadumie całkiem niezapowiedziana wizyta. Na progu stanęła Marlena Sonnenberg. Ujrawszy go, rzuciła się ku niemu z czułościami.

— Jakże się cieszę, że cię widzę! — zawołała z wręcz operetkowym temperamentem. — A ty też się cieszysz?

— Ależ oczywiście — powiedział Kerze i otoczył ją ramieniem, czego zdawała się gwałtownie pragnąć.

— Jak to dobrze, że jesteś — powiedziała Marlena i pocałowała go w policzek.

Te komplementy i pieszczoty wywołały w Kerzem nieufność.

— Stało się coś? — zapytał.

— Karl Schulz mnie wyrzucił! — Marlena powiedziała to bez większego smutku. — Zachował się jak proletariusz. Niewiele brakowało, a byłby mi walizki pozzrzucał ze schodów.

— No, no! — powiedział Kerze uspokajająco.

— Czy wiesz, jak cię nazwał? Powiedział ni mniej, ni więcej, tylko tak: wynoś się do tego twojego złotego bałwana!

— Posunął się trochę za daleko — rzekł Kerze urażony.

— Ja na twoim miejscu bym mu tego nie podarowała!

— Pociągnę go do odpowiedzialności — oświadczył Kerze z godnością. — Nie wolno mu w ten sposób traktować człowieka, który jest mi... hm... w pewnej mierze bliski.

— Jakiś ty kochany! — Marlena przytuliła się do niego. Poczuwszy na sobie jego ramiona, powiedziała: — Co ja

bym zrobiła, gdyby ciebie nie było! Ale przy tobie czuję się bezpieczna.

— Bo też jesteś tu bezpieczna — powiedział Kerze, oddychając z trudem.

— Jak to dobrze — wyszeptała. — W takim razie mogę kazać przynieść tu moje walizy.

Tak to Marlena Sonnenberg wprowadziła się do willi Kerzego, wedle jej słów: na kilka dni. Kerze nie był tą inwazją zbytnio zachwycony, ale tolerował ją — ostatecznie zapowiadała również pewne przyjemności. I gdy Marlena zaczęła rozpakowywać swoje manatki, usiadł znowu w swym ulubionym fotelu i pogrążył się w rozmyślaniach.

Po tym wszystkim, co się stało, po tym wszystkim, co przeżyłem, mówił sobie w duchu, najważniejszą rzeczą na świecie jest teraz dla mnie moja fabryka. Jej się będę teraz całkowicie poświęcał, i nikt nie potrafi mi w tym przeszkodzić, nawet Marlena. Jak mi się znudzi, wyrzucę ją jak stary zużyty towar. I to po obniżonej cenie.

Wprawdzie nie wiem, dlaczego mnie pan tutaj poprosił — powiedział Gisenius uprzejmie — ale jeżeli chce pan ze mną porozmawiać, to proszę bardzo.

— Dziękuję panu — rzekł inspektor policji Sand nieco sztywno. Nie czuł się zbyt dobrze w swej skórze, wiedział bowiem doskonale, kogo miał przed sobą. Tylko idiota mógłby w lekkomyślny sposób zrobić sobie wroga z tego człowieka. A kariera Sanda wcale jeszcze nie doszła do szczytu.

— Jeżeli wolno zapytać — powiedział Sand ostrożnie — czy jest pan poinformowany o śmierci niejakiego Michela Meinersa?

Gisenius złożył ręce na kolanach.

— Tak, jestem poinformowany.

— A skąd ma pan tę informację?

— Telefonowałem do hotelu dworcowego i tam mnie o tym poinformowano. Ale pan już chyba o tym wie?

— Staram się zawsze sprawdzać to, co wiem. W ten sposób próbuję eliminować pomyłki i błędy. A więc znał pan pana Meinersa?

— Oczywiście! — przyznał się z miejsca Gisenius. — Paru moich przyjaciół również go znało. Był naszym kolegą frontowym. Uczciliśmy nawet nasze spotkanie małą bibką.

— I abyście mogli uczcić to spotkanie, polecił pan niejakiemu panu Tantauowi odnaleźć Michela Meinersa, prawda?

— Pan Tantau załatwia różne sprawy dla mnie i dla moich klientów. Na przykład kilka dni temu wyjaśnił pewien wypadek drogowy i zlikwidował jego skutki. Między innymi prosił się go również o to, żeby się dowiedział adresu Michela Meinersa.

— Po co właściwie?

— To całkiem proste: kilku moich przyjaciółom zdawało się, że przypadkiem widzieli Michela Meinersa. Pomyłka była niewykluczona, ale możliwe było również, że nasz stary kolega frontowy rzeczywiście się tu zabłąkał. Kazaliśmy więc go szukać, gdyż chcieliśmy go zobaczyć.

— A Michel Meiners? Czy on również chciał panów zobaczyć?

— Meiners był człowiekiem bardzo bojaźliwym i skromnym, a poza tym to, co się nazywa poczuciem koleżeństwa, było mu raczej obce. Fałszywy wstyd, rozumie pan?

— Po trochu zaczynam rozumieć — rzekł Sand cicho.

— A więc Meiners był naszym kolegą. Śmierć jego bardzo nas wszystkich dotknęła i postanowiliśmy urządzić mu piękny pogrzeb.

— Nazwisko Kronshagen jest panu znane?

— Porucznik Kronshagen był w ostatnich tygodniach wojny moim dowódcą kompanii.

Sand kiwnął głową.

— A teraz jest prokuratorem.

Przez parę sekund Gisenius milczał. Ale na twarzy jego nie zaszła żadna zmiana. Zbielały mu tylko kostki splecionych ze sobą palców.

— Cokolwiek by pan powiedział — rzekł wreszcie głuchym głosem — nie widzę tu najmniejszego związku. Śmierć Michela Meinersa to jedna sprawa, a owo wydarzenie na froncie to druga sprawa, i nie ma ono ze śmiercią Meinersa nic wspólnego.

— Prokurator Kronshagen jest innego zdania.

— Ale przecież tylko pana zdanie jest tu miarodajne.

— W jednej sprawie tak, w drugiej nie — powiedział Sand. — W tej drugiej sprawie prokuratura wszczęła dochodzenie.

— To po prostu śmieszne — powiedział Gisenius. — Poza tym ze stanowiska prawnego sprawa jest przedawniona. Jaki sens wszczynać teraz dochodzenie? Ostatecznie Meiners nie żyje.

— Otóż to. Nie żyje! Otóż to — powiedział Sand z naciskiem.

— Panie Sand — zapytał Gisenius z prowokacyjną szczerością — czy odważyłby się pan wystąpić z oskarżeniem mnie o morderstwo czy też o współudział w zamordowaniu Michela Meinersa?

— Broń Boże! — zawołał Sand przerażony. — O tym nie może być mowy.

— No więc! — powiedział Gisenius. Wskutek ogromnego wysiłku, na jaki musiał się zdobyć, żeby jak najbardziej się w tym momencie skoncentrować, krople potu wystąpiły mu na czoło. — A to jest właśnie tu decydujące.

— Mimo to chciałbym zapytać o parę szczegółów — upierał się Sand.

— Wie pan przecież doskonale, drogi panie Sand, co w praktyce takie dochodzenia oznaczają. Budzą u ludzi nieufność, stwarzają pretekst do najrozmaitszych domysłów i plotek, a w pewnych okolicznościach mogą nawet zrujnować człowiekowi życie lub zwichnąć mu karierę. My obaj najlepiej to wiemy. Czy może pan wziąć to na swoją odpowiedzialność i narazić mnie na tego rodzaju rzeczy?

— Ależ o tym nie może być oczywiście mowy! — zawołał Sand, walcząc żąrcie o utrzymanie swojej własnej po zycji.



— A może potrafi pan udowodnić istnienie jakiegoś związku między zamordowaniem Meinersa a owymi tak niezwykle zawikłanymi wydarzeniami sprzed szesnastu lat? No co, potrafi pan?

— Nie — rzekł Sand zgodnie z prawdą.

Gisenius mógł sobie teraz pozwolić na okazanie swego zadowolenia.

— Jeżeli tak to rzeczywiście wygląda, jak pan mówi, to wszystko jest jasne. Niech pan spróbuje wyjaśnić sprawę śmierci Michela Meinersa. Co się jednak tyczy owych przedawnionych i pogrążonych w całkowitym mroku wydarzeń z przeszłości, to niech pan nie pozwoli mieszać się Kronshagenowi do tych spraw i odrzuci wszystkie jego próby zmierzające w tym kierunku. I to w sposób decydujący. Sądzę, że powiedzieliśmy sobie wszystko, co było tu do powiedzenia.

**C**zy być dyrektorem hotelu to tyle samo, co spełniać swoje życiowe zadanie, jak pan sądzi? — Tantau zmrugał oczy i uśmiechnął się figlarnie. — A może chodzi tu, jak mówią Amerykanie, raczej o biznes. Martin Hirsch uśmiechnął się jeszcze uprzejmiej.

— A wypytywanie ludzi to namiętność czy też głupie przyzwyczajenie?

Podali sobie ręce. Martin Hirsch poprosił swego gościa, aby usiadł. Tantau zajął miejsce w najwygodniejszym fotelu.

— Dobrze się pan czuje w swojej skórce? — zapytał Martin Hirsch wesoło.

— Niezupełnie — odparł Tantau.

— Mam wrażenie, że potrafię coś niecoś zrobić w tym kierunku, żeby się pan poczuł wręcz doskonale.

Zjawiła się Gizela Wandel i spojrzała na Hirscha. Hirsch powiedział do niej:

— Proszę o mały upominek dla pana Tantaua.

Gizela Wandel uchyliła drzwi i wszedł kelner ze srebrną tacą, przykrytą białą serwetką. Postawił tę tacę przed Tan-

tauem, skłonił się nisko i wyszedł. Gizela Wandel, uśmiechając się, zamknęła za nim drzwi.

Tantau zaczął wietrzyć w powietrzu jak pies. Hirsch zdjął z tacy serwetkę i Tantau zobaczył przed sobą posrebrzaną bombonierkę ze słodyczami.

— Nie! — zawołał Tantau. — To nie jest fair. Nie powinien pan tego robić! Nie widzę żadnych możliwości zrewanżowania się. Ja tu przychodzę, żeby powiedzieć panu parę gorzkich słów prawdy, a pan próbuje przekupić mnie słodyczami. To wręcz okrutne z pańskiej strony, panie Hirsch.

— Spokojna głowa! — powiedział Hirsch — to nie ode mnie. To od Karen.

— Dziwna dziewczyna — zauważył Tantau. — Chodziła ze swoim sercem po ludziach jak jakiś domokrażca i nikt go nie chciał. A w stosunku do pana robiła sobie wielkie nadzieje, drogi panie Hirsch.

— Niestety — powiedział Hirsch — na męża jestem dla niej za stary, na ojca zaś za młody. Cóż więc miałem robić? Ale wydaje mi się, że teraz jest na właściwej drodze. Nareszcie spakowała walizki i opuściła tę swoją cieplarnię. Jestem prawie pewien, że pan jej to doradził.

Tantau chrupał swoje słodycze i już zdążył spałaszować kandyzowany plasterek cytryny, kawałek nugata i serce z marcepana. Oczy mu błyszczały jak zadowolonemu kocurowi.

— W jaki sposób pan to osiągnął? — zapytał Hirsch. — Przecież Karen jest całkowicie nieprzystępna, zwłaszcza gdy chodzi o sprawy poważne.

— Bardzo się pan myli — powiedział Tantau i sięgnął na odmianę po kawałek łomu migdałowego. — W gruncie rzeczy Karen nie jest ani gorsza, ani lepsza od wielu swoich rówieśniczek. Rozmawiałem z nią zupełnie normalnie, mniej więcej tak jak ze sobą samym, kiedy nikt mnie nie słyszy. I ona to rozumiała. W podobny sposób chciałbym mówić z panem, drogi panie Hirsch.

— Bardzo proszę. O czym to chce mnie pan przekonać?

— Na przykład o tym, że to, co wielu uważa za koleżeństwo, nie jest wcale glejtem żelaznym na całkowitą swobodę.

— Mam wrażenie, że rozumiem — powiedział Hirsch, uśmiechając się z właściwą sobie ironią. — Chciałby pan, że tak powiem, uwolnić mnie od gorsetu stadnego myślenia. Wcale nieźle. Ale ja jestem człowiekiem ułomnym, obciążonym niezliczonymi wadami. Niech się pan nie krępuje, niech pan spokojnie wypowie swoje zarzuty, na pewno niejeden z nich będzie słuszny.

— Niech się pan nie zgrywa na hochsztaplera — powiedział Tantau. — Bo pan wcale nie jest taki zły, jak pan udaje. Pańskim błędem jest jedynie to, że zbyt swobodnie interpretuje pan, oczywiście przez swoją lekkomyślność, pojęcie tolerancji. To prawda, tolerujemy głupotę, jest ona niestety nieunikniona, i podkpiwamy sobie z nieszkodliwego awanturnictwa, które często uchodzi za tak zwane koleżeństwo. Ale gdy za tym słowem kryje się kretyńska klika pijaków albo klub półkryminalistów, w którym jeden osłania drugiego, wtedy, mój drogi panie Hirsch, żart przestaje być żartem.

— Możliwe — rzekł Hirsch.

— Odnoszę ciągle takie wrażenie, że jedni atakują nieprzyjaciela wprost, inni zaś strzelają tylko z ukrycia. Jak pan sądzi, do których pan należy?

— Czyżby pan sądził, że jestem typem, który tak łatwo da się ustrzelić?

— Myśli pan, że nikomu się to nie uda? Nawet Benni-ckenowi? Myśli pan, że Frammler wahałby się choćby przez chwilę, gdyby miał okazję włączyć pana do swojej kolekcji?

— Niech się pan nie wysila. Nie może pan mnie tym zaniepokoić.

— A więc bardziej ufa pan pod tym względem Giseniu-sowi i Kerzemu. A może woli pan Schulza?

— Drogi panie Tantau — powiedział Martin Hirsch, który nagle spoważniał — w gruncie rzeczy jest mi dosyć obojętne, do czego pan zmierza. Ale niech pan wyłączy z tej gry Schulza, to naprawdę porządny chłop.

— Jeżeli pan uważa, że jest odpowiedzialny nie Schulz, lecz niejaki Kronshagen, to muszę pana rozczarować. Odnalazłem tego Kronshagena. O mało go krew nie zalała.

Ponieważ jest prokuratorem, zna się na kruczkach i furtkach sprawiedliwości. Poza tym ma inną legitymację partyjną niż Gisenius. Cała ta sprawa była dla niego gratką nie lada!

Hirsch potarł sobie podbródek.

— O ile pana znam, panie Tantau, to pan jeszcze tego Kronshagena, oczywiście z właściwą sobie ostrożnością, zdopingował. No cóż, niewiele mnie to obchodzi, niech się Gisenius tym martwi. Ale Schulza trzeba zostawić w spokoju, nie można dopuścić do tego, by zrobiono z niego kozła ofiarnego.

— Ktoś jednak będzie musiał w to uwierzyć! — powiedział Tantau. — A Schulz wprost sam się naprasza. Chodzi więc o to, czy nie można by znaleźć kogo innego. Mówiąc zupełnie szczerze: mógłby pan wskazać kogoś innego?

— Sądzi pan, że byłbym do tego zdolny? Chciałby pan, żebym wydał kolegę?

— Tak — rzekł Tantau z zaskakującą szczerością. — Właśnie tego od pana oczekuję. Tylko ja bym tu użył innego określenia niż wydać czy zdradzić. Te słowa zalatują brukową powieścią, szmirą filmową albo gazetką dla ciemnych żołnierzyków. Powiedzmy więc raczej: sprawiedliwy obrachunek, podyktowany przez rozum.

— Zawsze wiedziałem, że kret w ogrodzie to w porównaniu z panem niewinne stworzenie.

— Drogi przyjacielu, niech pan nie próbuje mi wmawiać, że pan też padł jedynie ofiarą fatalnego zbiegu okoliczności. Nie jest pan nią! No bo cóż pan sobie wtedy myślał, kiedy pan udawał, że bierze pan Bogu ducha winnego Siegerta za Meinersa?

— Nie wierzy pan, że się pomyliłem?

— Nie sądzę, żeby właśnie pan mógł się w tym względzie pomylić. To, na co sobie pan wówczas pozwolił, było zwykłym wyrachowaniem. Chciał pan sprowokować swoich kolegów. Zupełnie świadomie! Chciał pan wyciągnąć na jaw coś, o czym pan coś niecoś wiedział, ale czego nie był pan tak zupełnie pewien. I żeby dowiedzieć się całej prawdy, zastosował pan wobec kolegów metodę presji. Wietrzył pan przestępstwo, za które jeszcze dziś można

pociągnąć sprawcę do odpowiedzialności sądowej, i chciał pan mieć co do tego całkowitą pewność.

— Wie pan dobrze, panie Tantau, że mnie pan nie weźmie na żadne tam takie teorie. Tylko fakty mogłyby mnie przekonać. A czuję wyraźnie, że ma pan w zanadrzu takie fakty.

Tantau, który tymczasem spałaszował ogromną ilość słodczy, powiedział łagodnie:

— Wie pan chyba, że badałem sprawę śmierci tego małego Konstantina Kerzego. Przy tej okazji natknąłem się na owego Saffranskiego. Z konieczności musiałem się wywieźć, co robił w domu Kerzego. I czy wie pan, jaki był rezultat? Saffranski pracował nad stosem akt dotyczących wyłącznie hotelu „Unter Drei Kronen”. Akta te zajmowały się szczególnie dyrektorem tego hotelu.

Hirsch zaczął się śmiać, z początku trochę sztucznie, ale potem coraz naturalniej, aż wreszcie wybuchnął niepohamowanym, głośnym i radosnym śmiechem.

— To świetnie się składa! — zawołał. — Mój kochany przyjaciel i dobry kolega chce mnie wykopsać. Ma to być pewnie podzięką i uznanie za usługi wyświadczone jego rodzinie. Można pęknąć ze śmiechu, prawda?

I Hirsch nacisnął dzwonek na biurku.

— Zanim jeszcze pan tu przyszedł — powiedział, nie przestając dzwonić — powziąłem pewne postanowienie. I teraz widzę, że była to jedyna słuszna decyzja.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do gabinetu wpadła Gizela Wandel.

— Co się stało? — zapytała wyraźnie zaniepokojona. Popatrzyła na obu panów uważnie, ale ci siedzieli spokojnie naprzeciw siebie. Widok ten ją uspokoił.

— Dzwonił pan jak na alarm! — powiedziała z lekkim wyrzutem w głosie.

— Nadeszła pani wielka godzina! — zawołał Martin Hirsch. — Nareszcie się pani doczekała! Dyrektor Kerze wchodzi do zarządu hotelu, jego pierwszym i bezwzględnym życzeniem będzie wymówienie mi posady. Ale ja już wymówiłem! Przed pięcioma minutami.

Gizela Wandel stała przy drzwiach. Obrzuciwszy Hirscha niedowierzającym i pełnym wyrzutu spojrzeniem powiedziała:

— Nie wierzę, żeby to była pańska ostateczna decyzja.

Hirsch podniósł się; zdawał się być w szampańskim hurmorze.

— Oczywiście gotów jestem oświadczyć, i zrobię to z największą przyjemnością, że pani winna być moją następczynią. Doskonale się pani orientuje w tej budzie, lepszej kandydatki już nie można znaleźć.

— Jeżeli pan odejdzie — powiedziała Gizela Wandel — to i ja sobie pójdę.

— Bravo! — zawołał Tantau wesoło.

— Nie chce mi się już więcej gadać na ten temat — powiedział Hirsch, który stał już naprzeciwko Gizeli Wandel.

— Ani mnie — powiedziała Gizela Wandel, patrząc na niego z pokorą.

Martin Hirsch potrząsnął głową.

— To wszystko dla pani dobra. Bo ja chcę pani dobra.

— Ależ, moi państwo! — zawołał Tantau zdumiony. — Czy to naprawdę tak trudno zrozumieć? Tu jedno chce dobra drugiego, a co z tego wychodzi? Martin Hirsch postanowił odejść, a wraz z nim Gizela Wandel. Dokąd pójdą oboje? Myślę, że co do tego jakoś się ze sobą porozumieją.

Gdybyś wiedział, co ja ostatnio przeżyłem — rzekł z goryczą Willy Kerze — szczerze byś mnie pożałował.

— Gdybym oczywiście miał czas. — Gisenius, który zaczął wycierać sobie chusteczką czoło, choć w biurze zakładów „Stabilator” wcale nie było gorąco, powiedział bez właściwej sobie uprzejmości: — Bo akurat teraz każda godzina jest bardzo cenna. Teraz już chodzi o być albo nie być.

Kerze zapytał cynicznie:

— Czyżby ten Michel Meiners ciągle jeszcze nie był trupem?

— Meiners nie żyje — odparł Gisenius — ale niespodziewanie ktoś inny zrobił się bardzo żywotny, skończona świnia, która niby to broni sprawiedliwości, niejaki Kronsha-gen, swego czasu nasz dowódca kompanii, a obecnie prokurator. Zaatakował nas z niesłychaną gwałtownością, my sami nie potrafimy mu zamknąć ust. Ale ostatecznie powstrzymać i pohamować można każdego, jeżeli tylko podejdziesz się do człowieka z właściwej strony i we właściwszy sposób.

— No to działaj odpowiednio! — zawołał Kerze zdenerwowany.

— Właśnie działałam i dlatego tu jestem — powiedział Gisenius. — Bo teraz ty musisz zadziałać. Nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem Bartoscha. Nie ma innej możliwości. Trzeba przekonać Bartoscha, że chodzi o honor, opinię i być albo nie być rodziny, do której wkrótce wejdzie.

Kerze patrzył przed siebie pustym wzrokiem jak monarcha, któremu nie pozostaje nic innego jak tylko podpisać abdykację.

— To się nie da zrobić — rzekł głuchym głosem. — Karen znikła. Nie chce wyjść za mąż za Bartoscha. Nawet nie wiem, czy i kiedy powróci.

— Babskie fochy — mruknął Gisenius gniewnie. — Wszystkie tak gadają, a potem jedzą z ręki. Jeżeli nawet Karen wyjechała, to czy Bartosch musi o tym koniecznie wiedzieć? Jeżeli nawet oświadczyła, że nie chce wyjść za niego, to czy musisz go tak zaraz co do tego uświadamiać?

Rozmowa telefoniczna między Willym Kerzem a radcą Bartoschem była niezwykle pomyślna. Naprzód Kerze przekazał Bartoschowi serdeczne pozdrowienia od Karen i zapewnił go, że narzeczona czeka nań z utęsknieniem, a dopiero potem przedstawił mu tę drażliwą sytuację, w jakiej znalazł się razem ze swymi przyjaciółmi, ludźmi honoru i o nieposzlakowanej opinii. Prosił o zrozumienie i pomoc. Bartosch przyrzekł jedno i drugie, po czym ze swojej strony poprosił, by Kerze pozdrowił od niego jego uroczą narzeczoną.

Nie wiem, jak ty sobie wyobrażasz swoją przyszłość. — Karl Schulz patrzył na swoją kuchnię w taki sposób, jak gdyby wkrótce miał się z nią rozstać. — Oczywiście będę się starał pomagać ci w miarę swych możliwości.

— Bardzo to miło z twojej strony — powiedziała Ewa. — Ale ja sama jeszcze nie wiem, jak będzie wyglądała nasza przyszłość. Nie sądzisz, że musi o tym zdecydować Klaus?

— Pewnie, że tak sądzę.

— On cię bardzo lubi.

— I ja teraz lubię tego chłopaka! Musisz jednak zrozumieć: nie mam powodu rzucać mu się na szyję, skoro zabiera mi siostrę.

Schulz usiadł przy kuchennym stole i patrzył z rozczerwieniem na Ewę, jak ceruje skarpetki; był wzruszony, bo to były jego skarpetki. Nagle ktoś zadzwonił do drzwi — dwa dzwonki krótkie, jeden długi.

— To Klaus! — zawołała Ewa. Błyskawicznie odrzuciła skarpetki — jego skarpetki! — i wybiegła z kuchni.

— Dobrze, że jesteś, szwagrze! — zawołał Klaus już od drzwi. — Muszę z tobą omówić masę rzeczy.

Schulz wstał, ujął wyciągniętą ku sobie rękę i potrząsnął nią serdecznie. Było mu przyjemnie, że Klaus nazwał go szwagrem.

— Siadaj — powiedział do Klause. — A może chcecie być sami?

— Gdybyśmy chcieli, poszlibyśmy do pokoju Ewy — powiedział Klaus bez żenady.

— Naprawdę najwyższy już czas, żebyście się pobrali! — mruknął Schulz.

— Jeśli o nas chodzi, to gotowiśmy to zrobić choćby zaraz.

— Ale ty nie masz jeszcze zawodu.

Klaus był jednakże dobrej myśli.

— A czy nie mam rąk? Czy upadłem na głowę? Umiem przecież rachować i pisać, nawet stać mnie na dwie, trzy własne myśli.

— A gdzie chcecie zamieszkać?



— Przypuszczalnie me zostaną z miejsca kierownikiem stacji benzynowej, więc na razie będziemy się musieli bardzo ograniczać. Wystarczy na początek jeden pokój.

— Mój — powiedziała Ewa.

Schulz wyraźnie się ożywił.

— Czy to znaczy, Klaus, że zamierzasz się tu wprowadzić?

— Oczywiście. Czy nie jest to dobre rozwiązanie?

— Jeszcze jak! — Schulz ujrzał przed sobą nowe, sensowne zadanie. — Byłbym bardzo rad, gdybyśmy mogli mieszkać tu razem. Ostatecznie jest jeszcze ten drugi pokój, który dotychczas wynajmowaliśmy. Moglibyście go też zająć.

— Niestety nie będzie to możliwe — odparł Klaus i po raz pierwszy uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Wiem, że pokój ten jest w tej chwili nie zajęty, ale wyobrażałem sobie, że tam zamieszka ktoś inny. Bo jeżeli się do was sprowadzę, to nie sam. Zabiorę ze sobą moją matkę.

— Człowieku! — Na twarzy Karla Schulza pojawił się wyraz zatroskania. — Tego nie możesz zrobić swojemu ojcu! Pękłby ze złości.

— On tak łatwo nie pęka, jest wytrzymały. — Klaus popatrzył Schulzowi prosto w oczy i dodał: — Jedno musisz sobie uświadomić, Karl: że w tym wypadku będziesz się musiał zdobyć na jednoznaczną decyzję. Obawiam się, że w tym stanie rzeczy możesz mieć tylko jedno albo drugie. Albo starego kumpla z wojny, albo męża dla swojej siostry.

*Masz go tu u siebie?* — zapytał Bennicken i ostrożnie przysunął się bliżej.

Frammler kiwnął potakująco głową, nie odrywając się od swojej roboty — pudrował właśnie twarz trupa. — To chyba zrozumiałe samo przez się, że u mnie wyładował.

Bennicken przeszedł przez gabinet zabiegowy i stanął obok swego przyjaciela Frammlera. Rzucił okiem na nie-

boszczyka, któremu mistrz sztuki pogrzebowej nadawał właśnie ostatni szlif.

— Ciągłe mi się to jeszcze nie może pomieścić w głowie.

— Frammler poprawiał właśnie za pomocą czarnej kredki brwi nieboszczyka. — A taki byłem pewny, że wtedy na skraju lasu widziałem go w charakterze trupa.

— Mylić się to rzecz ludzka, powiedział kogut, złącząc z kaczki. — Bennicken wzruszył obojętnie ramionami. Po tem leniwym ruchem przysunął sobie stołek i usiadł na przeciw Frammlera. Pięknie oświetlony nieboszczyk leżał teraz między nimi. Bennicken zdjął swe szoferskie rękawice i położył je na stole zabiegowym, obok głowy trupa. Następnie zapalił papierosa i zaczął puszczać dym w kierunku Frammlera, przesłaniając przy tym chmurą dymu twarz nieboszczyka. — Właściwie szkoda go, był z niego dobry chłop.

Frammler przerwał swoją robotę i spojrzał na Bertnickena. — W końcu zaczniesz jeszcze twierdzić, żeś go kochał.

Bennicken prychnął pogardliwie: — Ja nie kocham nikogo!

Frammler uśmiechnął się cynicznie:

— Nawet ojczyzny?

— Może, ale oprócz niej nikogo!

— Taki jest człowiek! — zawołał Frammler. — Większość ludzi czołga się przez życie, spędzając czas na klęczkach w ławkach kościelnych albo leżąc po ciemnych kątach. Ale są tacy, którzy znają swoją wartość, wiedzą, jakie jest ich zdanie, i działają! Bezinteresownie. W ciszy. Około godziny dwudziestej drugiej.

— Dokładnie o tej porze, kiedy byłem u ciebie.

— Rzeczywiście byłeś tu o tej porze? — Frammler przypatrywał się niemal z zachwytem dziełu swej sztuki kosmetycznej.

— Nie pamiętam, żebym patrzył na zegarek.

— Co takiego? — Bennicken podniósł się ociężale.

— Nie przypominasz sobie?

Frammler cofnął się, lekko przestraszony.

— Poczekaj, ja już sobie przypomnę — zapewnił go skwapliwie — nie wiem tylko jeszcze dobrze, co.

— Siedzieliśmy razem.

— To prawda. Siedzieliśmy i gadaliśmy. Czy też nie o trupach?

— O sprawach zawodowych — sprostował Bennicken opryskliwie. — To wystarczy.

— Pięknie. A więc gadaliśmy. Mniej więcej od ósmej czy wpół do dziewiątej wieczorem. Golnęliśmy sobie przy tym jednego, mam na myśli: jeden litr. A może było to tylko pół litra? Właściwie piłem tylko ja, tyś zaledwie parę razy umoczył usta; no cóż, ostatecznie jesteś kierowcą z dużym poczuciem odpowiedzialności.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Bennicken. — Czyżbyś zamierzał twierdzić, że byłeś zalany?

Frammler, jak gdyby na znak protestu, uniósł w górę ręce, w których trzymał przybory kosmetyczne; wyglądało to tak, jakby się poddawał.

— Wiesz dobrze — zaczął zapewniać przyjaciela — że zawsze możesz na mnie liczyć. Gadaliśmy więc i gadaliśmy, aż wreszcie ty powiedziałaś: która to właściwie godzina, już czas na mnie, muszę wracać do domu. Czy tak nie było?

— Owszem, bracie, tak było!

— A potem spojrzałem na zegarek i stwierdziłem... Co ja właściwie stwierdziłem? Pamiętasz to jeszcze?

— Było coś około godziny dwudziestej trzeciej, parę minut po.

— Dwudziesta trzecia minut siedem, prawda? — Frammler miał taki wyraz twarzy, jak gdyby nie posiadał się z radości, że jego pamięć nagle znowu zaczęła funkcjonować.

— Tak, minut siedem — zgodził się Bennicken. — Niech będzie.

Frammler wziął do ręki grzebień, pochylił się nad trupem i niesłychanie ostrożnie zaczął mu poprawiać fryzurę.

— Nikt nie ma nawet pojęcia — powiedział — jak wiele stronnych kwalifikacji wymaga ten zawód. Szeroki ogół prawie nie zauważa naszej działalności, jesteśmy po prostu niedoceniani. A przecież w takich czasach jak dzisiejsze, kiedy ludzie na ogół ograniczają się do wąskiej specjalizacji, my musimy znać się na stolarce i na ślusarce, a nawet

na włókniarstwie, gdyż dopiero wtedy można wyprodukować udaną trumnę. Poza tym musimy się znać na krawiectwie, na kosmetyce i sztuce fryzjerskiej.

— Tak, zawód macie niełatwy! — zgodził się Bennicken.

— Przyjrzyj się bliżej naszemu poczciwemu Meinersowi — rzekł Frammler — i powiedz sam: można go już w tej postaci pokazać?

— Jak najbardziej. Wygląda, jakby był z filmu.

— Też coś! Kto ci na filmie albo w telewizji tak wspaniale się prezentuje! — Frammler uśmiechnął się pogardliwie.

— Jedna morda podobna do drugiej. A nasz poczciwy Meiners to przynajmniej indywidualność, prawda?

— Tak, bardzo tego chłopca lubiłem — rzekł Bennicken prawie wzruszony.

— Ten strzał w serce był pierwsza klasa — stwierdził Frammler tonem rzeczoznawcy.

Bennicken patrzył przed siebie zamyślony.

— Przynajmniej nic nie czuł.

— Ranę udało mi się stosunkowo łatwo zamaskować. No wiesz, ja mam po prostu hysia na tym punkcie, żeby moi umarłacy sprawiali dobre wrażenie.

— Poczciwy Meiners — westchnął Bennicken i wytarł głośno nos.

**O**czywiście nie powinien pan sądzić — oświadczył starszy radca ministerialny Bartosch — że chcemy w jakimś sensie wpłynąć na pana. — Raczej usiłujemy panu pomóc — uzupełnił Gi-senius.

— Bardzo jestem panom wdzięczny — zapewnił ich inspektor policji kryminalnej Sand. Niełatwo mu było nad sobą panować. — Nie wiem tylko, czy cały ten trud panów jest w tym wypadku potrzebny.

— Tym lepiej — powiedział Bartosch.

Sand czuł się diabelnie nieswojo. Doskonale wyznawał się w kryminalistyce, ale nie był ani adwokatem, ani

urzędnikiem ministerialnym, i dlatego różne kruczki były mu obce.

Gisenius orientował się w tym i oczywiście zwrócił Bartoschowi na to uwagę. Cały czas, już od pierwszej chwili, jak tylko wszedł z Bartoschem do biura inspektora, usiłowali zarzucić sieci.

Po upływie dziesięciu minut Sand zaczął powoli mięknąć. Obaj uprzejmi inkwizytorzy nie tolerowali żadnego uchylania się od odpowiedzi, żadnego wykręcania się sianem. Z samym Giseniusem Sand dałby sobie jeszcze od biedy radę. Gisenius nie był osobą urzędową, Ale starszy radca ministerialny Bartosch zjawiał się z pełnomocnictwem ministra.

— Pan minister — powiedział Bartosch uprzejmie — jest człowiekiem przewidyującym, a poza tym ma dobrą pamięć. Przypomnił sobie pańskie nazwisko i pańską dotychczasową działalność, panie inspektorze. Mam wrażenie, że się pan z tego ucieszy.

— Oczywiście — powiedział Sand dość niewyraźnie.

— Panie inspektorze, może pan sobie pogratulować. — Bartosch uśmiechnął się uwodzicielsko, jak gdyby po ukończeniu wyścigów konnych rozdzielał nagrody. — To istotnie niezwykle wyróżnienie, że pan minister zapamiętał sobie pana od tej pozytywnej strony; wiemy z doświadczenia, że przeciwne stanowisko ministra jest jednoznaczne z katastrofą. Otóż pan minister jest gotów orędować urzędnikom swego resortu i ze swojej sfery wpływów, oczywiście na zasadzie wzajemności. Jest to do pewnego stopnia akt solidarności, rozumie mnie pan?

— Rozumiem — powiedział Sand z trudem. — Wszystko to doskonale rozumiem, biorąc rzecz czysto teoretycznie. Ale ja jestem praktykiem.

— Dlatego też tu przyszlismy — powiedział Bartosch protekcyjnie. — Proszę spokojnie pozostawić wszelkie finezje nam. Później, kiedy zostanie pan radcą policji kryminalnej, może pan znowu bawić się w takie rzeczy. A więc ograniczmy się do spraw czysto praktycznych. Wyjaśnił pan już sprawę śmierci tego pana Meinersa?

— Na razie uważam, że dochodzenie nie zostało jeszcze zakończone.

— Może pan w przybliżeniu powiedzieć, kto wchodzi w rachubę jako sprawca?

— Mógłbym. Mamy wszelkie podstawy do podejrzeń.

— Czy istnieje jakiś punkt zaczepienia, na którego zasadzie można by przypuszczać, że śmierć tego pana Meiner-sa ma coś wspólnego z grupą ludzi skupioną wokół niejakiego Schulza, Karla Schulza?

— Nie — odparł Sand z lekkim wahaniem.

— To jest też nie do pomyślenia! — Gisenius podkreślał wyraźnie swoją przewagę. — A więc w ten sposób sprawa byłaby praktycznie załatwiona.

— Czy rzeczywiście, panie inspektorze Sand? — zapytał Bartosch natarczywie.

— Niekoniecznie — odparł Sand nie bez pewnego wysiłku. — Panowie zapominają, że prokuratura wniosła o wszczęcie śledztwa.

— Proszę przyjąć do wiadomości — oświadczył Bartosch, jakby udzielał nagany — że wniosek prokuratury o wszczęcie śledztwa praktycznie nie istnieje. W porozumieniu z panem ministrem rozmawiałem z panem Krons-hagenem. Przy tej okazji mieliśmy sposobność przemyśleć i przedyskutować wszystkie szczegóły tej sprawy. I doszliśmy do wniosku, a raczej pan Kronshagen doszedł do wniosku, że wniosek o wszczęcie śledztwa opiera się na błędnych i fałszywych przesłankach, wobec czego prokuratura go wycofuje.

— Czy jest to oświadczenie urzędowe? — zapytał Sand. Czuł się jak garbarz, któremu sprzątają sprzed nosa najlepsze skóry. — A może jest to tylko pański pogląd?

— Jest to absolutnie urzędowe — powiedział Bartosch zdecydowanie. — Jestem upoważniony do wyciągnięcia wszystkich wpływających z tego konsekwencji.

— Pan radca da mi wobec tego polecenie na piśmie i tym samym najważniejsze byłoby załatwione. — Sand mocno musiał się wziąć w garść, żeby nie okazać swojego oburzenia. — Mimo to panowie pozwolą, że przeprowadzę jeszcze pewną krótką rozmowę telefoniczną.

Nie czekając na to pozwolenie Sand połączył się z pokojem asystentów. I gdy jeden z nich podniósł słuchawkę,

Sand zapytał:— Czy jest coś nowego odnośnie do polecenia numer jeden i polecenia numer dwa?

Polecenie numer jeden brzmiało: zbadać wszystkie szczegóły w sprawie Meinersa, z uwzględnieniem tych, które prowadzą w kierunku kogoś z grupy Schulza. Odpowiedź brzmiała: bez rezultatu. Polecenie numer dwa brzmiało: dotrzeć do Tantaua i poinformować go, że śledztwo w sprawie zamordowania Meinersa dobiega końca. Gdyby miał coś do powiedzenia, niechaj się natychmiast zgłosi do inspektora Sanda. Odpowiedź była następująca: Tantau wrzucił ramionami i kazał zakomunikować, co następuje: każdy kopie sobie grób, jak potrafi.

— Naprawdę nie wiem, czego pan chce! — rzekł Gise-nius wyraźnie zdziwiony. — Ma pan znakomitą opinię i chce ją pan sobie zepsuć akurat z okazji sprawy, w której najbardziej przekonywające wyjaśnienie narzuca się samo przez się.

— Co takiego? — Starszy radca Bartosch udawał najwyższe zdumienie. — Czy mnie słuch nie myli? Istnieją dowody, które mogłyby wszystko wyjaśnić w sposób przekonywający? Jakże one wyglądają?

— W pobliżu miejsca zbrodni znaleziono pistolet, z którego padły śmiertelne strzały — powiedział Sand zmęczonym głosem. — Znajdujące się na nim odciski palców udało nam się zidentyfikować.

— I są to odciski palców niejakiego Lehmgrubera — powiedział Gisenius z triumfem. — Ten Lehmgruber był agentem obcego wywiadu i figuruje na liście Urzędu Obrony Konstytucji. Policja Republiki Federalnej poszukuje go na terenie całego kraju z powodu napadów rabunkowych na taksówkarzy.

— W takim razie wszystko jest jasne! — zawołał Bartosch. Sand spojrział badawczo na Giseniusa i powiedział prze ciagle:

— To zdumiewające, jak pan jest świetnie poinformowany również i w tym wypadku.

— Że też pan to przede mną przemilczał! — zawołał Bartosch. — Niech pan będzie z tego rozwiązania zadowolony! Jest logiczne, ściste, przekonywające.

— Ma tylko jedną wadą — rzekł Sand z rezygnacją. — Podobno od dwóch dni ten Lehmgruber przebywa znowu za granicą. A to znaczy, że nie wchodzi w rachubę jako sprawa.

— Dajże pan spokój! — powiedział Bartosch, wcale nie zbity z tropu, podczas gdy Gisenius wyraźnie zbladł. — I coś podobnego bierze pan poważnie? Na coś takiego dał się pan złapać? Przecież nawet dziecko by się na tym poznało! Znowu próbuje się stwarzać trudności, oczerniać Republikę Federalną. Ale na to nie damy się złapać. My nie!

— Byłoby dobrze — powiedział Gisenius, który znowu odzyskał kolory — gdyby pan zameldował panu ministrowi, że na nas, a zwłaszcza na pana inspektora, tego rodzaju podstępne kroki nie mają żadnego wpływu.

— To byłoby pięknie! — zawołał Bartosch. — A w tej •prawie wszystko jest absolutnie jasne. Morderca nazywa się Lehmgruber. Jest to osobnik plugawy, przekupny, pozbawiony czci i patriotyzmu. Chyba nie ośmieliłby się pan, panie inspektorze, dowodzić czegoś wręcz przeciwnego.

— Nie, nie ośmieliłbym się — powiedział cicho, rumieniąc się ze wstydu, Sand.

— Niczego innego też nie oczekiwałem — rzekł starszy radca Bartosch i uśmiechnął się zadowolony do Giseniusa.

Ostatnie, uroczyste spotkanie koleżeńskie rozpoczęło się tego samego dnia o godzinie dwudziestej. Zwołano je zgodnie z tradycją w hotelu „Unter Drei Kronen”. Tym razem wybrano na ten cel tak zwany srebrny pokój, najbardziej reprezentacyjne pomieszczenie w całym hotelu.

— Dla moich przyjaciół — powiedział Hirsch z uśmiechem na ustach — nic mi nie jest za drogie, oczywiście pod warunkiem, że zapłacą.

Hirsch kazał poznosić wszystko, co tylko godnego uwagi było w hotelu: śnieżnobiały adamaszek z Lyonu przykrywał dębowy stół, porcelana była z Nymphenburga, kieliszki



pochodziły z Wenecji. W jadłospisie widniały wyłącznie przysmaki francuskie, i to z francuskimi nazwami. Zamiast zimnego światła elektrycznego płonęły liczne świece z wosku.

— Jak na pogrzebie — powiedział Frammler z uznaniem.

Willego Kerze aż zatkało; stał przez chwilę oniemiały ze zdumienia, a potem zaczął obchodzić stół, myszkując po nim oczyma. Kiedy już wszystko sobie obejrzał, powiedział sarkastycznym tonem do Martina Hirscha:

— No tak, przecież to nie za twoje pieniądze.

— Ale mam nadzieję, że za twoje! — powiedział Hirsch i oddalił się.

— Bardzo wytwornie. — Nawet Gisenius był pod wrażeniem.

Bennicken, który tym razem włoczył się w ciasne granatowe ubranie, wymamrotał:

— Wszystko pięknie i ładnie, ale ja wołałbym syczące piwo i dymiące półmiski.

— Czy zawsze tam, gdzie ty jesteś, musi wszystko syczeć i dymić? — zapytał Martin Hirsch.

— Bo ja jestem prosty człowiek i mam skromne wymagania — mruknął Bennicken i zaczął rozglądać się za swoim przyjacielem Frammlerem.

Również i Karl Schulz ubrał się odświętnie. Miał na sobie ciemne, lekko wyświecone ubranie, ale wyglądał w nim wcale nieźle. Przywitał się z Hirschem serdecznie, z resztą kolegów zaś z godnością.

— Możemy zaczynać? — zapytał.

— Widzę siedem nakryć — stwierdził jak zawsze spozstrzegawczy Gisenius. — A jest nas przecież tylko sześciu.

— To siódme nakrycie — wyjaśnił Martin Hirsch — zostało pomyślane, że tak powiem, symbolicznie. Tym sposobem mamy w komplecie całą drużynę.

— Jest to wręcz po nordycku! — zawołał Willy Kerze z aprobotą. — *Edda* i tym podobne rzeczy. Krzesło dla zmarłego i tak dalej, i tak dalej. Według starych mitów, że tak powiem.

— A mnie to gównem obchodzi — wmieszał się do rozmowy Frammler. — Jeżeli trzeba, mogę jeść nawet wśród trupów.

— Ja tam respektuję życzenie większości — oświadczył Karl Schulz, choć nikt żadnego życzenia nie wyraził.

— Znowu jesteście razem — rzekł neutralnym tonem Gi-senius — i to jest chyba najważniejsze. Okoliczności zewnętrzne uważam za rzecz drugorzędną.

— Brawo! — zawołał Bennicken. — Nawet w okopach było przytulnie.

— To weź od palacza łopatę — poradził mu Hirsch — i okop się w ogrodzie. Podamy ci żarcie w kubie, a napitek w puszcze od konserw.

— Sądę — powiedział Schulz, przełknąwszy z przyjemnością potężny haust piwa — że możemy przejść teraz do części oficjalnej. Głos ma nasz kolega Gisenius.

— Drodzy koledzy! — Gisenius podniósł się z dostojną miną. — Bywają rzeczy w życiu, które nie przynoszą żadnych wyraźnych korzyści. Bywają bohaterskie czyny, które nie znajdują oficjalnego uznania. Nieraz wielkość i silna indywidualność spoczywa w ukryciu i pod strażą skromności. Także i wśród nas może być ktoś, czyje życie dopełnia się w ciszy. I muszę powiedzieć, że jest to bardzo po niemiecku, jeżeli człowiek tak czuje.

Niejeden z nich tak właśnie czuł. Znosili dzielnie swój los; i jeżeli nawet nie rozumieli tak całkowicie, na czym ten los polega, to przecie byli dumni, że go znoszą. Jedynie Frammler pozostał na to nieczuły — jemu od dawna już nic nie imponowało. Hirsch pozwolił sobie nawet na uśmiech, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi.

— I pod tym względem, drodzy koledzy — ciągnął dalej Gisenius — również Michel Meiners był jednym z naszych. Długo o nim myślałem. I skłonny jestem teraz mniemać, że był on, nie tylko dla nas, kimś w rodzaju symbolicznej postaci, która po wsze czasy żyć będzie w naszej pamięci.

— Dobrze byłoby teraz coś łyknąć — przerwał Giseniu-sowi Frammler. — Gadasz zawsze tak dużo, że mi od tego zasycha w gardle.

— Proszę o spokój! — zażądał Schulz.

— Ten i ów — kontynuował swoje wywody Gisenius — może nie zdaje sobie całkowicie sprawy z tajemniczego tragizmu śmierci Michela Meinersa, ale ten tragizm powinniśmy

uświadomić sobie wszyscy, abyśmy mogli dojść do jednej wspólnej, zgodnej konkluzji. W owych ponurych dniach byliśmy przekonani, iż straciliśmy na zawsze naszego kolegę Meinersa. Tymczasem on dostał się do niewoli i przez długie lata przebywał w radzieckich obozach, choć był niewinny. Wreszcie zwolniono go i pozwolono mu wrócić, ale tylko do strefy wschodniej, gdzie znowu przeżył długie lata w jarzmie. Potem udało mu się jednak znaleźć drogę do wolności, lecz kroczył po niej niepewnie, jakby oślepiiony. Minęło sporo czasu, zanim dotarł do swoich kolegów. Ale ledwie mu się to udało, stał się ofiarą szpicla i bandyty Lehmgrubera. Zostało to stwierdzone urzędowo.

— Słuchajcie, słuchajcie! — zawołał Martin Hirsch z ironią. — A więc to już teraz jest stwierdzone urzędowo. Cóż ty na to, Bennicken?

— Na zdrowie! — powiedział twardo Bennicken.

Wypili więc. I gdy łykali to swoje ciężkie francuskie wino, Gisenius usiadł. W tej samej chwili podniósł się Frammler, który nagle zapragnął zabrać głos.

— Koledzy — zaczął Frammler z wigorem — będę się streszczał, żebyście nie musieli wypuszczać z rąk kielichów. — Przerwał na chwilę, tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Wobec tego jednak, że jakoś nikt nie miał na to ochoty, ciągnął dalej: — Chcę tylko krótko zdać sprawę z tego, co dotąd przedsięwziąłem. A więc jeżeli chodzi o trumnę, to będzie ona zrobiona z drewna bukowego i dębowego i utrzymana w ciemnym tonie, co zwłaszcza przy świecach daje pierwszorzędnny efekt. Co się tyczy okuć, to z początku myślałem o srebrze, ale później ze względu na trwałość...

— Przyślij nam swój katalog! — zawołał Hirsch. — Nie jest to odpowiednie miejsce ani odpowiedni czas do werbowania klientów.

— Cóż to znowu takiego? — zaperzył się Frammler. — Chciałem tylko, żebyście wiedzieli, jak wspaniale ulokowaliście waszą forszę.

— Dobrze, już dobrze, drogi kolego Frammler — powiedział pojednawczo Gisenius — masz nasze całkowite zaufanie.

— Jako grabarz na pewno! — zawołał gniewnie Hirsch.  
Teraz podniósł się na dany przez Giseniusa znak Karl Schulz. Jak zwykle, kiedy musiał zabierać głos, chrząknął kilkakrotnie, po czym zaczął donośnym głosem:

— Koledzy! Witam was serdecznie i dziękuję, żeście się zjawili w komplecie. Mamy opłakać śmierć naszego kolegi Meinersa; miejsce i czas pogrzebu zostaną podane do wiadomości później. Spodziewam się, że i na pogrzeb zjawicie się w komplecie. Poza tym uważam za swój obowiązek wyrazić podziękowanie koledze Giseniusowi za załatwienie różnych ważnych i drażliwych spraw, za to, że wywiązał się, że tak powiem, wzorowo ze swych zadań.

Wedle wszelkich prawideł koleżeństwa wychwalany winien był teraz powiedzieć: „Czym byłbym bez was!”

— Bez was, drodzy koledzy — oświadczył Gisenius — nie byłbym tym, kim jestem.

— Zgadza się! — zawołał Martin Hirsch.

— Chciałbym dalej — ciągnął Schulz — podziękować również naszemu koledze Frammlerowi za jego bezinteresowną ostatnią posługę, którą oddał naszemu koledze Meine-rsowi, bo wywiązał się z tego wzorowo.

— Że wzorowo, zgoda — mruknął Frammler. — Ale dlaczego bezinteresowną?

— W dalszym ciągu — powiedział Schulz już teraz bardzo szybko — dziękuję koledze Hirschowi za jego przykłądną gościnność oraz koledze Kerzemu, który jak zwykle okazał pomoc finansową. W ten sposób część oficjalna byłaby zakończona.

— A Bennicken? — zapytał Martin Hirsch. — Jemu nie dziękujesz?

— Oczywiście dziękuję i jemu — zapewnił wszystkich czym prędzej Schulz. — Bo ostatecznie kolega Bennicken poświęcił niemało czasu i pieniędzy, oddając do naszej dyspozycji siebie i swoją taksówkę.

— I to już wszystko — nalegał w dalszym ciągu Martin Hirsch — za co mu dziękujesz?

— Mam w dupie podziękowania — warknął Bennicken.

— Spełniłem tylko swój obowiązek.

— Uznajmy to i nie szermujmy wielkimi frazesami — za lecił wszystkim Kerze, spoglądając przy tym na Giseniusa. — Żołnierz nie lubi mówić dużo o tym, co jest zrozumiałe samo przez się, możemy to spokojnie pozostawić tym at ramentowym artylerzystom z gazet żołnierskich. Jestem za tym, żebyśmy nareszcie przeszli do tej przyjemnej części naszej uroczystości.

Hirsch spojrzął na nie zajęte siódme miejsce i powiedział:

— Jeszcze trochę potrwa, zanim przyniosą jedzenie. Sądzę, że ten czas moglibyśmy spędzić w sposób wcale zajmujący. Jest bowiem ktoś, kto wyraził chęć porozmawiania z nami. Czeka w sąsiednim pokoju. Uważam, że powinniśmy go tu poprosić.

— Nie! — zawołał momentalnie Gisenius. — Komu to potrzebne? Jesteśmy tu sami swoi, nie chcemy, żeby nam ktoś przeszkadzał.

— Tak, nie chcemy! — zawtórował mu Bennicken.

— Zdaje się, że doskonale wiecie, o kim mówię! — zawołał Hirsch. — Dlaczego więc ten podejrzenie szorstki opór? Uważam, że wszyscy mamy prawo do tego, aby się dowiedzieć, do jakich w końcu rezultatów doszedł w swych poszukiwaniach pan Tantau. Pan Tantau przyrzekł mi, że nas co do tego poinformuje. Jeżeli o mnie chodzi, jestem za tym. Czy ktoś jest przeciwny?

— Ja — rzekł zdecydowanie Gisenius i podniósł w górę rękę.

— I ja — zawołał Bennicken.

— Mnie tam wszystko jedno! — Frammler wychylił duszkiem swój kieliszek.

— A ty, Kerze? — zapytał Hirsch natarczywie. — Czy ty też masz coś przeciwko Tantauowi?

— Nie — odparł Kerze zaniepokojony, nie patrząc przy tym na kolegów. — Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko Tantauowi?

— Nie wiem — rzekł Schulz — o co chodzi. I dlatego z całym zaufaniem przyłączam się do zdania mego przyjaciela Hirscha.

— A więc — stwierdził Hirsch — dwóch jest przeciw, jeden wstrzymuje się od głosu (jemu jest zresztą już wysys-

tko jedno), trzej są za. Prosimy więc tu pana Tantaua, żeby złożył nam sprawozdanie.

— Ostrzegam przed tym! — Gisenius nie potrafił już ukryć swego wzburzenia.

Jestem tym zachwycony — oświadczył Tantau — że mogę raz jeszcze ujrzeć panów wszystkich razem, że tak powiem: w sile drużyny. Obawiam się bowiem, że to po raz ostatni macie panowie okazję zabawić się wspólnie w to, co nazywacie koleżeństwem.

— Czy nie zechciałby pan zająć miejsca Michela Meinersa? — zaproponował Hirsch.

— Owszem — odparł Tantau po krótkim wahaniu. — Zajmę miejsce Michela Meinersa.

Odsunął krzesło, podszedł do stołu, mały, wychudzony człowieczek o twarzy przypominającej jamnika, jak zawsze nędznie ubrany, w szarej pomiętej marynarce, w czystej, ale niedbale wyprasowanej koszuli, do tego krawat o nieokreślonym kolorze. A przed nim adamaszek, porcelana, kryształowe kieliszki i sześciu uroczyście wystrojonych kamratów.

— Od czego mam zacząć? — zapytał Tantau. — Otrzymałem kilka ściśle określonych poleceń i wykonałem je.

— A zatem — powiedział ostrym tonem Gisenius — pańskie zadanie się na tym kończy, jasne?

— Niezupełnie — poprawił go Tantau łagodnie — na tym kończy się tylko to zadanie, które pan przede mną postawił.

— Nie będziemy się spierać o sformułowania — rzekł Gisenius. — Wszystko zostało załatwione i jest pan teraz naszym gościem. Witam więc pana w imieniu swoim i kolegów.

— Na zdrowie! — ryknął Bennicken.

Ale nikt prócz niego nie sięgnął po kieliszek. Tantau patrzył na Giseniusa i czytał z jego twarzy jak z otwartej książki. Reszta przyglądała się temu zdumiona. Bo Gisenius nie wytrzymał spojrzenia Tantaua i spuścił oczy.

— Każdy człowiek ma swoje wady — rzekł Tantau — moją największą wadą jest ciekawość. Gdybym na przykład wyuczył się introligatorstwa, czytałbym prawdopodobnie wszystkie książki, które by mi dano do oprawy. Zajmuję się jednak ludźmi, badam szczegóły ich życia, staram się zgłębić motywy ich postępowania i usiłuję dowiedzieć się tego, czego akurat się w danym momencie ode mnie wymaga. Ale nie umiem zadowolić się tylko jedną stroną medalu, już choćby przez zwykłą ciekawość, zawsze jestem ciekaw i tej drugiej strony. Interesuje mnie całokształt sprawy, nie znoszę połowiczności. Kiedy na przykład otrzymuję polecenie, żeby znaleźć adres jakiegoś człowieka, natychmiast rodzi się we mnie pytanie: dlaczego?

— Ale i tym się pan nie zadowala — wtrącił nie bez ironii Gisenius.

— Jest to oczywiście następne pytanie, ale nie ostatnie. — Tantau wzruszył ramionami. — Wiem, że to wielka wada. A prawie każde pytanie narzuca dalsze pytanie. Tak więc, kiedy mi się już udało ustalić adres (żeby już pozostać przy naszym przykładzie), kiedy odpowiedziałem już sobie na pytanie „dlaczego”, natychmiast interesuje mnie adresat i tak dalej.

— Człowieku — rzekł Frammler, potrząsając głową — pan chyba ma masę czasu!

— Można to i tak nazwać — rzekł Tantau z całym spokojem. — Wyruszyłem więc w świat z poleceniem, żeby odszukać Michela Meinersa. Łatwo go było znaleźć, powiedziałbym nawet: za łatwo w stosunku do tego, jaką wagę przywiązywali do tej sprawy ci, od których to polecenie otrzymałem. Mimo to wszystko było na razie sprawą zwykłej rutyny, dopóki nie natknąłem się na pewną datę: na dzień dwudziesty kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Dzień ten pamiętam jeszcze dość dobrze, bo owego dwudziestego kwietnia przeniesiono mnie z jednego więzienia do drugiego.

— A dlaczego siedział pan w więzieniu?

Tantau uśmiechnął się.

— Dostałem się do więzienia dlatego, że wykryłem mordercę, który dokonał mordu na tle seksualnym. Człowiek

ten był zastępcą gauleitera. Ale na jego terenie znalazł się urzędnik policji kryminalnej, a więc mój kolega po fachu, który próbował udowodnić, że chciałem imputować zastępcy gauleitera, iż popełnił on zbrodnię z motywów politycznych.

— A jak było naprawdę? — zapytał Hirsch. — Miał pan motywy polityczne?

Tantau zaprzeczył ruchem głowy.

— Niestety nie. Byłem zawsze tylko specjalistą od spraw kryminalnych, a to było wówczas za mało. Tak samo jak teraz, w tym wypadku, byłoby za mało, gdybym działał tylko jako funkcjonariusz agencji wywiadowczej. Zostałmy jednak przy owym dwudziestym kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Przeniesiono mnie więc do innego więzienia. Większość więźniów, z którymi znalazłem się w jednej celi, to byli kryminaliści. I ci kryminaliści, dowiedziawszy się wskutek celowej niedyskrecji strażnika, czym jestem z zawodu, rzucili się na mnie i zaczęli mnie kopać jak piłkę nożną. Jakiś dziewiętnastoletni chłopak stanął w mojej obronie i uratował mi życie. Więźniowie omal go nie zmasakrowali. Potem strażnik nazwał mnie przed owym młodzieńcem wrogiem ludu, zdrajcą Wielkich Niemiec i ideałów Fuhrera — proszę pamiętać, że było to dwudziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Wówczas młodzieniec ów plunął mi w twarz. Płakał z wściekłości i ze wstydu, że uratował od śmierci wroga ojczyzny.

— Absurd — rzekł Gisenius z wyraźną niechęcią. — Wyolbrzymiony, pojedynczy wypadek, sytuacja absolutnie wyjątkowa, w każdym razie nietypowa.

— A jednak — ciągnął dalej Tantau — jeszcze wtedy, w ostatniej chwili przed klęską, było sporo młodych ludzi, którzy wierzyli w Hitlera, w Wielkie Niemcy, i Bóg wie w co jeszcze. Kiedy się im mówiło: wysadź most w powietrze! — wysadzali go. Kiedy się im dawało rozkaz: zaminuj drogę — zaminowywali ją. Kiedy padł rozkaz: strzelaj bezmyślnie ze skraju lasu trzysta siedem do przeważających sił wroga — biedny, okłamany, godny litości chłopak zaczął strzelać. Wierzył. W ojczyznę! Albo może w kolegow. I jednym z takich chłopców był Michel Meiners.



— Panie Tantau — odezwał się Schulz — znam pana bardzo mało, jest pan dla mnie nie zapisaną kartą, ale muszę tu z naciskiem podkreślić, że w mojej drużynie wszystko było jak się należy.

— Panie Schulz — rzekł Tantau — fakt, że się obaj prawie nie znamy, tylko dobrze o panu świadczy. Jednak to, co pan przed chwilą powiedział, jest nie do przyjęcia. Bo, pomijając już fakt, że nie ma takiego człowieka, który by dokładnie znał samego siebie, skąd może pan wiedzieć, co myśli pozostałych sześcioro, o czym ze sobą mówią, co robią, kiedy pan na nich nie patrzy? Może był pan wówczas człowiekiem honoru, ale z tego jeszcze nie wynika, że człowiekiem honoru był każdy, kto z panem przez dłuższy czas przestawał.

— Ręczę za moich ludzi! — zapewnił go Schulz.

— Niech pan zaczeka jeszcze kwadrans — poradził mu Tantau — a może wówczas przestanie pan ręczyć.

— Oczywiście jeżeli się wtedy coś stało, to ja ponoszę całkowitą odpowiedzialność. — Schulz wyglądał jak pomnik z granitu. — W owym czasie bowiem ja byłem przełożonym.

— I o tym — rzekł Tantau z łagodnym uśmiechem — dowie się pan czegoś nowego. Najpierw jednak chciałbym stwierdzić rzecz następującą: w każdym więzieniu przeszło dziewięćdziesiąt procent więźniów utrzymuje, że nie poczuwa się do żadnej winy. Wszyscy się tłumaczą nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. U jednych jest to nawet w pewnym stopniu zgodne z prawdą, ale u drugich jest to po prostu zwykły wykręt. Wielu okłamuje nie tylko innych, ale i samych siebie, gdyż działa tu tak ważny czynnik, jakim jest czas. W perspektywie czasu bowiem, pod wpływem autosugestii, przypuszczenie staje się pewnikiem, wymówka prawdą. Krótko mówiąc: winny zaczyna wmawiać sobie, że jest niewinny, i wreszcie wierzy w swoją niewinność mocno i niezłomnie.

— Olśniewający wywód — powiedział Martin Hirsch, tym razem bez ironii. — Słowa pańskie, panie Tantau, wiele rzeczy mi wyjaśniły.

— To jest teoria! — wydusił z siebie z trudem Gisenius.

— Nic a nic z tego nie rozumiem! — zawołał Schulz.

— Bzdury! — warknął pogardliwie Bennicken.

Frammler, zacierając race, zawołał:

— Moi umarlacy mają dobrze, bo już nie żyją, ale biada tym, którzy pozostali przy życiu! Biedny jest nie zamordowany, lecz morderca!

— Przejdźmy do faktów — rzekł Tantau. — A więc Meiners zjawił się tutaj w Rheine-Bergen. Naprzód zobaczył go pan Schulz, co jest ważne. Chciałbym bowiem podkreślić, że pan Schulz ma to, co się w potocznej mowie nazywa sumieniem.

— Schulz, wstań i podziękuj — zawołał Frammler, śmiejąc się tubalnie.

— Reakcja Schulza — mówił dalej Tantau — stała się przyczyną ogólnego niepokoju. Jedni byli niemile zaskoczeni, innych to irytowało, a jeden nawet nie chciał wcale w to uwierzyć i uważał sytuację za niezwykle zabawną.

— Przyznaję się bez bicia — zawołał Hirsch, podnosząc wskazujący palec.

— Dopiero później, panie Hirsch, zorientowałem się, dlaczego z początku uważał pan tę sprawę za zabawną. Przede wszystkim ma pan wrodzoną zdolność do ironizowania, co w życiu niejedno ułatwia. Poza tym widział pan wydarzenia sprzed lat szesnastu inaczej niż reszta, nie znał pan kilku faktów decydujących, tak samo jak Schulz. To, że Frammler w żaden sposób nie mógł uwierzyć w zmartwychwstanie Meinersa, brało się stąd, że się wówczas pomylił.

— Każdemu może się to zdarzyć!

— Pańska ówczesna pomyłka opóźniła mocno całą sprawę; niektórzy byli pewni, że wszystko już dawno zostało załatwione. Rzekoma pomyłka Schulza opóźniła sprawę jeszcze o dwadzieścia cztery godziny. Kerzemu też się zdawało, że się pomylił; rezultat — znowu dwadzieścia cztery godziny opóźnienia. A potem Hirsch opóźnił wszystko o nowe dwadzieścia cztery godziny.

— Niechże pan już skończy z tą gadaniną — powiedział Gisenius. — Schulz, proszę cię, wpływ na pana Tantaua, żeby zamilkł.

— Tylko nie tak gwałtownie! — zawołał Hirsch. — Jestem pewien, że Schulz też chciałby wiedzieć, kto ma Meinersa na sumieniu.

— To już zostało wyjaśnione — powiedział Gisenius. — Sprawca nazywa się Lehmgruber.

— A jeżeli Tantau może nam służyć innym nazwiskiem? — zapytał Hirsch.

— Wzywam kolegę Schulza, by położył kres tej komedii i poprosił pana Tantaua o opuszczenie tego pokoju — zażądał Gisenius. — Jestem pewien, że koledzy się ze mną zgadzają, z wyjątkiem może Hirscha. — Spojrzał na Kerze-go i zapytał: — Prawda, Willy?

Willy Kerze spuścił głowę. Obmacawszy niespokojnymi palcami cygaro, spojrzął na Tantaua, który patrzył na niego badawczo i wyzywająco się uśmiechał. Pod wpływem tego uśmiechu Kerze wykrztusił:

— Cóż to nam szkodzi wysłuchać tego, co pan Tantau ma nam do zakomunikowania?

Gisenius zbladł straszliwie i otworzył szeroko usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wykrztusić słowa.

— A więc dalej, panie Tantau! — zawołał Hirsch zachęcająco. — Niechże pan wreszcie wymieni to nazwisko, je żeli brzmi ono inaczej niż nazwisko Lehmgruber.

— Chętnie — powiedział Tantau. — A więc Meiners, że tak powiem, wdarł się tu, nie przeczuwając nawet, jakie złe moce rozpętał. I prawie natychmiast wpadło mi w ręce sześciu ludzi, którym bardzo zależało na tym, żeby zlikwidować Michela Meinersa.

— No wie pan! — zawołał Schulz oburzony. — Czyżby pan miał nas na myśli?

— Tak — rzekł Tantau. — Ale sześciu ludzi to stanowczo za dużo jak na jeden czyn; nie za dużo jednak na współdziałanie. Normalnie zostaje na końcu zawsze tylko jeden, to znaczy morderca lub głupiec. Najłatwiej znaleźć go wówczas, gdy systematycznie zmniejsza się liczbę podejrzanych. Po prostu stawia się konsekwentnie pytanie: kto tego nie zrobił? W ten sposób eliminuje się jednego po drugim. Ten ostatni jest mordercą, ewentualnie katem albo pomoc-

nikiem. Spróbujmy więc zabawić się w taką zabawę. Wyeliminujemy najpierw tych wszystkich, którzy nie wchodzi w rachubę.

— Więc przede wszystkim mnie! — zawołał Frammler ze śmiechem. — Ja nawet muchy skrzywdzić nie potrafię.

— Możliwe, że się pan muchami nie zajmuje — powiedział Tantau. — Ale o pańskiej wrażliwości pomówimy później. Zajmijmy się najpierw tym, którego z miejsca chciałbym wyeliminować. To jest tym, który zna mnie najmniej, bo jakoś nie mieliśmy okazji zbliżyć się do siebie. Jest to pan Schulz. On jest raczej gotów sam się poświęcić niż poświęcić innych. Dalej wyeliminować trzeba pana Kerze-go. Jest za bardzo pochłonięty swoimi sprawami, nie miał czasu na to, żeby osobiście interesować się Meinersem. Poza tym jedyną treścią jego życia jest fabryka. Zainwestowałby w nią miliony, ale ani jednej kropli krwi. Jako człowiek interesu wie, że w pewnych okolicznościach żadna książeczka czekowa świata nie jest w stanie zmasakrować krwi. Dalej poza wszelkimi podejrzeniami był od samego początku i jest pan, panie Hirsch. Z wielu powodów. Jednym z nich jest to, że za bardzo kocha pan życie, żeby mordować.

Hirsch zrobił taki ruch ręką, jak gdyby pochylał nad grobem obnażoną szablę.

— Nielatwo mi przyjdzie teraz — ciągnął dalej Tantau — wymienić nazwisko pana Giseniusa. Kiedy myślę o panu Giseniusie, a myśleć będę o nim jeszcze długo, widzę go w śnieżnobiałej kamizelce, w takiej samej bieliźnie i w białych rękawiczkach. Ten, kto sprawia takie wrażenie, nie zwykł mordować. I nie ruszy nawet małym palcem tam, gdzie mogłaby popłynąć krew. Ale myśli jego są ostre jak nóż i mogą działać jak dynamit. Pytam więc: czy mogło się w tej grupie stać coś, do czego on dopuścić by nie chciał?

— Chyba jest pan świadom tego — powiedział Gisenius lodowatym tonem — że w moim szczególnym wypadku wypowiada pan wyłącznie przypuszczenia i teorie.

— Owszem, jestem tego świadom — przyznał się szczerze Tantau. — Dla mnie jest to tylko teoria. Decyzję o tym,

czy teoria ta jest słuszną, muszą pozostawić tym, którzy<sup>7</sup> znają pana o wiele dłużej, co wcale nie znaczy, że gruntownie.

— To śmieszne — rzekł Gisenius sztywno. — Wszystko to jest śmieszne, już dawno przedawnione i prawnie nie do udowodnienia.

Tantau kiwnął potakująco głową.

— Miałby pan rację, gdyby tylko o to chodziło. W ostat nich dniach wojny poświęcono bezmyślnie i bez skrupułów całą masę ludzi i z prawnego punktu widzenia nie można tego zaczepić. Skądże więc to zdenerwowanie, ta paniczna obrona? To zupełnie proste: usunięcie Michela Meinersa, zaplanowane usunięcie, nie było przypadkowe, uwarunkowane przez sytuację, lecz z określonego punktu widzenia całkiem konsekwentne.

Gisenius patrzył na Tantaua jak zahipnotyzowany. Tantau podniósł do ust kieliszek, który mu Hirsch podsunął, i przeplukał sobie gardło.

— Bo dlaczegóż to czasami ktoś powinien albo musi umrzeć? — ciągnął dalej. — Przeważnie dlatego, że albo za wiele ma, albo za wiele wie. Co mógł wiedzieć taki Meiners? Może wiedział o tym, co się zdarzyło poprzedniej nocy? Cóż to mogło być? Znalaziono trupa pewnej dziewczyny. Kto był sprawcą jej śmierci? Kto brał w tym udział? Niezawodnie Meiners wiedział, kto jest mordercą, znał bezpośrednich i pośrednich sprawców tej ohydnej zbrodni. Był więc niebezpieczny i dlatego najlepiej by było, gdyby w ogóle nie istniał.

Gisenius zamarł w bezruchu. Schulz spoglądał żałośnie na kolegów i szukał wzrokiem pomocy. Kerze ciągle jeszcze nerwowo ugniatał palcami swoje cygaro. Bermicken wyglądał jak kamienny posąg. Tylko Frammler wiercił się niespokojnie na swoim krześle.

— Dość trudno mi było — ciągnął dalej Tantau — wyrobić sobie zdanie o panu Frammlerze, tak aby mieć przed oczyma jakiś jasny obraz.

— Bo nie jestem kimś przeciętnym — wtrącił Frammler.

— Pan Frammler — powiedział Tantau — ma zdumiewające doświadczenie, że aż chciałoby się rzec: nic, co śmier-

telne, nie jest mu obce. I chyba nie ma takiej rzeczy, której nie można by mu zaufać i powierzyć.

— Niech mi pan to da na piśmie — rzekł Frammler — zużytkuję te słowa jako reklamę.

— Osobą pana Frammlera — ciągnął dalej Tantau — zajmowałem się dosyć gruntownie. Przede wszystkim informowałem się co do pewnych szczegółów u niejakiego Siegerta. Nie dowiedziałem się wprawdzie nic nowego, ale przynajmniej potem miałem jasny obraz tego, w jaki sposób pan Frammler zdobywa informacje. Uświadomiłem sobie przy tej okazji, że na to, aby być przestępcą, brak jest panu Frammlerowi siły, energii i zimnej krwi. Właściwości te posiada jednak, i to aż w nadmiarze, pan Bennicken.

— Czy muszę tego wysłuchiwać? — zapytał Bennicken brutalnie.

— Zabij go — poradził mu Hirsch — to przestanie gadać.

— Po raz pierwszy — ciągnął dalej Tantau z całkowitym spokojem — uświadomiłem sobie te wyjątkowe właściwości Bennickena wówczas, kiedyśmy razem szukali zaginionego Konstantina. Miałem wtedy przytłaczające uczucie, że towarzyszy mi pies łaknący krwi. Rozmowa z Siegertem potwierdziła to moje pierwsze wrażenie, w jego oczach Bennicken był typowym mordercą. Później przypomniałem sobie stary dowcip, który kiedyś przed laty krążył wśród pracowników policji kryminalnej. Wedle tego dowcipu odpowiedź na pytanie, kto nosi rękawiczki, brzmiała: włamywacze, wytworne damy, lekarze operatorzy i taksówkarze. Wiecie panowie, kiedy sobie ten dowcip przypomniałem? Po znalezieniu broni, którą zamordowano Meinersa. Broń ta należała do Lehmgrubera, znajdowały się na niej odciski jego palców. Ale między Lehmgruberem a Meinersem był łącznik, mianowicie człowiek, który nosił rękawiczki, a więc nie mógł zostawić odcisków palców. Człowiekiem tym był pan, panie Bennicken.

— Zabiję tego szczura! — mruknął Bennicken ponuro.

— Spokój! Żadnych odruchów, które mogłyby być fałszywie interpretowane! — Gisenius wstał i ruchem ręki wezwał Bennickena, aby zrobił to samo. — To zupełnie

zrozumiałe, że jesteś wzburzony. Ale uspokój się, nie puścimy płazem tych nikczemnych podejrzeń. Uważaj mnie za swego radcę prawnego i zapamiętaj sobie jedno: nie można ci nic udowodnić.

— Ma pan do pewnego stopnia rację — rzekł Tantau. — Na razie materiału dowodowego jest niewiele. Ale gdy już raz policja kryminalna trafi na właściwy ślad, to wy węszy, co należy, i zdobędzie materiał obciążający. A że już wkrótce na właściwy ślad natrafi, to ja za to panom ręczę.

Gisenius dał ręką znak Bennickenowi i obaj opuścili pokój.

Podniósł się również Frammler i uśmiechając się do Tan-taua, powiedział:

— Gdybyśmy się mieli jeszcze kiedyś zobaczyć, to już chyba tylko w moim zakładzie. Będzie pan wówczas leżał na moim stole zabiegowym.

— To może nastąpić już bardzo szybko — powiedział cicho Tantau.

Kiedy również Frammler opuścił pokój, Tantau spojrzął na Kerzego i zapytał:

— A pan, panie dyrektorze? Pan także ma ochotę wyjść na świeże powietrze?

— Mam — odparł Kerze żałośnie. — Najchętniej spakowałbym manatki i drapnął na koniec świata.

— Niech pan to zrobi — poradził mu Tantau. I bardzo uprzejmie dodał: — Przecież może pan sobie na to pozwolić.

Willy Kerze podniósł się, uklonił się Tantauowi i wyszedł.

— Jedno mu trzeba przyznać — rzekł Hirsch. — Chociaż nie ma żadnej postawy, wie dobrze, jak ta podstawa powinna wyglądać.

— Tymczasem nasz przyjaciel Schulz całkowicie oniemiał — stwierdził Tantau. — Miejmy nadzieję, że nie jest to jego jedyna reakcja na to, o czym teraz wie.

— Ciągłe jeszcze nie mogę tego pojąć — rzekł Schulz głuchym głosem. — Nie wyobrażałem sobie, że coś takie go istnieje.

— Powoli będziesz musiał się do tego przyzwyczać — powiedział Hirsch ciepło. — Świat ten jest wszystkim innym, tylko nie uroczystym i przyjemnym spotkaniem koleżeńskim z drobnymi usterkami.

Schulz podniósł się z trudem i powiedział:

— Ja ponoszę odpowiedzialność. Zgłoszę się na policję. Chcę znać całą prawdę.

Skłonił się tak, jakby się zęgnął ze światem, który kochał bez zastrzeżeń, ale którego nigdy dobrze nie rozumiał.

Tantau spojrzął na Hirscha i pokręcił przecząco głową, co miało oznaczać: niech go pan zostawi, niech pan za nim nie idzie! On musi zrobić to, do czego go popycha głos wewnętrzny.

Kiedy i Schulz opuścił pokój, Tantau powiedział:

— O ile go znam, to naprawdę pójdzie na policję.

— Czy nie byłoby dobrym uczynkiem — powiedział Hirsch z goryczą — gdyby mu się tego oszczędziło?

— O nie, mój drogi! — zawołał Tantau, który się niespodzianie bardzo ożywił. — Gdybym ja poszedł z tym, co mi wiadomo, na policję, byłoby to jedno ze zwykłych doniesień. Kiedy on to zrobi, będzie to czymś zupełnie innym i będzie to aktem uczciwej i świadomej gotowości do oczyszczenia się z winy. Tylko w ten sposób może być zważona, a kiedyś może i zmazana tamta wina.

— Schulz jako anioł pokoju! — zawołał Hirsch, siląc się na ironię. — Jest to dla mnie trochę dziwne!

— Ludzie pokroju Schulza są zdolni do wszystkiego, trzeba tylko podejść do nich odpowiednio, z odpowiednim słowem. Musi być ono koniecznie pozytywne; może to być gotowość do niesienia pomocy, przyzwoitość albo bezinteresowność. Wystarczy tylko przekonać takich ludzi, że mobilizuje się ich dla dobrej sprawy, a będą, jeżeli się ich oszuka, prowadzili słuszne ich zdaniem wojny albo też, jeżeli się będzie akurat tego od nich wymagało, w ciszy i spokoju uprawiali ogródki. Aż nadejdzie wreszcie chwila, gdy i oni zaczną dostrzegać różnicę między tymi, którzy wymawiając słowo wolność myślą o człowieku, a tymi, którzy poświęcają ludzi, by utrzymać wolność dla siebie.

— I tym samym doszliśmy znowu do Giseniusa.



— Tego rodzaju osobnik bez skrupułów i z taką żądzą władzy może mieć wpływ na ludzi pokroju Schulza tylko wówczas, jeżeli posługuje się oszustwem i kłamstwem. Ludziom takim jak Frammler jest całkowicie obojętne, kto ma władzę, dopóki ta władza nie zwraca się przeciwko nim. Natomiast Bennickenowie to urodzeni kaci, bez nich orszak królewski byłby niekompletny. Typy w rodzaju Kerzego próbują ciągnąć zyski w każdej sytuacji, nie widzą wcale tego, że w gruncie rzeczy zawsze dopłacają.

— A jak, panie Tantau, wygląda pańskim zdaniem sprawa z Hirschami?

— Dla pana, mój drogi, nie ma takiego świata, który mógłby pan uznać za doskonały. Próbuje więc pan pod-kpiwać sobie z każdego ustroju, z każdej formy rządzenia. Powinien pan jednak pamiętać, że niedoskonałość to reguła. I zadaniem naszym jest w miarę możliwości redukować ogrom tej niedoskonałości.

— Aby to zrobić, trzeba się najpierw pokrzepić na ciele i duszy.

— Podzielim pańskie zdanie! — rzekł Tantau, uśmiechając się.

— W takim razie każę podawać — powiedział Hirsch i spojrzął swemu przyjacielowi w oczy. A potem głośno i uroczyście zawołał: — Stypa po Michelu Meinersie zaczyna się!

## **RAPORT NR 5**

*STENOGRAM PRZESŁUCHANIA POLICYJNEGO MARTINA HIRSCHA przeprowadzonego przez inspektora policji kryminalnej Sanda dnia 1 maja 1961 r. w związku z wypadkami w dniu 20 kwietnia 1945 r.*

Na wezwanie stawia się Martin Hirsch. Zaznajomiony z przedmiotem przesłuchania i wezwany do mówienia prawdy, podaje, co następuje:

## **. Personalia:**

*Nazywam się Martin Hirsch, mam lat trzydzieści osiem, jestem pracownikiem umysłowym, obecnie kierownikiem hotelu.*

## **Odnosnie do sprawy:**

*Przez długie lata nie wiedziałem dobrze, co w gruncie rzeczy się stało. Przypuszczałem co prawda to i owo, ale nie mogłem niczego udowodnić. Domyślałem się pewnych powiązań, ale nie miałem dosyć odwagi i siły na to, żeby zapoznać się z całą prawdą. Nie odwoływałem się do fantazji, gdyż większość ludzi jej w ogóle nie ma. Może to ich szczęście. Także i moja fantazja ma swoje granice.*

*Drużyna Schulza, do której należałem, była jedną wśród tysiąca innych. To prawda, że żadna z tych drużyn nie była z nią identyczna, ale chyba nie było też ani jednej, która by do niej nie była podobna.*

*Karl Schulz był, że tak powiem, Parsifalem okopów. Zawsze starał się uczciwie dążyć do tego, co najlepsze. Należał do owych licznych naiwnych ludzi, którzy wierzą, że każdy czuje, myśli, widzi i postępuje tak jak oni. Ta nie-dźwiedziowata przyzwoitość Schulza była czasami wprost komiczna. Pewnego razu Frammler odrzucił pas z amunicją do kaemu, nie chciało mu się go po prostu nosić. Kiedy Schulz zauważył brak amunicji, Frammler, niby to zaskoczony, oświadczył, że mu ją skradziono. I Schulz mu uwierzył. Kiedy czasami udało mi się przytaszczyć jakąś skrzynkę z wódką, wystarczyło, żebym oświadczył: „przydział specjalny”, a Schulz zaraz w to wierzył. Tak że mógł w końcu zjawić się Gisenius z rozkazem, który sam sobie wymyślił, a który podał za rozkaz dowódcy kompanii, i Schulz mu uwierzył. Nie uprzedzamy jednak faktów.*

*Kiedy owego dziewiętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego przybyliśmy do Steinwiesen, pragnęliśmy już tylko jednego: skończyć z tym wszystkim! Owego dnia zrobiliśmy pieszo w pełnym oporządzeniu bojowym prawie dwadzieścia pięć kilometrów i byliśmy*

u kresu sił. Schulz, który jak zawsze kroczył na przedzie, nie zauważył tego, jako że on zawsze był gotów sumiennie wykonać każdy rozkaz. Owego dnia niósł kaem. Bo choć był podoficerem, był jeszcze oprócz tego dobrym kolegą, co nam bardzo odpowiadało, zwłaszcza jeśli chodzi o dźwiganie ciężarów.

Celowniczym obsługi karabinu maszynowego był Michel Meiners. Pozostawiliśmy mu wspaniałomyślnie ten „zaszczyt”, a raczej, szczerze mówiąc, narzuciliśmy mu go, gdyż był związany z dźwiganiem kaemu, jeżeli nie niósł go akurat Schulz. Meiners, który dosyć późno przybył do naszej drużyny, na miejsce szeregowego zabitego przez mnie, winien był zdaniem starych wojaków czuć się jak młody szczeniak i był też odpowiednio traktowany. W naszej drużynie pełnił faktycznie funkcje chłopca na posyłki.

Dochodziła do tego jeszcze jedna rzecz: Meiners był gotów prowadzić tę wojnę ciałem i duszą, nawet wówczas gdy klęska była już niewątpliwa. Ciągle jeszcze widzę go przed sobą, jak w przeddzień urodzin swego Fuhrera słucha mowy Goebbelsa — w oczach miał łzy ze wzruszenia, o mało co się nie rozbeczał. Fihrer był dla niego postacią historyczną na miarę światową, rodzajem półboga, który nie był zdolny uczynić nic złego. A przy tym Meiners nie był wcale idiotą. Należał jedynie do zahipnotyzowanych, którzy po prostu nie potrafili nie wierzyć hipnotyzerowi. Właściwie był pod każdym względem wzruszający, raczej rozmarzony i spokojny niż aktywny, nieprawdopodobnie łatwowierny, dosyć sentymentalny, ale zawsze prawy. Nie był jeszcze całkowicie dojrzały.

Z naszego punktu widzenia prawy Schulz i pełen wiary mały Meiners byli jaskrawymi okazami outsiderów: jeden — posłuszny wykonawca rozkazów, drugi — marzyciel i entuzjasta ostatecznego zwycięstwa. Toteż obaj żyli właściwie jakby poza nawiasem naszej drużyny. Kiedy my, realiści dnia powszedniego, mieliśmy do omówienia coś ważnego, odgradzaliśmy się od Schulza, a Meinersa wysyłaliśmy gdzieś z jakimś poleceniem. A spraw ważnych było w owych dniach do obgadania niemało. Powoli ludzie dookoła zaczęli mówić już całkiem otwarcie — co do mnie

*i na pewno również i dla Giseniusa było od dawna jasne, że firma Hitler bezapelacyjnie plajtuje.*

*Pierwszym, który wypowiedział ten pogląd otwarcie, był Kerze. Był przecież urodzonym człowiekiem interesu i dlatego nie uszło jego uwagi, że uczestniczy w przedsięwzięciu, któremu grozi beznadziejna plajta, toteż uważał, że musi wysiąść z tego interesu jak najprędzej, bo to sprawa życia i śmierci. Fakt, że od lat byłem tego samego zdania, nie oznacza jeszcze, niestety, że obdarzony byłem polityczną dalekowzrocznością czy też wyjątkowo wrażliwym sumieniem. Była to tylko z mojej strony cyniczna i gorzka odraza do tej bezgranicznej głupoty, z jaką ludzie masowo godzili się na to, żeby robiono z nich nawóz pod tak zwaną historię. Nie mogłem tego zrozumieć. Być może w odrzynie tej był również wstyd, a już całkiem na pewno strach. I nawiasem mówiąc, taka sama odraza zaczyna mnie w tej chwili ogarniać znowu.*

*Pierwszy zaczął więc z tym Kerze, choć równie dobrze mógł to zrobić Cisenius, z tą tylko różnicą, że on w owym czasie nie zdobyłby się jeszcze na to, żeby otwarcie wypowiedzieć swoje myśli. W każdym razie ja to podchwyciłem. Dołączył się do nas z miejsca Frammler, wężąc w tym zaraz korzyści dla siebie. Bennicken zaś już wówczas słuchał wyłącznie Giseniusa.*

*A Gisenius, nie bez pewnego wahania, oświadczył, że uświadomił sobie, iż totalne zniszczenie nie odpowiada ani historii, ani Opatrzności. Gisenius już wtedy szermował frazesami. Kerze wyraził się prościej. Byłem z tego wszystkiego rad i wypowiedziałem się dosyć jasno. W ten sposób zapadło postanowienie, że rozpoczynamy akcję „Uwolnić się od Hitlera!”, i właściwie chodziło już tylko o to, aby znaleźć po temu odpowiednią okazję.*

*Wszystko wskazywało na to, że taką okazję będziemy mieć właśnie owego dziewiętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Armia nasza była w rozsypce, a Rosjanie deptali nam już po piętach; z drugiej strony gnali na nas Amerykanie. A między tym wszystkim, w samym środku, udręczona i zdziesiątkowana ludność cywilna. Człowiek jako tako rozsądny mógł myśleć już ty-*

*lko o jednym: o zadekowaniu się w jakimś bezpiecznym miejscu.*

*Owego wieczoru robiliśmy właśnie ostatnie przygotowania. Ja postarałem się o alkohol oraz o racje żywnościowe na drogę. Kerze i Frammler mieli zorganizować ubrania cywilne, Gisenius, który razem z Schulzem poszedł po rozkazy do dowódcy kompanii, miał się zająć sprawą dokumentów. Nie było to wówczas wcale trudne, gdyż w owym czasie pierwszy lepszy pisarz, który miał choć odrobinę sprytu, nosił różnego rodzaju pieczętki w kieszeni. Bennic-ken natomiast otrzymał polecenie zatrudnienia czymś Meinersa, który niczego się nie domyślał. W rezultacie Meiners miał czyścić broń całej drużynie.*

*Jeżeli mimo to owej nocy nie zakończyliśmy jeszcze naszej służby w wielkoniemieckim Wehrmachcie, to były po temu dwie przyczyny. Przede wszystkim przytaszczyłem stanowczo za dużo alkoholu. Poza tym na naszej kwaterze znajdowały się dwie kobiety. Kobiety te, matka i córka, przyczyniły się ogromnie do wzrostu konsumpcji alkoholu. Czyli krótko mówiąc: późnym wieczorem wszyscy byli całkowicie pijani i opanowani nieokielznaną żądzą. Do tego jeszcze Meiners czepiał się tej dziewczyny jak rzep psiego ogona i demonstrował ostentacyjnie swe gorące uczucia i uczciwe zamiary.*

*Koledzy moi, którzy coraz bardziej pożąдали obu kobiet, nie mogli już sobie poradzić ze swoją żądzą. Z początku próbowałem okupować jedną i drugą i izolować je od reszty. Ale reszta nie miała ochoty się na to zgodzić, choć prawdopodobnie dałbym sobie z nimi radę, bo byli mocno pijani. Wszystko jednak się rozbiło o zachowanie obu kobiet.*

*Krótko i wężłowato: chciały! A ponieważ nie wiedziały jeszcze dobrze z kim, każdemu się zdawało, że właśnie z nim. Nie zapominajmy o sytuacji: wszędzie naokoło był chaos, każdej chwili groziła nam śmierć, a przyszłość jeszcze nigdy nie była tak niepewna jak właśnie w tym momencie. A więc żyj, bracie, dopóki się da, i używaj, ile wlezie!*

*Proszę nie żądać ode mnie szczegółów. Ruch w tym interesie był w każdym razie wielki i ożywiony. Żaden z nas*

nie wahał się uczestniczyć w tej wyprzedaży. Oczywiście z dwoma wyjątkami. Dzielný Schulz regenerował swoje siły we śnie, a mały Meiners cierpiał jak nieszczęście. Zwiątpiwszy w Boga i ludzi gapił się na księżyc i rzygał bez przerwy.

Jeżeli mnie pan teraz zapyta, jak doszło do śmierci owej dziewczyny, to powiem panu tylko jedno: byłem mocno zajęty matką, bo to była kobieta doświadczona i bardzo się do mnie paliła. Reszta skoncentrowała się na dziewczynie. Skorzystali z okazji, kiedy wyszła na dwór — wyszli za nią i wepchnęli ją do stodoły.

Nie potrafię powiedzieć, kto zrobił początek. Może był to Kerze, a może Gisenius, na Frammlera w każdym razie przyszła kolej dopiero po nich. Ostatni był Bennicken. Ten miał pewne trudności, bo Meiners, zorientowawszy się, co się tam dzieje, ryknął, aż się echo rozniosło po nocy: „Me wolno ci tego robić!” Zajęty matką tej dziewczyny, pomyślałem sobie: Dlaczego ten mały wrzeszczy? Spłł się czy też nerwy odmówiły mu posłuszeństwa? Tak czy inaczej nie ulega wątpliwości, że Meiners chciał powstrzymać Bennickena.

Ale to był przecież nonsens próbować powstrzymać takiego Bennickena. Usłyszałem dziki wrzask, potem echa głuchych uderzeń, a wreszcie jęk i skowyt bitego chłopca. Co się później działo w stodole, tego nie jestem w stanie powiedzieć. Ale chyba stało się to, czego należało oczekiwać: Bennicken rzucił się na dziewczynę. Potem zapadła śmiertelna cisza.

Nagle Meiners zawołał głosem bitego dziecka: „Nie ujdzie ci to bezkarnie! Staniesz przed sądem wojennym!”

Bennicken zaśmiał się grubiańsko i sapiąc jak miech kowalski wymamrotał: „Stul pysk!” Potem rozległo się po nocy echo silnego uderzenia i Meiners zamilkł. Miałem uczucie, jakby go w ogóle nie było. A Bennicken dodał: „Już ja cię nauczę trzymać mordę na kłódkę”.

Ale dosyć i o tym. Pewne jest, że owej nocy zanadto byliśmy zajęci i zanadto pijani, żeby zgodnie z naszym planem skończyć ze służbą w wielkoniemieckim Wehrmachcie. Następnego ranka obudziliśmy się z okropnym kacem.

Kiedyśmy się zorientowali, żeśmy tak bezmyślnie zmarnowali ostatnie godziny, wydaliśmy się sami sobie idiotami. Poza tym groziło nam jeszcze niebezpieczeństwo, że z powodu tej zamordowanej dziewczyny postawią nas przed sądem wojennym. Opanowała więc nas tylko jedna jedyna myśl: wiać!

Kapral Schulz, który absolutnie nie miał pojęcia o naszych zamiarach, bawił się w dalszym ciągu w wojnę według wszelkich reguł tej swojej parszywej sztuki wojennej. Na razie nie mieliśmy innego wyboru, jak w dalszym ciągu brać udział w tej całej hecy. Oczywiście myśl naszą zaprzętało cały czas jedno jedyne pytanie: jak się z tego gówna wydostać? Kiedy Schulz studiował sytuację, a Meiners zgodnie z rozkazem umieszczał swój kaem na skraju lasu, Gisenius myślał za nas wszystkich.

Plan jego był prosty, jak wszystko, co genialne, i Gisenius przekonał nas do niego bardzo szybko i bez trudu. Okolicznością wyjątkowo korzystną był fakt, że Schulz podzielił drużynę na dwie grupy. Meiners i Bennicken mieli leżeć przy kaemie na skraju lasku trzysta siedem. Natomiast ja, Gisenius i Kerze mieliśmy zgodnie z rozkazem budować zaporę przeciwpancerną. Frammler, któremu kazano uciszyć lament matki zamordowanej dziewczyny, znajdował się w zagrodzie, a Schulz pętał się, jak przystało na dobrego podoficera, między jedną grupą a drugą.

Nie przypuszczam, żeby po tym wszystkim pytał mnie pan jeszcze o to, dlaczego nie wtajemniczyliśmy w nasz plan również Schulza, a może jeszcze i Meinersa. Gisenius wytłumaczył nam, że próba namówienia Meinersa do haniebnej ucieczki i nieposłuszeństwa, a Schulza do porzucenia swego obowiązku byłaby czystym absurdem. Jeżeli chodzi o Schulza, to chyba domyślał się, że ze śmiercią tej dziewczyny coś jest nie w porządku. Ale odsuwał to od siebie i tym gorliwiej pełnił swą służbę.

Wedle naszego planu mieliśmy w momencie, kiedy zbliżyć się będą czołgi, zostawić spokojnie Meinersa przy kaemie i pozwolić mu strzelać. Schulz za pomocą sfingowanego rozkazu miał być odwołany do dowódcy kompanii, my zaś mieliśmy wiać, naprzód wspólnie, a potem każdy na własną rękę.

*Pamiętam jednak jeszcze rzecz następującą: Cisenius wziął Bennickena na bok i zaczął mu coś mówić. Bennicken pochylał swój gruby kark i wyglądał jak pies, który się spodziewa batów. Po chwili podniósł głowę, poprawił wiszący mu u pasa granat i spojrzął w kierunku kaemu, przy którym tkwił Meiners.*

*A leżący samotnie na skraju lasu Meiners wyglądał tak, jak gdyby za chwilę miał się rozplakać niby dręczone do bólu dziecko.*

*Kiedy w pewnej chwili Schulz znowu się oddalił, Kerze zobaczył przez lornetkę, że szosą w kierunku lasu trzysta siedem jadą czołgi radzieckie. Jechały w kłębach kurzu, Kerze naliczył ich cztery.*

*Akurat w tym momencie zjawił się znowu Schulz, by sprawdzić, jak idzie nam robota przy zaporze. Po nim przyszedł Frammler, który podszedł do Bennickena i szepnął mu coś do ucha. W tej samej niemal chwili zaczęło się. Pierwsze grzyby ognia wystrzeliły nad laskiem.*

*Nie było chwili do stracenia. Cisenius zawołał do Schulza: „Masz natychmiast lecieć do dowódcy kompanii! Przed chwilą był tu goniec!” Niczego nie przeczuwający Schulz pognął do dowódcy kompanii. Sądzę, że się później zorientował, iż pozostawił kolegę Meinersa na pastwę losu. Ale chyba prędko sobie to wyperswadował, tak samo jak te swoje podejrzenia co do owej zamordowanej dziewczyny — w gruncie rzeczy nie mieściło mu się to po prostu w głowie. W każdym razie o niczym nie wiedział. Jeżeli o mnie chodzi, to wiedziałem tylko tyle, że zostawiliśmy Meinersa przy kaemie i daliśmy drapaka... Nie miałem pojęcia, dlaczego Bennicken, który zgięty wpół biegł obok Frammlera, nagle się odwrócił, pobiegł parę metrów z powrotem, w kierunku lasu, i rzucił swój granat.*

*Nie widziałem tego dokładnie, bo biegłem przed Frammlerem. Zresztą wszystko odbyło się za szybko. Spadło na mnie jak burza. Byłem ogłuszony hukami i oślepiony blaskiem wybuchów, aż mnie oczy bolały.*

*Sądziłem wówczas, że Bennicken rzucił swój granat w stronę wroga.*

*A on go rzucił na Meinersa.*



*Dziś wiem już wszystko. Wywody Tantaau wyjaśniły mi tamtą sytuację całkowicie. Teraz wszystko jest jasne, aż do bólu:*

*Gisenius wpłynął na Bennickena, aby zlikwidował Meine-rsa w taki sposób, żeby się tego nie dało udowodnić. Dlaczego? Dlatego, że Meiners wiedział, co zaszło owej nocy, i zamierzał domagać się ukarania sprawców. Wina spadała tu nie tylko na właściwego mordercę, Bennickena, ale również na Giseniusa, Kerzego i Frammlera, którzy brali udział w zgwałceniu dziewczyny. Wobec tego Gisenius, który myślał za swoich kolegów, chciał się zaasekurować.*

*Bennicken zrobił to, czego od niego oczekiwano — zlikwidował Meinersa. Zarówno wtedy, jak i teraz — i tym jeszcze przypieczętował swoją zbrodnię.*

*Frammler wiedział wówczas dobrze, co zaszło.*

*Kerze został wkrótce potem o wszystkim poinformowany. Uważano, że można mieć do niego większe zaufanie niż do mnie.*

*Ja, Martin Hirsch, domyślałem się tylko prawdy, ale wiele rzeczy nie rozumiałem. Teraz znam już dokładnie całą sprawę. I nie mam już nic do powiedzenia.*

*Skończyłem.*

# Spis treści

## Tom pierwszy

1. Co umarło, winno być pogrzebane.....	7
2. Żyć i pozwolić żyć innym .....	37
3. Bądź przyjacielowi przyjacielem .....	83
4. Skutki mecenatu kulturalnego .....	113
5. Zające jeszcze nie drżą, ale polowanie już się zaczyna...	161
6. Pamięć umiera wielokrotnie.....	201

## Tom drugi

7. Co jest warte życie ludzkie? .....	5
8. Bywają zbrodnie, które się opłacają .....	61
9. I śmierć może nadać życiu sens .....	127
10. Nie wszyscy, którzy pod kimś dołki kopią, sami w nie wpadają .....	185